

Lee Goldberg

Detektyw Monk jedzie na Hawaje

Przełożył Paweł Laskowicz

REBIS

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 2007

Tytuł oryginału Mr. Monk Goes to Hawaii

Podziękowania

Chciałbym podziękować Cynthii Chow z Biblioteki Publicznej w Kaneohe za pomoc we wszystkim, co hawajskie - ewentualne błędy mogę przypisać wyłącznie sobie samemu (zwłaszcza w próbach hawajskiego dialektu). Za pomoc i wsparcie mam też dług wdzięczności u doktora D. P. Lyle'a, Wayne'a Aron - sohna, Steve'a Wurzela, Williama Rabkina, Toda Goldberga, Kathleen Kay, Anne Tomlin, Christine King oraz A. Lyn Bell. Na koniec muszę dodać, że książka nigdy by nie powstała bez inspiracji i wielkiego entuzjazmu mojego przyjaciela And/ego Breck - mana, twórcy postaci Adriana Mońka.

Monk i morderstwo doskonałe

Oto cała prawda o genialnych detektywach: Każdy z nich ma szmergla.

Weźmy choćby takiego Nerona Wolfe'a.

To był ten niewiarygodnie opasty detektyw, który nie chciał wyściubić nosa ze swojego domu w starej nowojorskiej kamienicy. Siedział w mieszkaniu, pielęgnował orchidee, wypijał pięć litrów piwa dziennie i delektował się wysmakowanymi potrawami, które przyrządzał mu mieszkający z nim kucharz. Do załatwiania rozmaitych spraw związanych ze śledztwem, do prześwietlania klientów, badania tropów i przywlekania ludzi na grubiańskie przesłuchania Wolfe najął Archiego Goodwina - byłego policjanta, żołnierza czy kogoś w tym rodzaju, w każdym razie osobnika, który idealnie się nadawał do takiej roboty.

Albo Sherlock Holmes, ekscentryk i nałogowy ko - kainista, który potrafił grać przez całą noc na skrzypcach, a w salonie przeprowadzał doświadczenia chemiczne. Gdyby nie doktor Watson, najzwyczajniej trafiłby za kratki. Ranny na wojnie Watson wystąpił z wojska, wynajął u Holmesa pokój i skończył jako asystent detektywa oraz jego oficjalny kronikarz. Wykształcenie medyczne i doświadczenie zdobyte na froncie wzbogaciły go o umiejętności i temperament absolutnie niezbędne, by umieć dać sobie radę z Holmesem.

W przeciwieństwie do Archiego i doktora Watsona - na, którzy mieszkali ze swoim pracodawcą pod jednym dachem, ja przynajmniej nie muszę mieszkać z Adrianem Monkiem, kolejnym z genialnych detektywów. Jednak będę się upierać, że mam zajęcie o wiele trudniejsze. Z jednego powodu: brakuje mi ich kwalifikacji.

Nazywam się Natalie Teeger. Chwytałam się w przeszłości niejednej dziwnej pracy, ale nie jestem byłą agentką FBI, obiecującą studentką kryminalistyki ani sanitariuszką z aspiracjami, którymi byłabym być może, gdyby była to książka lub serial telewizyjny, a nie moje własne życie. Zanim poznałam Adriana Mońka, pracowałam jako barmanka, więc przypuszczam, że po pracy, gdybym miała ochotę, mogłam sobie zmieszać smacznego i

mocnego drinka. Ale nie robiłam tego, ponieważ jestem również wdową i matką, która samotnie wychowuje dwunastoletnią córkę, a nie jest złym pomysłem, by czynić to w stanie trzeźwym.

Gdybym kwerendę na temat genialnych detektywów przeprowadziła przed podjęciem pracy u Adriana Mońka, a nie p o, być może w ogóle nie przyjąłabym tej oferty.

Wiem, co sobie myślicie. Nero Wolfe i Sherlock Holmes to postacie fikcyjne, czegoż więc mogę się nauczyć od ich asystentów, prawda? Sęk w tym, że w świecie rzeczywistym nie natrafiłam na ani jednego detektywa, który choćby w niewielkim stopniu przypominał Adriana Mońka, a bardzo mi zależało na poradzie. Byli jedynym źródłem informacji, do którego mogłam się odwołać.

Oto, czego się dowiedziałam na ich przykładzie. Kiedy już dochodzi do tego, że zostajesz asystentem wielkiego detektywa, to możesz sobie być z zawodu byłym gliną, lekarzem albo kimkolwiek innym i naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Ponieważ to „coś”, to, co sprawia, że twój szef jest geniuszem w wyjaśnianiu morderstw, czyni życie ludzi wokół niego, a szczególnie twoje, nie do zniesienia. I choćbyś nie wiem jak próbował, to już się nie zmieni.

To bezsprzeczna prawda, zwłaszcza w wypadku Adriana Mońka, który przejawia całą gamę zaburzeń obsesyjnokompulsywnych. Ogromu jego natręctw i fobii nie sposób pojąć, jeśli nie ma się z nimi do czynienia na co dzień, jak, Boże pomóż, mam właśnie ja.

W życiu Mońka najważniejszy jest porządek i wszystko musi się odbywać według tajników, które tylko dla Mońka mają sens. Kiedyś na przykład widziałam, jak podczas śniadania wyciąga z miseczki każdy rodzynek i każdy płatek otrębów, a potem je przelicza, bo przed zjedzeniem chciał być pewny, że jeden rodzynek będzie przypadał na cztery otręby. W jaki sposób doszedł do takiej, a nie innej proporcji? Skąd się wzięło w nim przekonanie, że każde inne rozwiązanie będzie „gwałtem zadany naturalnym prawom wszechświata”? Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

Monk ma też hopla na punkcie zarazków - nie aż tak, żeby nie wychodzić z domu i nie spotykać się z ludźmi, ale z drugiej strony wcale im tych spotkań nie ułatwia.

Do restauracji przychodzi z własnymi talerzami i sztućcami. Do kina zabiera ze sobą składane krzesło ogrodowe, bo myśl, że mógłby usiąść w fotelu, w którym siedziało przed nim tysiące innych osób, jest dla niego nie do zniesienia. Kiedy pewnego razu w przednią szybę naszego samochodu uderzył ptak, Monk wezwał policję i karetkę. Mogłabym tak ciągnąć dalej, ale wydaje mi się, że nabraliście już o nim wyobrażenia.

Konieczność znoszenia jego dziwactw i rola pośrednika między nim a światem cywilizowanym okazały się bardzo stresujące. Męczyło mnie to potwornie, do granic totalnego wyczerpania. Dlatego właśnie sięgnęłam po książki z Neronem Wolfe'em i Sherlockiem Holmesem, w nadziei znalezienia w nich pomocnej rady, która złagodzi znój moich zawodowych obowiązków.

Ale nic nie znalazłam.

W końcu zdałam sobie sprawę, że jedyną moją nadzieją jest ucieczka; jak najdalej od Mońka. Nie na zawsze, bo chociaż był człowiekiem trudnym, to go lubiłam, a godziny pracy były na tyle elastyczne, że mogłam znaleźć dużo czasu dla córki. Potrzebowałam po prostu kilku spokojnych dni wolnego, okazji, aby wyjechać gdzieś, gdzie mogłabym odpocząć i gdzie nie znalazłby mnie Monk. Problem w tym, że na nic nie było mnie stać.

Wtedy jednak ulitowała się nade mną Fortuna.

Któregoś dnia otworzyłam skrzynkę na listy i znalazłam w niej bilet lotniczy w dwie strony na Hawaje - prezent od mojej najlepszej przyjaciółki Candace. Brała ślub na wyspie Kauai i nalegała, żebym została jej druhną. Ponieważ wiedziała, że się u mnie nie przelewa, zafundowała mi podróż, rezerwując siedem dni i sześć nocy w najszybkim hotelu na wyspie, Grand Kiahuna Poipu, gdzie zaplanowano uroczystości weselne.

Namówienie mamy, żeby przyjechała z Monterey i przez tydzień zajmowała się Julie, nie nastęczało żadnych trudności. Prawdziwym problemem było znalezienie opiekuna dla Mońka.

Zadzwoiłam do agencji pracy dorywczej. Wyjaśniłam, że w tej pracy wymagana jest znajomość podstawowych obowiązków sekretarki, prawo jazdy i bardzo dobre umiejętności „komunikacji interpersonalnej”. W agencji zapewnili mnie, że mają idealnych kandydatów. Nie miałam wątpliwości, że do końca tygodnia wszyscy po kolei przejdą przez ręce Mońka i że nigdy już nie będę mogła skorzystać z usług tej agencji. Jednak zupełnie mnie to nie obchodziło, bo już czułam gorący piasek pod stopami, woń kokosowego mleczka do opalania, a w uszach Don Ho wyśpiewywał mi słodką melodię Tiny Bubble.

Pozostawało mi jedynie poinformować Mońka o moich planach.

Czekałam z tym do ostatniego dnia przed wyjazdem. Jednak nawet wtedy nie potrafiłam, jak mi się zdawało, znaleźć odpowiedniej okazji. I kiedy zadzwonił do Mońka z prośbą o pomoc kapitan Leland Stottlemeyer, jego były partner w Departamencie Policji San Francisco, Monk wciąż nic nie wiedział.

Telefon postawił mnie w jeszcze trudniejszej sytuacji. Stottlemeyer ściągał Mońka na konsultacje, kiedy policja miała do czynienia ze szczególnie zawiłym przypadkiem

morderstwa. Monk zwariuje, jeśli go zostawię w środku śledztwa (to znaczy zwariuje jeszcze bardziej, mówiąc precyzyjniej). Stottlemeyer też nie będzie zachwycony, jeśli sprawa będzie się ciągnęła w nieskończoność tylko dlatego, że Monk nie może się na niej właściwie skoncentrować.

Przeklinałam się w duchu, że nie powiedziałam Monkowi wcześniej, i modliłam się cicho, żeby sprawa okazała się wyjątkowo prosta.

Ale nie była prosta.

Doktor Lyle Douglas, światowej sławy kardiochirurg, został otruty podczas operacji wszczepiania poczwórnego bypassa swojej czterdziestopięcioletniej byłej pielęgniarki, Stelli Picaro, w szpitalu, w którym sama niegdyś pracowała.

Doktor Douglas był właśnie w trakcie wykonywania nader delikatnych czynności, obserwowanych z zajęciem przez tuzin innych lekarzy i studentów, kiedy nagle dostał gwałtownego ataku i padł na podłogę martwy. Doktor Troy Clark, jeden z obecnych chirurgów, zmuszony był szybko zareagować i przejąć operację, by uratować pacjentkę od pewnej śmierci. Na szczęście mu się udało.

Nikomu nie przyszło do głowy, że doktor Douglas padł ofiarą morderstwa, dopóki następnego dnia nie przeprowadzono sekcji zwłok. Do tego czasu jednak wszystkie ślady, które mogły zostać na miejscu popełnienia zbrodni, uległy zatarciu. Zaraz po zabiegu sala operacyjna została dokładnie wmyta, narzędzia chirurgiczne zdezynfekowane, prześcieradła wyprane, a cała reszta zutylizowana jako materiał niebezpieczny dla środowiska.

Dowodów w sprawie brakowało, ale podejrzanych było aż nadto. Głównym podejrzanym stał się doktor Clark, chirurg, który uratował życie leżącej na stole operacyjnym Stelli Picaro i który do tej pory uchodził za bohatera. Jak się okazało, Clark był zaciekłym rywalem doktora Douglasa.

Douglas miał zresztą niejednego wroga. Był intrygantem i egoistą, który zalał za skórę wielu ludziom, w tym bodaj każdemu z członków własnego zespołu chirurgicznego, a również kilku lekarzom spośród obserwujących operację, a nawet pacjentce, którą miał pod skalpelem, gdy zmarł.

Jednak ani Stottlemeyer, ani porucznik Randy Disher nie potrafili dojść do tego, jak to się stało, że doktor Douglas został otruty na oczach tylu świadków i nikt nie zauważył nic podejrzanego. Ktoś im zabił klina w głowę. Więc zadzwonili po Adriana Mońka.

Na posterunku zdali mu krótką relację z przebiegu śledztwa, a potem Monk chciał zobaczyć miejsce zbrodni. Mogłam mu powiedzieć o moim wyjeździe w drodze do szpitala,

ale wiedziałam, że jeśli to zrobię, Monk już nie będzie się umiał skoncentrować na niczym innym.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Monk się uparł, żeby przed wejściem na salę operacyjną włożyć na siebie cały odpowiedni chirurgiczny ubiór; czepek na głowę, maskę i gogle, rękawice chirurgiczne, a nawet papierowe osłony na obuwiu.

- Próbuje pan wniknąć w umysł chirurga? - zażartowałam, kiedy staliśmy we dwoje przed wejściem do sali operacyjnej.

- Próbuję tylko zapobiec infekcji - odpowiedział Monk.

- Choroby serca nie są zakaźne.

- Budynek jest pełen chorych. W powietrzu roi się od śmiertelnych zarazków. Niebezpieczniejsze od wizyty w szpitalu jest tylko picie wody z ulicznego kranu - mówił Monk. - Dobrze chociaż to, że mnóstwo tu lekarzy.

- Nie ma nic niebezpiecznego w picciu wody z ulicznego dystrybutora, panie Monk. Całe życie z nich piję.

- Gra w rosyjską ruletkę też cię zapewne bawi, co?

Monk wszedł do sali operacyjnej. Patrzyłam, jak z uwagą ogląda każdy jej zakamarek i wyposażenie. Oględziny miejsca zbrodni w wykonaniu Adriana Mońka przypominały improwizację tańca z niewidzialnym partnerem. Jak zawsze, wielokrotnie obszedł całe pomieszczenie, robiąc po drodze nagle zwroty i płynne piruety, to w tył, to w przód: od czasu do czasu pochylał się raptem, by pod coś zajrzeć. Zatrzymał się też przy stole z nierdzewnej stali, na którym przeprowadzano feralną operację, i spojrzał na niego tak, jakby wyobrażał sobie, że leży przed nim pacjentka.

Potem poruszył niezgrabnie ramionami i pokręcił głową, jakby próbował rozluźnić zeszywniałą szyję. Wiedziałam jednak, że nie o to chodziło. Co innego nie dawało mu spokoju, jakiś detal, jakiś drobny fakt, który nie wkomponowywał się w całość. Nic nie wywoływało u Mońka takiego niepokoju jak nieporządek. A czymże w końcu jest zagadka kryminalna, jeśli nie zamętem, który się doprasza ładu - stanem nierównowagi, któremu trzeba przywrócić równowagę.

- Gdzie przebywa pacjentka, którą operował doktor Douglas? - zapytał Monk.

- Piętro wyżej - odpowiedziałam. - Na oddziale intensywnej opieki medycznej.

Monk kiwnął głową.

- Zadzwoń do kapitana i poproś, żeby tam do nas dołączył.

Jest w oddziałach intensywnej opieki medycznej coś, co wywołuje u mnie gęsią skórę. Dotychczas byłam tylko w paru i chociaż wiem, że istnieją po to, by ratować życie

ludzkie, to budzą we mnie strach. Pacjenci podłączeni do dziwnych machin nie przypominają mi już ludzi, lecz zwłoki, które jakiś szalony naukowiec zamierza jeszcze wskrzesić.

Tak właśnie wyglądała Stella Picaro, mimo że była w pełni przytomna. Różne rurki i kabelki łączyły ją z aparaturą EKG, respiratorem i czymś, co według mnie przypominało toster. Maszyny burczały i pikały, lampki mrugały, a ona sama żyła, więc najwyraźniej wszystko to działało dla niej z pewną korzyścią. Mimo to usiłowałam nie patrzeć w jej stronę. Czułam się nieswojo.

Staliśmy przy dyżurce pielęgniarek. Monk wciąż miał na sobie kompletną odzież ochronną i śmiesznie oddychał, a właściwie sapał.

- Dobrze się pan czuje? - zapytałam.

- Doskonale.

- To dlaczego pan tak ciężko oddycha?

- Próbuję ograniczać wdechy - odpowiedział Monk.

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę.

- Im mniej wdechów, tym mniejsze prawdopodobieństwo wchłonięcia wirusa, tak?

- Powinnaś robić to samo - powiedział. - To może ci ocalić życie.

To straszne, jak bezbłędnie nauczyłam się rozumieć jego osobliwy sposób myślenia, tę całą monkolo - gię. Już samo to stanowiło dla mnie wystarczający powód, żeby urwać się od Mońka na jakiś czas.

Chciałam powiedzieć mu o wyjeździe na Hawaje, tu i teraz, kiedy na oddział leniwym krokiem wszedł Stottlemeyer z papierowym kubkiem kawy w ręku. Na jego bujnym wąsie wisiała kropelka śmietany, a na szerokim krawacie w paski spostrzegłam małą, świeżą plamkę po kawie. Bardzo mnie ujął ten niedbały wygląd, ale wiedziałam, że Mońka doprowadzi do szału. Czasami się zastanawiałam, czy kapitan nie robi tego celowo.

U boku kapitana Stottlemeyera szedł jak zwykle porucznik Disher. Przywodził mi na myśl golden re - trievera, nieustannie podskakującego wesoło, błogo nieświadomego szkód, które czyni, machając ogonem.

Stottlemeyer uśmiechnął się szeroko do Mońka.

- Wiesz, że przebieranie się w tym miejscu za lekarza jest niezgodne z prawem?

- Wcale się nie przebieram - odpowiedział Monk.- Założyłem to dla własnego bezpieczeństwa.

- Powinieneś to nosić przez cały czas.

- Rozważam to bardzo poważnie.

- Nie wątpię - stwierdził Stottlemeyer.

- Masz śmietankę na wąsach. - Monk wskazał palcem.

- Naprawdę? - Stottlemeyer niedbale maznął serwetką po wąsach. - Lepiej?

Monk skinął głową.

- Jeszcze poplamiony krawat.

Stottlemeyer podniósł krawat do oczu i przyjrzał mu się.

- Faktycznie, jest poplamiony.

- Powinieneś go zmienić - powiedział Monk.

- Nie noszę przy sobie drugiego krawata, Monk. Trzeba będzie z tym poczekać.

- Możesz kupić - zasugerował Monk.

- Nie mam zamiaru.

- Możesz pożyczyć od kogoś z lekarzy - nie ustępował Monk.

- Może pan pożyczyć ode mnie - zaofiarował się Disher.

- Nie chcę od ciebie krawata, Randy - zaproponował Stottlemeyer i odwrócił się do

Mońka. - Może po prostu go zdejmę i schowam do kieszeni?

- Będę jednak wiedział, że się tam znajduje - powiedział Monk.

- To udawaj, że nie wiesz.

- Nie umiem udawać - stwierdził Monk. - Jakoś nigdy tego nie załapałem.

Stottlemeyer podał kawę z mlekiem Disherowi, zdjął krawat i wrzucił go do pojemnika na niebezpieczne odpady.

- Teraz już lepiej? - zapytał, odbierając z rąk Di - shera kawę.

- Sądzę, że wszyscy jesteśmy ci bardzo wdzięczni - powiedział Monk, patrząc na mnie i na Dishe - ra. - Prawda?

- Powiedz teraz, czy masz chociaż coś, dla czego warto mi było pozbywać się krawata? - zapytał Stottlemeyer.

- Mam zabójcę.

Stottlemeyer i Disher rozejrzeli się dookoła. Ja również.

- Gdzie? - zapytał Stottlemeyer. - Nie widzę żadnego z naszych podejrzanych.

Monk skinął lekko głową w kierunku Stelli Picaro. Sam widok rurki do oddychania wpuszczonej w gardło przyprawiał mnie o mdłości.

- Mówisz o niej? - zapytał Disher.

Monk przytaknął.

- Ona to zrobiła? - zapytał z niedowierzaniem Stottlemeyer.

Monk przytaknął.

- Jesteś pewny? - nie ustępował Stottlemeyer.

Monk przytaknął. Spojrzałam na Stellę Picaro.

Wydawało się, że kobieta próbuje gwałtownie przeczyć ruchem głowy.

- Może wyleciało ci to z głowy, Monk - odezwał się Stottlemeyer - ale kiedy doktor Douglas umierał, ta pani leżała nieprzytomna na stole operacyjnym z otwartą klatką piersiową, a on trzymał ręce na jej bijącym sercu.

- I na podstawie tak marnego alibi skreśliłeś ją z listy podejrzanych? - zapytał Monk.

16

17

- Owszem, skreśliłem - odpowiedział Stottle - meyer.

- Mimo że, jak mi sam powiedziałeś, była pielęgniarką w jego zespole, a przez pięć lat jego kochanką?

- Owszem.

- Mimo że kiedy doktor Douglas rzucił wreszcie żonę, to wcale nie dla niej, ale dla dwudziestodwuletniej modelki prezentującej stroje kąpielowe?

- Spójrz na nią, Monk. Kiedy popełniono morderstwo, ta kobieta miała wszczepiany poczwórny bypass.

0 mały włos nie umarła na stole operacyjnym.

- To część jej przebiegłego planu. Spojrzeliśmy wszyscy na Stellę Picaro. Patrzyła na nas rozszerzonymi oczami, nie wydając z siebie głosu. Słyszeliśmy jedynie ciche pikanie aparatu EKG, który zaczął brzmieć w moich uszach jakby trochę nierówno, ale nie jestem przecież lekarzem.

Stottlemeyer westchnął. Było to westchnienie, które niosło ze sobą zmęczenie i poczucie kapitulacji. Współpraca z Monkiem była wyczerpująca, a spieranie się z nim na temat morderstwa daremne. Kiedy idzie o zabójstwo, Monk w zasadzie nigdy się nie mylił.

- Jak mogła to zrobić? - zapytał Stottlemeyer. Sama się nad tym zastanawiałam.

Nagle Disher strzelił palcami.

- Wiem. Projekcja astralna!

- Uważasz, że jej dusza opuściła na chwilę ciało

1 otruła doktora Douglasa? - zapytał Stottlemeyer.

Disher przytaknął.

- To jedyne wytłumaczenie.

- Mam głęboką nadzieję, że jednak nie. Chciałbym jeszcze przez parę lat nosić policyjną odznakę. - Stottlemeyer odwrócił się do Monka. - Powiedz, że to nie projekcja astralna.

- Nie - odpowiedział Monk. - Coś takiego nie istnieje. Zabójczą bronią nie była dusza, lecz ciało.

- Nic nie rozumiem - powiedział Disher.

- Kiedy Stella zrozumiała, że operacja serca jest nieunikniona, uświadomiła sobie, że otwiera się przed nią okazja do popełnienia zbrodni doskonałej - powiedział Monk, strzelając wzrokiem w Stellę Picaro. - Prawda?

Picaro znowu próbowała przeczyć ruchem głowy.

- Poruszyła pani ego doktora Douglasa, błagając go, by uratował pani życie, a potem namówiła go pani, żeby operację przeprowadził tutaj, w szpitalu, w którym pani pracowała.

- Co za różnica, w jakim szpitalu przeprowadzono operację? - zapytał Stottlemeyer.

- Taka, że w tym szpitalu pani Picaro miała przed zabiegiem ułatwiony dostęp do sali operacyjnej, magazynu z lekami i do sprzętu medycznego i mogła się zabawić w lekarza. Wcale nie żartuję - mówił Monk. - Jodyna, którą doktor Douglas zdezynfekował jej skórę przed pierwszym cięciem skalpela, była zatruta.

- Gzy trucizna nie podziałałaby również na nią? - zapytał Stottlemeyer.

- Podziałała, ale Picaro otrzymywała w kroplówce antidotum - powiedział Monk. - Spójrz na jej kartę chorobową. Wykazuje wyższy niż przeciętny poziom atropiny.

Stottlemeyer wziął do ręki kartę, która wisiała na poręczy łóżka, otworzył ją, wpatrywał się przez dłuższy czas w zapisy, a potem raptem ją zamknął.

- Nie będę się wygłupiał - powiedział, odwieszając kartę na łóżko. - Nie mam zielonego pojęcia, jak czytać taką kartę chorobową.

- Ja też nie - powiedział Monk.

- Skąd zatem wiesz, co ma w żyłach albo czego nie ma?

- Wiem, bo żyje - oświadczył Monk. - A doktor Douglas nie żyje.

- Co z innymi lekarzami, którzy się nią zajmowali? - zapytał Disher. - Jak to możliwe, że oni się nie otruli?

- Bo nie nałożyli rękawiczek, które miał doktor Douglas - wyjaśnił Monk. - Douglas używał rękawiczek firmy Conway, ponieważ inne wywoływały u niego podrażnienie skóry. Przed operacją Stella podziurawiła szpilką palce rękawiczek, wszystkich, które były w pudełku. Dziurki były niewidoczne gołym okiem, doktor więc przyjął truciznę przez skórę.

Stottlemeyer spojrzał na Dishera.

- Skontaktuj się z laboratorium, Randy, i dopilnuj, żeby zbadali pudełko z rękawiczkami doktora Douglasa. Niech sprawdzą, czy nie ma w nich perforacji.

Disher pokiwał głową i zapisał coś w notatniku.

Spojrzałam na Stellę. Miałam wrażenie, że wtapia się w łóżko, taka była blada i osłabiona. W oczach miała łzy. Przypomniały mi się opowieści, jak po omdleniu doktora Douglasa doktor Clark musiał sięgnąć do jej otwartej klatki piersiowej, by ratować jej życie.

- Ale, panie Monk - powiedziałam - nawet jeśli Stella miała w kroplówce antidotum, to zamach na życie chirurga, który wykonuje operację na jej sercu, jest niemal misją samobójczą.

- To ryzyko, które zdecydowała się podjąć. To poetycka sprawiedliwość. Użyła serca, by zabić mężczyznę, który to serce złamał.

Stella zamknęła powieki. Łzy potoczyły się po jej policzkach. Nie umiałam jednak powiedzieć, czy były to łzy smutku czy złości. Być może jedno i drugie.

Stottlemeyer pokręcił w zadziwieniu głową.

- Nigdy bym jej nie złapał, Monk - powiedział.

- Na pewno by pan złapał, kapitanie - powiedział Disher. - Zabrałoby to tylko więcej czasu, i tyle.

- Nie, Randy. Nie złapałbym jej. Nigdy. - Stottlemeyer obdarzył Monka spojrzeniem pełnym szczerego podziwu. - Jak do tego doszedłeś?

- Och, to było oczywiste - stwierdził Monk.

- Dalej, dobij mnie - powiedział Stottlemeyer. - Niech nie powstrzymują cię ostatnie resztki mojego szacunku do samego siebie.

- Nie było możliwości, aby jakiś lekarz czy ktoś z personelu szpitalnego mógł otruć Douglasa w taki sposób, aby nikt tego nie zauważył - wyjaśnił Monk. - To zawęży krąg podejrzanych do jednej osoby.

Stottlemeyer podniósł brwi.

- Logiczne. Ciekawe, że sam na to nie wpadłem.

W tej chwili kapitan odwrócił się do Stelli Picaro, więc nie widział, jak Monk zaczął mu się przypatrywać z zaciekawieniem, jakby jego przyjaciel był jakimś skomplikowanym malowidłem.

Disher podszedł prężnym krokiem do łóżka Picaro.

- Ma pani prawo zachować milczenie, a...

- Randy - przerwał mu Stottlemeyer. - Ta kobieta ma wetkniętą w krtań rurkę do oddychania. Nawet gdyby chciała, nic nam nie powie.

- Och... - powiedział tylko Disher, a potem zadzwonił kajdankami, które trzymał w ręku. - Czy mam ją przykuć do łóżka?

- Myślę, że to nie będzie konieczne - odpowiedział Stottlemeyer.

- Kapitanie - odezwał się raptem Monk. - Nigdy nie mógłbym napić się wody z ulicznego kranu.

- O, doprawdy? - zapytał Stottlemeyer, trochę zaskoczony niespodziewaną zmianą tematu.

- Nawet gdyby zależało od tego moje życie - dodał Monk. - Ty pewnie robisz to bez namysłu.

Stottlemeyer patrzył na Mońka przez dłuższą chwilę.

- Owszem, zawsze.

Monk wzruszył tylko ramionami.

Stottlemeyer kiwnął głową.

Jak przypuszczam, Monkowi chodziło o to, że życie ma właściwość utrzymywania wszystkiego w równowadze. Oznaczało to tyle, że jej brak Monk dostrzeże WYRAŹNIEJ niż reszta z nas.

Monk poznaje prawdę

We wtorki po południu Monk ma stałe spotkania z doktorem Krogerem, swoim psychiatrą. Od ponad roku wiem o tym doskonale, a mimo to jakoś umknęło mojej uwagi, że w tym tygodniu spotkanie przypada w przeddzień mojego wyjazdu na Hawaje. Uświadomiłam to sobie dopiero wówczas, kiedy miałam już odwieźć Mońka do gabinetu Krogera.

Wtedy strzelił mi do głowy pomysł diabelski i doskonały - aż dziw bierze, że nie wpadłam na to wcześniej. Postanowiłam, że powiem Monkowi o swoim wyjeździe tuż przed wejściem do gabinetu doktora Krogera. W ten sposób zdruzgotanym Monkiem natychmiast się zajmie psychiatra, a ja w tym czasie zrelaksuję się w poczekalni przy filiżance kawy, przeglądając najnowszy numer „Esquire’a”.

Był to plan tak genialny, że każdy, zwłaszcza Monk, będzie przekonany, iż wymyśliłam to sobie na samym początku. Ale czy to ma znaczenie, kiedy na to wpadłam? Ważne, że jakoś wpadłam.

Zaparkowałam swojego cherokee na Jackson Street, w dzielnicy Pacific Heights, i po chwili zaczęliśmy schodzić z Monkiem stromym wzgórzem w kierunku gabinetu doktora Krogera. Mieścił się on w budynku o opływowych kształtach, wzniesionym niedawno z betonu i szkła, w stylu modernistycznym, który bardzo mizernie się wkomponowywał w rząd majestatycznych wiktoriańskich kamienic.

Niebo było bezchmurne, jaskrawobłękitne, a znad Oceanu Spokojnego, przez zadrzewione parki w Pre - sidio, ciągnęła ku nam chłodna, orzeźwiająca bryza, niosąc woń

sosen i morskiej soli. Przed nami rozpościerał się widok na starą dzielnicę Marina, most Golden Gate, i jeszcze dalej, na lesiste wzgórze hrabstwa Marin po drugiej stronie zatoki.

Szliśmy, napawając oczy pejzażem, kiedy mniej więcej w połowie drogi, jakby mimochodem, wspomniałam Monkowi, że nazajutrz wyjeżdżam na siedem dni na Kauai, gdzie będę druzną na ślubie swojej najbliższej przyjaciółki.

Monk zamrugał nerwowo, ale szedł dzielnie dalej, niczego po sobie nie pokazując.

- Nie możesz jechać - powiedział w końcu.

Zauważyłam, że wciąż ogranicza liczbę wdechów.

- Dlaczego nie?

- Nie masz urlopu.

- Oczywiście, że mam. Nie wzięłam jeszcze ani jednego wolnego dnia.

- Nie wzięłaś, bo żadnego nie masz - powiedział Monk. - Wydawało mi się, że dobrze wiesz, co znaczy praca w pełnym wymiarze czasu.

- W pełnym wymiarze nie znaczy „na okrągło” - odpowiedziałam. - Każdemu należy się trochę wakacji.

- Praca u mnie to wakacje.

- Bez obrazy, panie Monk, ale to nie są wakacje.

- Przecież jestem wesołym człowiekiem, prawda?

- Jak najbardziej - odparłam. - Ale poza pracą mam jeszcze swoje życie.

- No, nie wiem - wysapał. - W każdym razie zgadzamy się co do jednego. Nigdzie nie jedziesz.

- Panie Monk, pojedę na Hawaje, nawet gdyby miał mnie pan zwolnić z pracy - oświadczyłam. - Candace to moja najlepsza przyjaciółka, jeszcze z dzieciństwa. Była na moim weselu. Była ze mną, kiedy się urodziła Julie. Była, kiedy Mitch zginął w Kosowie. Teraz ja zamierzam być z nią.

Monk spojrzał na mnie beznadziejnie smutnym wzrokiem.

- Ale kto w tym czasie będzie ze mną?

- Skontaktowałam się z agencją pracy dorywczej, przyślą panu kogoś.

Monk wydał z siebie jeszcze jedno chrypliwe, ciężkie sapnięcie, a potem gwałtownie nabrał powietrza w płuca. Powoli zaczynało mi to działać na nerwy.

- Panie Monk, nie jesteśmy w szpitalu. Już nie musi pan ograniczać wdechów.

- Nie ograniczam.

- To co pan robi?

- Mam wylew - jęknął Monk i osunął się na mnie.

Chwyciłam go pod ramię, otworzyłam drzwi do budynku, w którym mieścił się gabinet doktora Kro - gera, i wciągnęłam Mońka do poczekalni.

W tym momencie z gabinetu wynurzył się doktor Kroger, z pewnością zaniepokojony melodramatycznym zachowaniem Mońka.

Psychiatra Mońka jest zadbanym, wysportowanym mężczyzną po pięćdziesiątce; typem faceta, który nie próbuje ukryć wieku, bo jest dumny z tego, jak dobrze wygląda mimo upływających lat. Jego obecność działa na mnie kojąco, ale wyobrażam sobie, że mieszkanie z nim pod jednym dachem mogłoby być irytujące. Kusiłoby mnie robienie mu wielu okropnych figłów, byle wyprowadzić go z równowagi i zachować własne zdrowie psychiczne. Czy to znaczy, że jestem wariatką?

- Co się stało, Adrianie? - zapytał łagodnym głosem doktor Kroger, biorąc Mońka pod ramię i pomagając mi posadzić go w fotelu w gabinecie.

- Rozległy... zawał... serca... - wystękał Monk, zapadając się w fotel przed dużym oknem, za którym widać było kamienny dziedziniec i bulgoczącą na nim fontannę.

- Sądziłam, że mówił pan coś o wylewie - powiedziałam.

- I wylew... - dokończył Monk. - Czuję, jak moje wewnętrzne organy jeden po drugim przestają funkcjonować.

Doktor Kroger odwrócił się od Mońka i wwiercił we mnie swój intensywny, psychiatryczny wzrok.

- Co się stało, pani Teeger?

- Powiadomiłam pana Mońka, że jutro wyjeżdżam z miasta i wrócę dopiero za tydzień - wyjaśniłam, zastanawiając się, czy piękna opalenizna doktora Kro - gera bierze się od słońca, z solarium czy tylko z samo - opalacza.

- Rozumiem - powiedział, patrząc na mnie z ukosa. - I powiadomiła go pani o tym tuż przed wejściem do mojego gabinetu?

Dobrze wiedziałam, co sobie myśli - ba, nawet i n - s y n u u j e - i nic mnie to obchodziło. Doszłam do wniosku, że płacę mu za to, żeby umiał się uporać z takimi sytuacjami. I pewnie to lubi, bo inaczej nie zdecydowałby się na taki zawód.

Przytaknęłam więc i posłałam mu serdeczny uśmiech.

- Nie inaczej - powiedziałam. - Dostał już pan najnowszy numer „Esquire’a”?

W wizytach Mońka u terapeuty najbardziej podobało mi się to, że doktor Kroger prenumerował mnóstwo kolorowych czasopism i mogłam sobie czytać artykuły, których normalnie nigdy bym nie przeczytała. W ciągu czterdziestu pięciu minut przejrzałam „Maxima”, „GQ” oraz „FHM” i dowiedziałam się, że wszystkie kobiety mają „tajny guzik”,

po którego dotknięciu doznają niekontrolowanego, wielokrotnego orgazmu. Odkryłam także, że istnieje pewna taktyka podrywu, której nie oprze się żadna kobieta. Właściwie jest to nie tyle taktyka, ile opowiadanko usiane zmyślnymi pułapkami psychologicznymi, które działając na podświadomość, wyzwalają w kobiecie instynktowną potrzebę natychmiastowej kopulacji.

Wystarczy opowiedzieć wspomnienie szalonej jazdy kolejką górską w lunaparku; o tym, jak się zaczynała powolną, równomierną wspinaczką, która każdy mięsień ciała napinała uczuciem podniecenia i wyczekiwania.

I o tym, jak kolejka w końcu wjeżdżała na sam wierzchołek niewiarygodnie wysokiego szczytu, gdzie jakby zatrzymała się na jedną, pełną udręki chwilę, by raptem runąć w przepaść, zapierając dech w piersiach. I jak nigdy w życiu nie przeżyłeś tak radosnego uniesienia, i jak byłeś zszokowany, słysząc własny, niepohamowany krzyk, wyrywający się z gardła na każdym porywającym zakręcie.

I jak czułeś mrowienie na całym ciele, kiedy było już po wszystkim, i jak myślałeś tylko o jednym, żeby móc przeżyć to jeszcze raz... i jeszcze raz.

Odłożyłam czasopisma i siedziałam przez chwilę, zaciekawiona, czy poczuję teraz to nieprzeparte pragnienie odnalezienia u siebie owego magicznego guzika.

Kiedy jakiś czas później z gabinetu Krogera wyszedł Monk, wciąż daremnie czekałam. Monk robił wrażenie nadzwyczaj spokojnego. Jeśli się dobrze zastanowić, ja również byłam spokojna, a przecież na widok dwóch mężczyzn powinnam się była ślinić i odczuwać niekontrolowane pożądanie.

- Wszystko w porządku? - zapytałam.

- Słodziusko - odparł Monk i minąwszy mnie, wyszedł z budynku.

Spojrzałam na doktora Krogera.

- Chyba nie dał mu pan tabletek uspokajających?

Doktor Kroger zaprzeczył ruchem głowy.

- Adrian po prostu się pogodził ze swoją sytuacją.

- Naprawdę?

- W tej chwili jest w dobrym stanie emocjonalnym.

- Jak pan myśli, długo ten stan potrwa?

- Adrian wie, jak się ze mną skontaktować na wypadek kryzysu - odpowiedział doktor Kroger.

- Dla niego każdy dzień jest kryzysem. Wczoraj wieczorem nie mógł zasnąć po obejrzeniu 39 kroków Alfreda Hitchcocka. Przez cały następny dzień wisiał na telefonie i starał się przekonać kogoś w telewizji, żeby dodali do tytułu jeszcze jeden krok.

- Niech się pani nie martwi o Adriana. Nic mu nie będzie. - Doktor Kroger się uśmiechnął i poklepał mnie po ramieniu. - Miłych wakacji.

Monk mieszkał w kamienicy przy ulicy Pine, dosłownie kilka przecznic od gabinetu doktora Krogera, w przytulnej okolicy, której jakoś się udało uniknąć losu innych dzielnic miasta, które utraciły swój naturalny urok i których standardy podniesiono ponad normalne możliwości finansowe mieszkańców.

Ponieważ mieszkał blisko, nie czekał, aż odwiozę go do domu. Pokiwał mi tylko od niechcenia ręką na pożegnanie i ciężkim krokiem, smutny, ruszył pieszo pod górkę.

No i dobrze, pomyślałam. Bądź sobie taki. Rozdrażnione dziecko. Nic mnie to obchodzi.

Ale tak naprawdę bardzo mnie to obchodziło. Szarpały mną wyrzuty sumienia, ale zaraz przeklęłam się za to w duchu. Nie będę sobie robiła wyrzutów tylko dlatego, że potrzebuję trochę czasu dla siebie i chcę być na ślubie mojej najlepszej przyjaciółki.

Dlaczego mam się czuć winna? Pracowałam dla Mońka i byłam jego przyjaciółką. Ale nic więcej. Nie byłam za niego odpowiedzialna.

Córki nie zabierałam w podróż, ale Julie się na mnie nie gniewała. Cieszyło ją, że się zobaczę z Can - dace, a poza tym, choć bardzo chciałyby pojechać na Hawaje, to wolała nie robić sobie teraz zaległości w szkole. Był też inny powód, dla którego Julie nie miała nic przeciwko temu, żeby zostać w domu.

- Mamo, cały czas jesteśmy razem - powiedziała znużonym głosem, którym przemówić może tylko wymęczona, dorastająca nastolatka. - Wiesz, kocham cię, ale czasami to trochę za dużo. Też muszę sobie odpocząć.

Nie wątpię, że było w tych słowach wiele prawdy. W końcu też byłam kiedyś dzieckiem. Wiedziałam, co czuła. Ale było w nich też coś więcej. Julie się cieszyła, że spędzi z babcią cały tydzień. Moja mama nie tylko pozwalała jej nie kłaść się spać do późnego wieczoru i jeść, na co tylko ma ochotę, ale uwielbiała też chodzić z Julie na wielkie zakupy. Jako że nieczęsto przyjeżdża do San Francisco, wobec jedynej wnuczki prowadzi politykę otwartej książeczki czekowej. Mogłam być pewna, że po powrocie szafę w pokoju Julie zastanę pełną nowych rzeczy. Może nawet znajdę tam kucyka.

Doszłam do wniosku, że skoro dwunastoletnia córka potrafi zaaprobować mój kilkudniowy wyjazd, to tym bardziej powinien go zaaprobować Adrian Monk. W końcu jest dorosłym człowiekiem. Przeżyje, jeśli nie będzie mnie w pobliżu z naręczem chusteczek higienicznych.

Hm, przeżyje, ale czy będzie umiał funkcjonować?

Jasne, że tak, mówiłam sobie. Funkcjonował przecież beze mnie, zanim się poznaliśmy.

Oczywiście, to były inne czasy - w każdym razie tak tłumaczył mi Stottlemeyer.

Chociaż Monk zawsze przejawiał objawy zaburzeń kompulsywnoobsesyjnych, to w przeszłości potrafił je na tyle kontrolować, by pełnić służbę w policji San Francisco, a nawet awansować z szeregowca patrolującego ulice na oficera śledczego do spraw zabójstw.

To się jednak zmieniło, kiedy od wybuchu bomby podłożonej w samochodzie zginęła żona Mońka, Trudy, dziennikarka pracująca jako wolny strzelec. Trudy była najbardziej stabilizującym czynnikiem w życiu Mońka. Bez niej był zagubiony. Żal po stracie żony, połączony z niemożnością rozwikłania zagadki jej morderstwa, gryzł go nieustannie. Jego życiem zawładnęły fobie i nerwica natręctw. To kosztowało go odznakę policyjną - bardzo mu drogą i nie mniej ważną dla utrzymania równowagi w życiu niż osoba jego żony.

Ja co prawda nie miałam skłonności do natręctw, ale świetnie wiedziałam, że strata współmałżonka może zmienić człowieka wręcz niewyobrażalnie. Po śmierci Mitcha ocalała mnie córka. Musiałam się skupić na tym, że pozostałam jej tylko ja. Ta świadomość, to zobowiązanie, trzymały mnie na powierzchni, gdy wyjące wichry żalu próbowały zbić mnie z nóg.

Mońka natomiast ocalały dwie rzeczy: po pierwsze Stottlemeyer zaproponował mu pracę konsultanta policji, a po drugie, za usilną namową doktora Kroge - ra Monk przyjął do pracy, w pełnym wymiarze godzin, pielęgniarkę, która miała go przywrócić światu.

Po kilku latach pielęgniarka niespodziewanie wyjechała do New Jersey, by poślubić swojego byłego męża. Jednak do tego czasu Monk na tyle doszedł do siebie, by wiedzieć, że stała pielęgniarka nie jest mu już potrzebna, choć przydałaby mu się jakaś opieka.

I tak poznał mnie, ale to już zupełnie inna historia.

Nie robiłam dla niego nic ponadto, co robiłby każdy inny człowiek obdarzony cierpliwością. Ani nic, czego nie potrafiłby zrobić sam, gdyby tylko dobrze się do tego przyłożył.

Byłam przekonana, że Monk w ogóle nie potrzebuje żadnej asystentki; po prostu lubił mieć blisko siebie kogoś, z kim mógłby porozmawiać i kto załatwiałaby za niego różne drobne sprawy. Bo gdyby sam musiał je załatwiać, odciągałoby to go od tego, co potrafił najlepiej - od rozwiązywania zagadek kryminalnych.

Gzy więc mój tygodniowy wyjazd naprawdę zmieni mu tak bardzo życie?

Nie, zapewniałam sobie, oczywiście, że nie. Przecież nie zostaje sam na świecie. Zawsze może się zwrócić o pomoc i do doktora Krogera, i do kapitana Stot - tlemeyera, i do pracownika z agencji.

To więcej niż trzeba.

Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Miałam też nadzieję, że wyrzuty sumienia przestaną mnie dręczyć przed wylotem na Hawaje.

Monk i pigułka

Aby zdążyć na lot do Honolulu o ósmej rano, musiałam wyjechać z domu już o piątej. Pojechałam na lotnisko, zostawiłam samochód na całodobowym parkingu i wsiadłam do busiku, który zawiózł mnie na odpowiedni terminal. Najpierw się ustawiłam w długiej kolejce do odprawy biletowej, a potem w równie długiej kolejce do bramki bezpieczeństwa. Mimo to dotarłam do rękawa, mając w zapasie dwadzieścia minut.

Kiedy się sadowiłam w ciasnym fotelu klasy ekonomicznej, przygotowując się do pięciogodzinnej podróży, myślami krążyłam bardzo daleko od Adriana Mońka.

Stewardesy w samolocie były rodowitymi Hawaj - kami lub Polinezyjkami. Ubrane były w kwieciste hawajskie koszule, a we włosy miały wpięte czerwone kwiaty hibiskusa.

Na monitorach w samolocie można było zobaczyć film z palmami, wodospadami i dziewiczymi hawajskimi plażami. Zewsząd rozbrzmiewały dźwięki hawajskiej muzyki - łagodnych rytmów wygrywanych na ukulelel, ukeke i gitarze hawajskiej i melodyjnych piosenek ludowych, płynących cicho niczym morska fala, która leniwie pluszcze na białym piasku.

Zamknęłam oczy i westchnęłam głęboko. Samolot dopiero kołował na płycie lotniska, ale emocjonalnie i umysłowo od tygodni nie czułam się tak zrelaksowana. Powoli cichł gwar pasażerów, odpływał gdzieś pomruk toczonych rozmów, kwilenie małych dzieci, szum silników, a nawet dźwięki tych słodkich dla ucha hawajskich melodii.

Zanim się zorientowałam, spałam w najlepsze.

Chwilę później, jak mi się zdawało, obudziło mnie delikatne dotknięcie stewardesy. Pytała, czy mam ochotę na śniadanie.

- Mamy do wyboru omlet z serem i grzybkami, naleśniki z orzechami makadamii lub talerz owocowy - wyliczała, wyciągając z wózka tacki i pokazując potrawy.

Wszystkie propozycje wywołały we mnie jakiś dziwny jadłowstręt. Nawet owoce wyglądały tak, jakby ktoś nurzał je w tłuszczu.

- Nie, dziękuję bardzo - powiedziałam.

Spojrzałam na zegarek i ku własnemu zaskoczeniu zobaczyłam, że przespałam kolowanie, start i czterdzieści pięć minut lotu.

- Jeśli ta pani nie chce śniadania, to ja chętnie zjem jej porcję - usłyszałam jakiś męski głos.

Głos był mi dobrze znany. Ale musiałam się mylić. Niemożliwe, aby to był ten, kogo mi ów głos przypominał.

- Pan już otrzymał posiłek, proszę pana - powiedziała stewardesa.

Próbowałam dostrzec, z kim rozmawia, ale wózek przesłaniał mi widok.

- Ale kończę omlet, a wciąż jestem głodny i chciałbym spróbować naleśników - perorował mężczyzna.- Skoro ta pani nie zamierza zjeść swojej porcji, to co za różnica, kto ją zje?

Nie, to nie był on. Nigdy nie powiedziałby tego, co właśnie usłyszałam. Ba, nigdy nawet nie wszedłby do samolotu, a już z całą pewnością nie usiadłby na miejscu oznaczonym nieparzystym numerem w trzydziestym pierwszym rzędzie.

Głos, który słyszałam, to zapewne dręczące mnie wyrzuty sumienia. Tak, na pewno.

Stewardesa przymusiła się do uśmiechu, wyciągnęła tackę z naleśnikami i podała ją pasażerowi, który siedział po drugiej stronie wózka.

- Mm, pycha... - zamruczał znajomy głos. - Wygląda tak, że palce lizać. Dzięki, moje serduszko.

To niemożliwe!

Stewardesa pchnęła wreszcie wózek i z drugiej strony spojrzał na mnie uśmiechnięty od ucha do ucha Adrian Monk z ustami pełnymi naleśnika.

- Nawet nie wiesz, co tracisz - powiedział. - Niebo w gębie!

Zamrugałam kilka razy. Monk wciąż siedział po drugiej stronie.

- Pan Monk?

- Hej, siostrzyczko, jesteśmy po godzinach. Wystarczy Monk, dajmy sobie trochę luzu.

- Monk?

- Masz rację, to wciąż brzmi sztywno. Mów do mnie Chad.

- Chad?

Tego było dla mnie za wiele, to działo się zbyt szybko. Albo jeszcze spałam i całe to spotkanie mi się śniło, albo, co gorsza, dawno się obudziłam i miałam halucynacje.

Monk się pochylił w moją stronę i szepnął:

- Chad brzmi o wiele bardziej... tropikalnie niż Adrian, nie sądzisz?

- Co pan tu robi? - odszepnęłam.
- Oczywiście lecę na Hawaje - odpowiedział.
- Ale pan nie znosi latania.

Puścił moje słowa mimo uszu i trącił łokciem siedzącego obok zwalistego mężczyznę. Pasażer miał na sobie nieco przyciasne polo, jakie się nosi do gry w kręgle, i bermudy w szkocką kratę. Monk wskazał na stojący przed nim talerz ze śniadaniem.

- Pan kończy kielbaskę?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Za słona, jestem na ścisłej diecie.

Monk nadział na widelec nadgryzioną kielbaskę.

- Chyba pan tego nie zje? - zapytałam z niedowierzaniem.

Powąchał kielbaskę.

- Umm, pachnie pięknie. Najpewniej wędzona. - Po tych słowach odgryzł połowę porcji, a drugą połowę podsunął mi pod nos. - Chcesz resztę?

Potrząsnęłam energicznie głową i odsunęłam jego rękę. Kielbaska zsunęła się z widelca i upadła na podłogę. Monk nadział ją ponownie.

- Zasada dwóch sekund - rzucił krótko i wepchnął sobie kielbasę do ust.

Byłam pewna, że to nie może się dziać naprawdę. Odwróciłam się do siedzącej obok mnie dziewczynki. Miała jakieś dziesięć lat i słuchała muzyki z iPod'a.

- Przepraszam - zagadnęłam.

Zdjęła słuchawki z uszu.

- Tak, proszę pani?

- Czy widzisz za mną mężczyznę?

Przytaknęła.

- Możesz mi go opisać?

- Jest biały, w sportowej koszuli zapiętej pod szyję i w sportowej marynarce - powiedziała. - Chyba będzie mu gorąco na Hawajach, prawda?

- Co robi?

Wychyliła się mocniej i zachichotała.

- Pokazuje mi język.

Odwróciłam się do Mońka, który rozciągał sobie usta palcami, wywijał językiem i robił do dziewczynki zeza.

Pacnęłam go ręką.

- Co się z panem dzieje? - zapytałam.

Mimo wszystko poczułam ulgę, że nie zwariowałam. To nie tłumaczyło jednak dziwnego zachowania Mońka ani tego, co w ogóle robił na pokładzie samolotu lecącego na Hawaje.

Oblizwał wargi i mlasnął głośno kilka razy.

- Mam suche usta - stwierdził i odwrócił się do sąsiada. - Miał pan rację, kielbaska była za słona. Muszę się napić. Można?

Podniósł swoją tacę i podał ją pasażerowi, aby ją potrzymał. Mężczyzna wziął ją do ręki.

- Dzięki.

Monk się podniósł, zamknął swój stoliczek, wstał i ruszył między rzędami na tył samolotu. Patrzyłam za nim, odwracając się przez ramię, i zobaczyłam, jak pije wodę z dystrybutora.

Wyskoczyłam z fotela i podbiegłam do niego.

- Czy pan oszalał, panie Monk? To najbardziej trująca woda, jakiej może pan się napić.

- Ludzie codziennie piją wodę z dystrybutorów.

- Picie takiej wody w samolocie to jak picie wody z klozetu.

- Psy piją taką wodę i nic im nie jest - powiedział Monk. - Jakoś ich nie zabija.

Wyluzuj, słodka biała damo.

Biała damo?!

- Panie Monk! - powiedziałam stanowczym głosem z nadzieją, że zacznie mnie wreszcie słuchać. - Czy pan coś brał?

- Ustaliliśmy chyba, że miałaś do mnie mówić Chad.

- Jednak pan coś brał.

- Doktor Kroger wypisał mi kiedyś receptę na lek, który łagodzi objawy w okolicznościach ekstremalnych.

- Jakie objawy?

- Wszystkie - odpowiedział. - Skoro już wstałem, to chyba skorzystam z toalety.

- Chyba pan żartuje! - wyrwało mi się.

W San Francisco, niezależnie od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, Monk zawsze w takim wypadku prosił, żebym zawiozła go do domu, do jego łazienki.

- A niby gdzie miałbym się załatwić twoim zdaniem?

Przecisnął się obok mnie, otworzył drzwi do łazienki i wszedł do środka. Monk korzystał z publicznej toalety! W życiu bym nie uwierzyła, że do czegoś takiego dojdzie.

Przeszłam jeszcze dalej, aż do kuchni, i poprosiłam stewardesę o drinka.

- Na co pani ma ochotę? - zapytała stewardesa.

- Na szkocką - odpowiedziałam.

Chwilę później z łazienki wyszedł Monk, zupełnie się nie przejmując przyczepionym do buta kawałkiem papieru toaletowego.

- Niech pani naleje dwie szkockie - powiedział do stewardesy.

Pozostała część lotu to było prawdziwe piekło.

Wprawdzie Monk nie narzucał się obsesyjnie w kwestiach, co jest jak poukładane (czy, mówiąc ściślej, niepoukładane), i nie wpadał w panikę z powodu spraw, obok których normalni ludzie przechodzą obojętnie, ale wyprowadzał mnie z równowagi z zupełnie innych powodów. Zachowywał się jak niesforny dzieciak.

Co takiego robił? Zaraz, niech się zastanowię, od czego zacząć.

Zaczął na pokładzie dyrygować wspólnym odśpiewaniem piosenki z serialu Hawaii Five-0, przy czym każdy kolejny wykonawca musiał podłożyć do melodii własne słowa. Tekst Mońka brzmiał tak:

Gdy w kłopoty wpadniesz, Mońka wołaj, to ja.

Kiedy trupa znajdziesz, Mońka wołaj, bo ja... bo ja...

Stój! W imieniu prawa.

Stój! Wygarnę z gnata.

Bo zabójcę złapię, złapię tylko ja. Mońka wołaj, Monk to ja...

Były inne teksty, ale już ten jest wystarczająco zły. Nie dawał mi spokoju przez całą podróż. To była zbrodnia przeciw ludzkości, bo z całą pewnością nie byłam jedyną jego ofiarą. (Bywa, że nawet dzisiaj ten tekst wraca do mnie w najmniej spodziewanej chwili i torturuje niemiłosiernie przez wiele godzin.)

Potem zdjął buty i snuł się boso między rzędami, zagadując zniecka wystraszonych pasażerów.

- Jestem tym Monkiem - odezwał się do jakiejś kobiety. - Pani czyta interesującą książkę. Mógłbym przeczytać jeden rozdział? Tak, wiem... w takim razie przeczytam go na głos.

I przeczytał.

Przeszedł również do części kuchennej, gdzie suszył stewardesom głowę prośbami o przepis na naleśniki z orzechami makadamii, kategorycznie nie przyjmując do wiadomości, że naleśniki były mrożone, a one tylko je odgrzały.

- Ależ one były takie pulchniutki, takie świeżutki - mówił Monk.

Spalaszował poza tym dwadzieścia jeden paczuszek prażonych orzeszków ziemnych, rozrzucając opakowania po całym samolocie.

- Wszystko powinno być prażone na sucho - obwieścił wszystkim dookoła. - Czy ktoś próbował już prażonego na sucho kurczaka? Albo płatki zbożowe z rodzynkami? Możliwości są nieograniczone!

Myślałam, że ten lot nigdy się nie skończy. W końcu jednak samolot zaczął podchodzić do lądowania na Oahu. Wystarczyło spojrzeć przez okno na wyspę, by cała frustracja powodowana zachowaniem Mońka odeszła, jakby ręką odjął - oto dowód na to, jak piękne są Hawaje.

Zbliżając się do Międzynarodowego Lotniska w Honolulu, przelatywaliśmy nad Pearl Harbor i oglądaliśmy cudowne widoki na Waikiki i krater wulkanu Diamond Head. Kolory były tak jasne, góry tak lśniące, a ocean tak błękitny, że z wysoka to wszystko wydawało się nieprawdziwe. Trochę mi przeszkadzało, że patrzyłam przez maleńki światek. Izolował mnie od piękna. Równie dobrze mogłabym to wszystko oglądać w telewizji.

Zresztą jeśli chodzi o Hawaje, telewizor był dotychczas dla mnie jedynym odniesieniem. Nie potrafiłam patrzeć na linię brzegową Waikiki, nie mając w pamięci tytułowego ujęcia z serialu Hawaii Five-0, kiedy kamera najeżdża znad wody na najwyższy dach

39

38 hotelu, na którym stoi spokojnie, z nieprzejeđną miną, Jack Lord w niebieskim garniturze.

Naturalnie to wspomnienie natychmiast przywołało mi z pamięci improwizowany, okropny tekst Mońka do melodii z serialu.

Po wyjściu z samolotu powitały nas hostessy naszych linii lotniczych, które założyły nam na szyje wonne kwietne girlandy, zapraszając z uśmiechem na hawajskie wyspy.

Ku mojemu zdziwieniu Monk się nie bronił ani przed girlandą, ani przed całusem, który hostessa złożyła mu na policzku. Całe szczęście, że nie prosił mnie o chusteczkę, bo nie wzięłam ani jednej.

W Honolulu mieliśmy godzinę przerwy na czter - dziesięćminutowy lot na Kauai. Lotnisko było tak sympatyczne, że nie przeszkadzałyby mi nawet dwie godziny oczekiwania na przesiadkę. Główny terminal przypominał olbrzymie patio pod gołym niebem, w środku znajdował się japoński ogród i ozdobny staw koi, pełen ośmiokilowych karpia, które pewnie mogłyby mi odgryźć rękę. Przez lotnisko wiały kojące pasaty, dzięki czemu człowiek czuł się tutaj jak w nadmorskim hotelu.

Aby przesiąść się na samolot na Kauai, musieliśmy przejechać busikiem WikiWiki1 na terminal lotów lokalnych. Na szczęście nie było to daleko, bo Monk chichotał przez cały czas i powtarzał w kółko wiki, wiki, wiki...

Gdy dotarliśmy na miejsce, zostawiłam Mońka w hali odlotów pod pretekstem, że muszę skorzystać z toalety. Była to prawda, ale chciałam również w spokoju i prywatności odbyć pewną rozmowę.

Zadzwoiłam z telefonu komórkowego do doktora Krogera i opowiedziałam mu, co się wydarzyło.

- To niebywałe - stwierdził doktor Kroger.

W jego głosie wyczułam pewne zaskoczenie, ale ani trochę przestraszu. Najwyraźniej nie patrzył na tę sytuację z mojego punktu widzenia.

- Można i tak powiedzieć - zauważyłam.

- Cóż, jestem rozczerowany, że Monkowi jednak się nie udało pokonać lęków związanych z samodzielnością. Ale z drugiej strony, cała ta sprawa to oznaka sporego postępu. To dla Adriana potężny krok naprzód, działał impulsywnie, wybrał się w daleką podróż bez długiego namysłu i bez obsesji planowania każdego szczegółu.

- On nie jest sobą - powiedziałam.

- Każdy się zmienia, pani Teeger. Nasza osobowość codziennie ewoluje ku jakiejś formie nowego „ja”. Proszę nie zamykać go w ciasnych ramach swoich wyobrażeń dotyczących tego, jaki Monk powinien być.

Nigdy w życiu nie słyszałam podobnych bredni.

- Pan mnie chyba nie rozumie, doktorze Kroger - powiedziałam. - Monk nie ewoluuje. Monk się nałykał tabletek.

- Jakich tabletek?

- Tych, które mu pan przepisał na zaburzenia ob - sesyj nokompulsywne.

- Dioxynlu? - powiedział doktor Kroger. - Przepisałem mu ten lek dawno temu, kiedy był w tak złym stanie, że już z niczym nie potrafił sobie radzić. Jestem zaskoczony, że znowu go zażył. Obiecał, że nigdy więcej tego nie zrobi.

- Dlaczego obiecał? - zapytałam. - Czy ten lek ma jakieś działania uboczne?

- Nieznaczące, ale w jego przypadku szczególnie nietypowe. Lek przytępia cechy osobowości, które są dla niego ważniejsze niż ulga wynikająca z umniejszenia fobii i obsesji.

- Ma pan na myśli coś takiego, jak panowanie nad sobą i poczucie zdrowego rozsądku?

- Lek odbiera mu największy talent, jego zdumiewające umiejętności logicznego myślenia, które kształtują tożsamość Mońka - wyjaśniał doktor Kroger. - Innymi słowy, pani Teeger, kiedy Monk zażywa lek, staje się marnym detektywem.

Nic dziwnego, że nigdy nie widziałam, jak Monk łyka tabletki, choćby nie wiem jak doskwierała mu nerwica natręctw.

- Jak długo trwa działanie leku?

- Około dwunastu godzin - odpowiedział Kroger. - W zależności od dawki.

Spojrzałam na zegarek. Zakładając, że Monk zażył lek krótko przed wylotem, zostało mi jeszcze sześć godzin piekła, może godzinę więcej lub mniej, a potem pigułka przestanie działać i znajdę się w innym, ale dobrze mi już znanym piekle.

- Co robić, kiedy pigułka przestanie działać, a Monk stanie się znowu Monkiem?

- Nie bardzo rozumiem.

- Chodzi mi o to, że to miały być moje wakacje.

- Och, musicie to jakoś załatwić między sobą - odparł doktor Kroger, a ja, oczami wyobraźni, widziałam uśmiech rozbawienia na jego twarzy. - Kto wie, może uda wam się spędzić razem wspaniałe chwile.

Rozłączyłam się. Mimo woli zaczęłam się zastanawiać, czy doktor Kroger specjalnie nie wysłał Mońka w podróż, odpłacając mi pięknym za nadobne.

Kiedy dotarłam do naszego stanowiska odlotu, nie widziałam nigdzie Mońka, choć przyznam szczerze, specjalnie się za nim nie rozglądałam. Nie miałam najmniejszej ochoty, żeby zakłócił mi wakacje - jeżeli mogłam je jeszcze nazywać wakacjami.

Polinezyjczyk potężnej postury, który stał przy wejściu linii Hawaiian Airlines, ubrany w hawajską koszulę i luźne niebieskie spodnie, obwieścił głośno, że można już wchodzić na pokład naszego samolotu.

Monk przybiegł zdyszany, kiedy pasażerowie zaczęli już zajmować miejsca. Miał na sobie jasnożółtą hawajską koszulę z krótkimi rękawami, we wzorki z tancerkami hula, i pałaszował ze smakiem orzeszki makadamii w czekoladzie, wyjadając je ustami wprost z pudełka. Koszulę i marynarkę, które miał na sobie w czasie lotu, upchnął byle jak w dużej, plastikowej reklamówce.

Chyba pierwszy raz w życiu widziałam obnażone ramiona Mońka. Zwykle nosi wyjściowe koszule z długimi rękawami i mankietami zapiętymi na guziki.

Sama już nie wiedziałam, co mnie bardziej szokuje: to, że wepchnął swoje rzeczy do plastikowej torby, nawet ich nie składając, czy to, że kupił jasnożółtą koszulę we wzór, który nie pasował do siebie na szwach.

W końcu doszłam do wniosku, że chyba jednak koszula.

- Oczom nie wierzę, że kupił pan sobie taką koszulę.

- Prawda, że ładna?

- Tak, bardzo ładna - odpowiedziałam. - Ale zupełnie nie w pana guście.

- Jesteśmy na Hawajach. Czuję już tutejsze alo - ha. Ty nie?

- Jeszcze nie.

- Musisz się trochę wyluzować - powiedział. - Nie można być takim sztywniakiem.

- Pan mnie nazywa sztywniakiem?

- Tak mówi Monk.

Zmrużyłam oskarżycielsko oczy.

- Doktor Kroger pana do tego namówił, prawda? Zasugerował, żeby pan pojechał ze mną na Hawaje?

- Nie - odpowiedział Monk. - Po prostu musiałem się wyrwać z tego wielkomięjskiego wyścigu szczurów.

- Nie dojeżdża pan codziennie do pracy, nie pracuje pan w biurze, nie odbija pan karty pracy rano i po południu, w ogóle nie ma pan do czynienia z ludźmi - ciągnęłam. - Co pan może wiedzieć o wyścigu szczurów?

- Żyję w samym sercu toru wyścigowego - powiedział. - Wczoraj wieczorem widziałem, jak dwa szczury przebiegły po moim płocie - powiedział Monk. - Przynajmniej tak mi się zdawało.

- Pewnie to była wiewiórka.

- Powszechnie znana jako wielki szczur. - Monk się uśmiechnął do strażnika przy bramce bezpieczeństwa i wyciągnął do niego otwarte pudełko ze słodkościami. - Poczęstuj się pan?

- Jasne. - Strażnik też się uśmiechnął, włożył rękę do pudełka i wyjął orzeszka. - Mahalo2, bracie.

- Alohal - Monk wrzucił sobie do ust kolejnego orzeszka i żwawo ruszył korytarzem do samolotu.

Raptem ogarnęło mnie potworne przeczucie, że czeka mnie długi, bardzo długi tydzień - a wtedy jeszcze nie wiedziałam nic o morderstwach.

Monk przybywa na miejsce

Kiedy lecieliśmy nad Kauai i zbliżaliśmy się do lotniska w Lihue, zaskoczył mnie wiejski charakter krajobrazu tej wyspy w porównaniu z Oahu. Spodziewałam się, że Kauai jest o wiele bardziej zurbanizowana, z wybrzeżem podobnym do plaży Waikiki, zapchanym

strzelistymi wieżowcami hoteli. Ale taka nie była. Plaże wyglądały tu wręcz dziewiczo, budynki hotelowe były niskie i stały w dużej odległości od siebie, w scenerii soczyście zielonych gór, porośniętych deszczowymi lasami i poprzecinanych pręgami wodospadów.

Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, kiedy szliśmy z Monkiem przez małe lotnisko, były uśmiechnięte twarze. Nie sądzę, bym kiedykolwiek, może poza wizytą w Disneylandzie, widziała tylu uśmiechających się ludzi.

Tu jednak nikt nikomu nie płacił za udowadnianie, że przebywają w najszcześniejszym miejscu na ziemi. To były uśmiechy absolutnie niekłamane, uśmiechy ludzi, którzy zaznali rajy bądź też zaznają go lada chwila. Wiem, bo sama miałam taki uśmiech na twarzy. Monk również. Tak szerokiego uśmiechu u Mońka nie widziałam nigdy wcześniej. Przez chwilę się nawet cieszyłam, że też tu przyjechał. Chwila ta jednak szybko minęła, kiedy sobie przypomniałam, że niebawem lek przestanie działać.

Powietrze było gorące i parne. Przez otwartą halę odbioru bagaży wiała lekka, przyjemna bryza. Nie mogłam wyjść ze zdumienia, widząc, że Monk zdejmuje z podajnika zaledwie dwie walizki - tyle samo, ile zabrałam ja.

Kiedyś, gdy w związku z plagą termitów kamienicę Mońka poddano dezynsekcji, Monk przez kilka dni mieszkał u mnie w domu. Wtedy również zabrał ze sobą tylko dwie walizki. Poza tym jednak wynajął firmę przeprowadzkową, która przewiozła do mnie wszystkie jego meble i lodówkę. Słyszałam też, że na wyprawę do Meksyku zabrał zapas jedzenia i picia na cały tydzień.

- Nie wziął pan za mało rzeczy? - zapytałam.

- Przyjechałem na wakacje - odpowiedział Monk. - Przecież się nie przeprowadzam na Hawaje.

Doszłam do przekonania, że musiał zażyć magiczną pigułkę wczoraj wieczorem, stąd znalazł w sobie dość werwy, by zarezerwować bilet lotniczy, i dość spokoju, by nie pakować zbyt wielu rzeczy - w przeciwnym razie w ogóle nie wyruszyłby w podróż.

Zanieśliśmy walizki na chodnik przed lotniskiem, gdzie natychmiast spostrzegłam Candace i jej narzeczonego; czekali na nas przed fordem mustangiem z otwieranym dachem.

Candace miała na sobie lekki top wiązany na karku, na głowie kapelusz przeciwsłoneczny z szerokim rondem, biodra miała owinięte krótką, kwiecistą chustą. Wyglądała, jakby wyszła prosto z oceanu. Podobnie jak inni napotkani ludzie, strzelała do nas promiennym uśmiechem. Jak sięgałam pamięcią, Candace zawsze była puciołowata i nieustannie się zamartwiała swoją wagą. Dziś nie była ani trochę smuklejsza, więc widząc, z jaką śmiałością odsłania ciało, uświadomiłam sobie, że musi być szczęśliwa i pełna wiary w

siebie. Tylko miłość dobrego mężczyzny może tak odmienić kobietę. Wiem to z własnego doświadczenia.

Brian Galloway, jej dwudziestoparoletni narzeczony, miał na sobie luźny bezrękawnik znanej hawajskiej firmy Red Dirt, wyłożony na sięgające kolan, luźne spodnie z bocznymi kieszeniami. Na głowie miał wystrzępiony słomiany kapelusz i okulary przeciwsłoneczne Ray Ban, które ustawicznie zsuwały mu się z wielkiego, spieczonego od słońca nosa. Gdyby zaprosili go do telewizyjnego show Totalna przemiana, to zaczęliby chyba właśnie od operacji nosa. Galloway miał parodniowy zarost, prawdopodobnie pozostawiony raczej z lenistwa niż z zamysłu. Było mu z nim do twarzy i Candace najpewniej mu to powiedziała. Charakteryzował się przeciętną budową ciała, której, jak się zdawało, do obwisłego brzuszka brakowało kilku piw i paczki Cheetos i która dla mojej najlepszej przyjaciółki, jak myślę, była idealna.

Candace wrzasnęła dziko i pobiegłyśmy ku sobie jak małe dziewczynki, by paść sobie w ramiona. Chociaż rozmawiałyśmy raz na tydzień i niemal codziennie wysyłałyśmy do siebie emaile, to nie widziałam jej od roku. Candace pracowała w agencji reklamowej w Los Angeles i nie miała za dużo czasu na wyprawy do San Francisco.

Zapytała mnie, jak minął lot, jak ma się Julie, a zaraz potem, jakżeby inaczej, zapytała o mężczyznę, który stał u mojego boku.

- Myślałam, że przylecisz sama - szepnęła, zerkając na Mońka ponad moim ramieniem.

- Ja też tak myślałam - odpowiedziałam szeptem.

- Poznałaś go w samolocie?

- Można i tak powiedzieć - odszepnęłam, a potem dodałam normalnym głosem: - To mój szef, Adrian Monk.

- Twój szef? - zapytał Brian, robiąc palcami znak cudzysłowu w powietrzu. - Zawsze z tobą jeździ na urlop?

- To służbowy urlop - odpowiedziałam.

W każdym razie teraz już był służbowy.

- Jasne, jasne... - powiedział, mrugając do mnie porozumiewawczo, i uściśnił Monkowi dłoń. - Brian Galloway.

Monk odwrócił się potem do Candace i podał jej rękę.

Uściśnęli sobie dłonie. Byłam zdumiona. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Monk podał komuś rękę i nie poprosił mnie potem o chusteczkę dezynfekującą.

- Miło mi panią poznać - powiedział.

- To pan jest tym Adrianem Monkiem? - odpowiedziała nieco oszołomiona.
- Tym i żadnym innym. Ale może mi pani mówić Chad.
- Tyle o panu słyszałam - powiedziała, zerkając na mnie. - Bardzo, bardzo... dużo.
- Jestem legendą - oświadczył nieskromnie.

Bardzo chciałam zmienić temat, więc zwróciłam się szybko do Candace:

- Nie przedstawiś mnie narzeczonemu? Może chciałaś poczekać i zrobić to dopiero po weselu?

- O Boże, co się ze mną dzieje! - powiedziała. - Brian, to moja przyjaciółka Natalie.
- Wielki z ciebie szczęściarz - powiedziałam.

Wyciągnęłam do niego rękę, ale on przygarnął mnie do siebie, uściśnął mocno i jeszcze pocałował w policzek. Miał silne ramiona, ciepłe ciało, pachniał olejkiem do opalania Coppertone i wodą kolońską Brut. Bardzo miło pozwolić się otulić mięśniami i męskością, i było mi trochę smutno, kiedy uścisk się skończył.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś - powiedział Brian. - Candy chyba by za mnie nie wyszła, gdybyś się nie zgodziła zostać druzną na jej ślubie.

- Długo na ten dzień czekała - powiedziałam.

- Wcale nie czekałam na dzień - powiedziała Candy. - Czekałam na właściwego mężczyzn ę. I znalazłam go.

Candy ścisnęła mu zalotnie pośladek.

- Gratulacje dla obojga - odezwał się Monk. - Wiem, że nie oczekiwaliście mojego przybycia, więc chciałbym z góry zapewnić, że nie mam zamiaru wpra - szać się na wasze wesele.

- Nonsens - powiedział Brian. - Jest pan zaproszony i będziemy urażeni, jeśli pan odmówi. Prawda, Pysiu?

- Absolutnie, Misiu - odpowiedziała Candy. - Nie ma nic smutniejszego, niż wybrać się samotnie na wesele. Możecie mi wierzyć.

Brian upchnął nasze walizki do bagażnika, wszyscy się usadowiliśmy w mustangu, Monk i ja na tylnym siedzeniu, i razem z Pysią i Misiem ruszyliśmy w drogę na plażę Poipu. Candace i Brian nie byli jeszcze małżeństwem, a już się zwracali do siebie pieśczośliwymi imionami. Czułam, że niełatwo będzie wytrzymać w ich towarzystwie.

Dwupasmowa szosa wiodła najpierw ulicami Li - hue, przypominającego małe, zwykłe miasteczko Środkowego Zachodu, w którym od lat siedemdziesiątych nic się nie zmieniło. Miałam wrażenie, że miasto zupełnie nie pasuje do tropikalnej scenerii. Nie wiem jednak, czego się spodziewałam. Szalasów krytych palmowymi liśćmi?

Jednak tuż za miastem zniknęły jakiegokolwiek podobieństwa do środkowozachodniej Ameryki. Zielona bujność pól ciągnących się wzdłuż stoków dzikich, postrzępionych grzbietów górskich zapierała dech w piersiach. Nigdy dotąd nie widziałam tylu odcieni zieleni.

- Uwielbiam ten zapach. - Monk wciągnął głęboko powietrze i powoli je wypuścił. - Uderzająca do głowy mieszanina odświeżacza Air Wick z serii „Błękitna orchidea” z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, odświeżacza Renuzit z serii „Po deszczu” z roku dwa tysiące pierwszego, aerozolu Glade z serii „Tropikalne opary” z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego i „Letniej bryzy” firmy Lysol z dwa tysiące trzeciego.

- Nie ma co, o odświeżaczach powietrza wie pan chyba wszystko - powiedział Brian.

- Mam niczego sobie kolekcję - odpowiedział Monk.

Candace rzuciła mi przez ramię pytające spojrzenie, a ja uśmiechnęłam się tylko, jakbym chciała powiedzieć: „Cały Monk!”

- Pracuje pan w branży drogeryjnej? - zapytał Brian.

- Jestem detektywem - odpowiedział Monk.

- Takim prywatnym?

- Monk, prywatny detektyw, we własnej osobie. Jest nawet piosenka na mój temat. Chcecie posłuchać?

Rany, tylko nie to, pomyślałam i szybko się odezwałam.

- Brian, powinieneś powiedzieć panu Monkowi, czym ty się zajmujesz. Jestem pewna, że to pasjonujące zajęcie.

- Jestem przedstawicielem handlowym firmy, która produkuje meble na specjalne zamówienia sieci hotelowych, korporacji, szpitali, sieci restauracji, a nawet więzień.

- Naprawdę uważasz, że to pasjonujące? - zapytał mnie Monk.

- Przecież zawsze się pan zastanawiał, kto to produkuje - odparłam. - Poza tym Brian jeździ po całym świecie.

- Dziękuję Bogu za wynalezienie telefonu komórkowego, w przeciwnym razie nigdy bym go nie znalazła - powiedziała Candace. - Całe lato spędził w Australii, gdzie meblował hotel w jakimś nadmorskim kurorcie.

- Candy narzekała na upały w Los Angeles - powiedział Brian, patrząc na nas we wsteczny lusterku. - Powinniście spędzić lipiec w Australii. To dopiero ukrop.

- Aż dziw bierze, gdzie to Brian był i co robił - powiedziała Candace. - W ciągu dwudziestu lat przeżył więcej niż większość ludzi przez całe życie, a już na pewno więcej niż ja.

- Na przykład co takiego? - zapytał Monk.

- Pracowałem na ranchu hodowlanym w Teksasie, zaciągnąłem się na ochotnika do Korpusu Pokoju w Somalii, byłem na praktykach archeologicznych w Egipcie, a raz spędziłem całe lato na kutrze rybackim u wybrzeży Maine - wyliczał. - Stąd blizna na nodze. Marlin prawie mi ją odgryzł.

Candace spojrzała na narzeczonego oczami pełnymi podziwu, a potem przeniosła wzrok na mnie.

- Czyż nie jest cudowny?

Przytaknąłem i uśmiechnąłem się, choć zaczęłam się zastanawiać, dlaczego facet, który wiódł tak fascynujący żywot, postanowił nagle zrobić karierę w branży meblowej.

Grand Kiahuna Poipu to rozległy kompleks hotelowy położony nad oceanem, który czerpał wzory architektoniczne z zabudowań starej plantacji trzciny cukrowej, znajdującej się niegdyś na tym terenie. Luksusy kompleksu nie ograniczały się do hotelu. Obejmowały także sześć bungalowów, komfortowych willi przy plaży, których wynajęcie kosztowało od pięciu do dziesięciu tysięcy dolarów na dobę, setki apartamentów zamieszkiwanych rotacyjnie przez współwłaścicieli, pole golfowe rangi mistrzowskiej, światowej klasy ośrodek odnowy biologicznej oraz ogromne centrum konferencyjne.

Kompleks udostępniał też najwyższej klasy studio i sprzęt do produkcji filmowej, co, wraz z otoczoną palmami laguną i złotą plażą, czyniło z Grand Kiahuna Poipu idealną scenografię do produkcji niezliczonych programów reklamowopromocyjnych lub choćby Szeptów z drugiej strony, codziennego show telewizyjnego Dylana Swifta, człowieka o zdolnościach metapsychicznych.

Jednocześnie kompleks rozpościerał się na tak rozległym terenie, tak gęsto obsadzonym drzewami deszczowymi, palmami i tysiącem przeróżnych kwiatów, że udało się tu zachować nastrój spokoju, intymności i naturalnego tropiku. Kiedy jechaliśmy przez te okolice samochodem, zupełnie nie miałam poczucia, że wkraczam w świat „turystycznej pułapki” w stylu Las Vegas, a przecież nie było to nic innego.

Obszerny hol główny hotelu otwierał się na trzy strony i wychodził prosto na ocean. Zawieszony pod sufitem wentylatory ze śmigłami w kształcie palmowych liści ciężko miały parne powietrze. Dekorowana marynistycznymi motywami recepcja była wyposażona w ratanowe krzesła i przyozdobiona wszędzie połyskliwym koa, bardzo rzadkim drzewem, rosnącym tylko na hawajskich wyspach.

Ruszyłam do recepcjonistki, ale Candace mnie powstrzymała.

- Nie, nie. Brian się tym zajmie - powiedziała. - My stawiamy, zapomniałaś?

- Dziękuję - odpowiedziałam. - Nawet nie masz pojęcia, jak mi tego trzeba.

- Pochodzenie z bogatej rodziny ma swoje plusiki, co? - stwierdziła. - Sama coś o tym wiesz, prawda?

Obie pochodzimy z zamożnych rodzin, jednak ja nie chciałam od rodziców żadnych pieniędzy (nie powiem, żeby mi jakieś proponowali). Candace z kolei przyjęła wszystko, co dawali jej rodzice, a potem jeszcze wzięła małe co nieco.

- Próbuję zbyt dużo o tym nie myśleć - powiedziałam. - Zwłaszcza kiedy nadchodzi termin zapłaty rachunków z mojej chudej pensyjki.

- Skoro o pracy mowa. - Candace skinęła głową w kierunku Mońka, który meldował się w recepcji. - To naprawdę Adrian Monk?

- I tak, i nie - odpowiedziałam.

- Zupełnie inaczej mi go przedstawiałś, z twoich opisów zdawało mi się, że nie jest to ludzka istota. Zawsze wiedziałam, że trochę przesadzasz w tych opowieściach.

- Ani trochę, sama zobaczysz - powiedziałam. - I z góry chciałabym cię za niego przeprosić.

- Chyba już wiem, o co tu chodzi. To trochę tak jak wtedy, gdy miałyśmy po naście lat, co? Kiedy się zadurzałaś w jakimś chłopaku, opowiadałaś wszystkim, jaki on obrzydliwy i jak nie możesz go znieść, a dwa tygodnie później można cię było zobaczyć na parkingu przy Skyline Drive, jak tulisz się do niego na tylnym siedzeniu samochodu twoich staruszków.

- Tu nie o to chodzi, bądź pewna - powiedziałam. - Łączy nas jedynie związek nedorzecznego pracodawcy i dorzecznego pracownika.

- To dlaczego zaprosiłaś go do podróży?

- Wcale nie zapraszałam. Pojechał za mną. Nie chciał zostać sam.

- To znaczy, że bez ciebie nie daje sobie w życiu rady?

- Tak - odpowiedziałam. - Właśnie tak.

- Ależ to romantyczne.

- Nie, nie. Nie w tym rzecz - zaproponowałam i spróbowałam wyrazić się jaśniej. - Monk ma zaburzenia obsesyjnokompulsywne. Beze mnie nie potrafi sobie poradzić w najprostszych sprawach.

- Och, nie wątpię... - powiedziała z szerokim uśmiechem na twarzy.

Warknęłam gniewnie, ale to tylko jeszcze bardziej ją rozbawiło. Zrozumiałam, że nie wygram tej potyczki. Cokolwiek powiem, nabierze przeciwnego sensu, a Candace będzie się jeszcze bawić moim kosztem.

- Nie myśl sobie, że skoro jutro masz ślub, to ja cię dzisiaj nie uduszę - powiedziałam.

Zaśmiała się i uścisnęła mnie serdecznie. Zawsze była wylewna.

- Cudownie, że przyjechałaś, że jesteśmy tu razem i że wreszcie wychodzę za mąż.

- Za nic w świecie nie chciałabym tego przegapić - powiedziałam.

W tym momencie podszedł Monk, a za nim chłopiec hotelowy, który ciągnął na wózku nasze walizki.

- Znakomite wieści - powiedział Monk. - Mamy sąsiednie pokoje.

Candace mrugnęła do mnie figlarnie.

Dwa razy sprawdzałam i upewniałam się w recepcji, czy nasze pokoje mają parzyste numery, czy znajdują się na parzystym piętrze i czy bez trudu można do nich dojść schodami, aby Monk nie musiał używać windy. W stanie lekowego upojenia Monk w ogóle nie zwracał na te rzeczy uwagi, ale wiedziałam, że za kilka godzin wszystko się odmieni.

Zamieszkaliśmy na czwartym piętrze, w pokojach numer 462 i 464. Wnętrza obu pokoiów były gustownie urządzone ratanowymi meblami oraz kwiecistymi narzutami na łóżka i wyposażone w sufitowe wentylatory, podobne do tych w holu głównym. Każdy z pokoiów miał też własne lanai, co po hawajsku znaczyło „nasłoneczniony taras”.

Niemal jednocześnie wyszliśmy z Monkiem na taras podziwiać widok. Okna pokoiów wychodziły na plażę i fantastyczne, wielkie kąpielisko hotelu Grand Kiahuna Poipu; płynąca wolno rzeczka wiała się w nim przez deszczowy las osnuty mgłą, pełen skalistych grot i kończyła się krętą zjeżdżalnią, z której wpadało się wprost w słodkowodną lagunę przy plaży. Pluskało się tam mnóstwo dzieciaków i nastolatków.

Wśród gęstego tropikalnego listowia, które otaczało zewsząd kąpielisko, można było zobaczyć kilka „schowanych” jacuzzi. W bulgoczącej wodzie jednego z nich dostrzegłam nawet ściskającą się namiętnie parkę, choć w zasięgu ich rąk leżały iPody oraz bezprzewodowe komputery kieszonkowe BlackBerry z dostępem do Internetu. W dwóch innych spalone słońcem pary osobników z widoczną nadwagą sterczały nieruchomo w gorącej wodzie niczym gotujące się we wrzątku homary, a każdy trzymał w dłoni tropikalnego drinka z malutką parasolką i pociętymi plasterkami ananasa.

Wokół kąpieliska i na piaszczystej plaży stały setki leżaków. Każdy miał gruby, miękki i wygodny pod - główek i każdy był ocieniony parasolem, który kształtem przypominał słomianą strzechę. Można było pomyśleć, że prawo stanowe nakazuje tu czytać Jamesa Pattersona i Norę Roberts, bo chyba każdy z plażowiczów zatopiony był w lekturze któregoś z tych autorów.

Między leniwie pochylonymi wzdłuż morskiego brzegu palmami huštały się dziesiątki hamaków - wszystkie były zajęte, głównie przez przytulone do siebie pary. Postanowiłam w

duchu, że któregoś dnia w tygodniu zajmę sobie taki hamak, choćbym musiała wstać przed brzaskiem.

Prywatne chatki plażowe, wzniesione na piasku, obsługiwane były przez hostessy ubrane w krótkie spódniczki i bikini. Skrytym w środku, uciekającym przed słońcem turystom podawały drinki, przekąski, grube białe ręczniki i eleganckie szlafroki.

Plaża miała kształt piaszczystego półksiężyca, który zakreślał łukiem przed należącymi do Kiahuna Poipu sześcioma ekskluzywnymi bungalowami - każdy o powierzchni ponad trzystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych, każdy wyposażony w prywatny basen zasłonięty rozłożystymi palmami oraz w jacuzzi z gorącą wodą i hydromasażem. Każdą z tych małych posiadłości otaczał bujny, starannie zaprojektowany i utrzymany ogród, zapewniając rezydującym w nich sławom i bogaczom naturalny cień i całkowitą prywatność, nawet od góry. Mimo to w „Enquirerze” widziałam już kilka niewyraźnych ziarnistych fotografii zrobionych z motorówek za pomocą silnych teleobiektywów. Przedstawiały one gwiazdy filmowe w stroju topless opalające się sennie koło swoich basenów.

Spojrzałam na Mońka, który chyba nigdy nie wydawał się bardziej zrelaksowany i zadowolony z życia.

- Raj! - powiedziałam.

Monk przytaknął.

- Dlaczego tak długo zwlekaliśmy z przyjazdem tutaj? - zapytał.

- Jeśli chodzi o mnie, w grę wchodziły brak możliwości i pieniędzy, ale w pana przypadku?

- Strach - odpowiedział bez wahania. - I wyrzuty sumienia.

Rozumiałam strach, ale wyrzuty sumienia niezupełnie. Zauważył moje spojrzenie i zaraz odpowiedział na ukryte w moich oczach pytanie.

- Zawsze mówiliśmy z Trudy o tym, żeby tu przyjechać, ale wydawało nam się, że nigdy nie ma na to czasu - powiedział Monk. - Kiedy zginęła, nie potrafiłem tu przyjechać bez niej. Nie potrafiłem nawet wyjść za próg mojego domu.

- Skąd zatem taka zmiana?

- Również strach. I wszechmocne farmaceutyki - odpowiedział Monk. - I ty.

Wiedziała, co ma na myśli, i bardzo mnie to wzruszyło. Nie mówił, że mnie kocha, ani nic w tym sensie. Mówił tylko tyle, że mnie potrzebuje i że gdyby mnie nie było, bardzo by mu mnie brakowało. Dla mnie jednak najbardziej się liczyło wyznanie, że przy mnie czuje się bezpiecznie i komfortowo i że jeśli jestem w pobliżu i służę wsparciem, gotowy jest podjąć ryzyko ogromnych emocji.

Powiedział po prostu, że jestem jego przyjaciółką.

Spojrzałam na zegarek.

- Za godzinę mam próbę uroczystości ślubnej. Co pan będzie robił?

- Dokonam małego rekonesansu, jak myślę, a potem pójdę się wykapać.

Uśmiechnęłam się bezwiednie.

- Pan chce się kąpać? - zapytałam.

- Wygląda na to, że w tym kąpielisku można się świetnie bawić - odpowiedział Monk.

- Ma pan chociaż kąpielówki?

- Jakieś sobie kupię.

Ten lek jest naprawdę zadziwiający, pomyślałam. Gdyby Monk zażywał go raz lub dwa razy w miesiącu, mógłby załatwić dziesiątki spraw, które zwykle stanowią dla niego wielkie wyzwanie. Jak choćby zakup skarpetek. Ostrzyżenie włosów. Zakupy w sklepie spożywczym.

Zaczęłam się zastanawiać, czy za decyzją Mońka, żeby nie zażywać leku, nie kryło się coś więcej niż obawa przed utratą detektywistycznych umiejętności.

- Też chciałabym się trochę rozejrzeć - powiedziałam. - Niech mi pan da minutkę, przebiorę się i pójdziemy razem.

- W porządku.

Wróciłam do pokoju i kiedy się przebierałam, dotarło nagle do mnie, że właśnie zniweczyłam pierwszą w czasie tej podróży okazję, żeby pobyć trochę samej. Monk był gotów samotnie wyruszyć w świat, a ja weszłam mu w paradę. Zrobiłam to bez zastanowienia i wcale nie z poczucia odpowiedzialności czy z obawy, że coś mu się stanie.

Zrobiłam to, bo byliśmy przyjaciółmi. Chociaż potrafił być najbardziej irytującym człowiekiem na kuli ziemskiej, to naprawdę lubiłam jego towarzystwo. Jak się nad tym dobrze zastanowić, to chyba właśnie dzięki temu udawało mi się znosić jego dziwactwa.

No, poza tym wypłacał mi pensję.

Monk i spotkanie z medium

Kupno markowych kąpielówek Ralpha Laurena w hotelowej galerii handlowej za holem głównym zajęło Monkowi niecałe pięć minut. Wziął po prostu ze stoiska pierwsze lepsze niebieskie spodenki kąpielowe, sprawdził rozmiar, podszedł do kasy, zapłacił i było po krzyku. Niby nic, ale dla Mońka niewyobrażalne osiągnięcie.

Wolnym krokiem wyszliśmy do dużego, otoczonego palmami ogrodu, który w stosunku do kąpieliska znajdował się po drugiej stronie hotelu. Ogród wychodził na plażę i

zapełniony był akurat gromadą ludzi, siedzących na białych, ogrodowych krzesłach. W pierwszej chwili pomyślałam, że trwa tu jakiś inny ślub, ale po chwili spostrzegłam kamery telewizyjne i rozpoznałam mężczyznę, który siedział przed widownią. Był to Dylan Swift, słynne medium, nagrywający kolejny odcinek swojego programu telewizyjnego, nadawanego codziennie przez kilka stacji w całym kraju.

Oczywiście dobrze wiedziałam, kto to jest. Wiedziałybym nawet, gdyby nie dzielił czasu między Hawaje a San Francisco, gdzie kilka lat temu rozpoczął swoje czarymary w lokalnej telewizji.

Wszyscy wiedzieli, kim jest Dylan Swift. Książki z jego uśmiechniętą twarzą na okładce można było znaleźć w każdej księgarni, w każdym markecie, w każdym sklepiku gigantycznej sieci 7-Eleven. Patrzył z okładki na człowieka tym swoim intensywnym, nadprzyrodzonym wzrokiem, rzucając mu wyzwanie, by odwzajemnił spojrzenie i kupił książkę. Było w tym coś przyprawiającego o dreszcze.

Swift był nadzwyczaj przystojny, co znacznie się przyczyniało do jego popularności. Dzisiaj miał na sobie koszulę hawajską Tommy Bahama i luźne ja - snobrazowe spodnie. Jedwabna koszula była rozpięta na tyle, by ukazać nieowłosioną klatkę piersiową i krzepkość jej umięśnienia. Jednak najbardziej wyróżniającą cechą był dołek w brodzie, typowy dla idoli kina familijnego, który przypominał Kirka Douglasa i Dudleya Doskonałego. Kwestię, czy ów dołek był cudem natury czy też dziełem ręki chirurga, krytycy roztrząsali o wiele częściej i z o wiele większym zapalem niż zagadkę, czy Swift rzeczywiście jest meta - psychicznym medium.

- Kto to jest? - zapytał Monk.

Całkowita ignorancja a Monk w kwestiach amerykańskiej popkultury dawno już przestała mnie szokować.

- To Dylan Swift - odpowiedziałam. - Rozmawia ze zmarłymi i przekazuje ich bliskim wiadomości.

- To przecież niemożliwe - zdziwił się Monk.

- Niech pan to powie tym milionom, które oglądają jego program i kupują jego książki.

Swift ruszył nagle w tłum, jakby przyciągany jakąś niewidzialną mocą. Cały ogród był jak wielka spirytystyczna plansza Ouija, a on duchem prowadzącym seans.

- Coś do mnie przemawia... To imię. Imię, które się zaczyna na literę G. Tak... Bardzo wyraźnie widzę G - mówił Swift, potem zamknął oczy, podniósł głowę i zaczął się w coś

intensywnie wsłuchiwać. - G może być kimś, kto siedzi między nami, lub może być to imię kogoś bliskiego wam, kto odszedł.

Nagle jakiś mężczyzna wyrzucił do góry ręce i zaczął nimi wymachiwać w powietrzu, podskakując w podnieceniu na krześle przed Swiftem, jakby wygrał jakąś wielką nagrodę. Mężczyzna był niskim grubasem po sześćdziesiątce, w jasnej hawajskiej koszuli i krótkich spodniach zapiętych praktycznie na klatce piersiowej. Na nogach miał sandały i długie skarpety, które podciągnął pod wystające okrągłe, blade kolana.

- Mam na imię Gary - powiedział grubas, trzęsąc podwójnym podbródkiem. - Czy to może być wiadomość do mnie?

- Tak, to wiadomość dla ciebie - odpowiedział Swift. - Ktoś z tamtej strony szepcze do mnie słowa. - Jakaś kobieta, która była ci bliska.

- Moja siostra?

- Wyczuwam, że jej imię zaczyna się na M lub na E, lub może zawiera obie te litery.

- Margaret - powiedział Gary. - Rozmawia pan z Margaret?

- Tak, to ona - odpowiedział Gary. - Niedawno zmarła.

- Jakieś trzy lata temu - przyznał Gary.

- Margaret bardzo się troszczyła o swojego braciszka - mówił Gary.

- Byłem jej starszym bratem.

- Tak, ale czyż nie okazywała ci wielkiej troski? Jakbyś był jej młodszym bratem. Raz nawet ocaliła ci życie, prawda?

Gary przytaknął entuzjastycznie głową i ścisnął mocno dłoń swojej żony. Kobieta posturą przypominała męża i była niemal identycznie ubrana.

- Raz, kiedy byliśmy dziećmi, łowiliśmy ryby na jeziorze i wypadłem z łódki - opowiadał Gary. - Zaplątałem się w linę od kotwicy i nieomal utonąłem.

- Tak, utonąłbyś na pewno, ale ona była wówczas z tobą, a teraz chce, byś wiedział, że nadal jest przy tobie i nadal się o ciebie troszczy - powiedział Swift.

Odwróciłam się, by odejść, ale Monk stał, jakby wrósł w ziemię. Ciekawość, jak można sądzić, należała do tych cech jego osobowości, których żaden lek nie potrafił przytępić.

- Bardzo, bardzo pragnęła dotknąć ciebie ze swojego królestwa - mówił dalej Swift. - Margaret mówi, że to zrobiła, a ty wiesz, kiedy. Mówi, że było to w chwili czarnej rozpacz. Gdy usłyszałeś wiadomość, której miałaś nadzieję nigdy nie usłyszeć.

- To znaczy, kiedy się dowiedziałem, że jestem chory na raka?

Swift przytaknął.

- Głos, który usłyszałeś wtedy w głębi swoich myśli, głos, który powiedział ci: „Jeszcze nie czas, bym umierał, będę walczył”, to był szept twojej siostry. Chciała, abyś wiedział, że nic złego ci się nie stanie. I chyba nic złego ci się nie stało, prawda?

- Nastąpiła remisja choroby. - Gary zaczął chlipać. - Tak, słyszałem ją. Niech jej pan powie, że słyszałem ją wtedy. Niech jej pan powie, że dodała mi wiary i sił.

Swift położył dłoń na ramieniu Gary’ego i ścisnął je uspokajającym gestem.

- Margaret o tym wie. Chce ci powiedzieć, że cię kocha, teraz i na wieki, stamtąd, z tamtej drugiej strony.

Przyłączyłam się do oklasków, którymi wybuchła cała widownia. Swift podniósł głowę i przez moment spotkał się wzrokiem z Monkiem. Monk nie odwrócił oczu. Widziałam już wcześniej u Mońka taki wyraz twarzy; zwykle zachowywał go dla osób, którym zamierzał udowodnić zabójstwo. Tkwiło w nim jakieś niewypowiedziane wyzwanie: Mnie nie oszukasz!

Swift jakby zrobił krok w kierunku Mońka. Najmniej było mi teraz trzeba, żeby na oczach telewidzów całego kraju upojony lekarstwem Monk zadarł z Dylanem Swiftem.

- Powinniśmy już pójść, panie Monk - powiedziałam, chwytając go pod ramię i odciągając od tłumu.

- Ten człowiek to oszust - powiedział Monk.

- Jeszcze nikt nie potrafił mu tego udowodnić - zauważyłam.

- Ja potrafiłbym - stwierdził Monk.

- Jest pan na wakacjach, już pan zapomniał? - zapytałam. - Przyjechał tu pan, żeby wesoło spędzić czas,

- To byłaby dla mnie wesoła zabawa - powiedział, ale posłusznie poszedł za mną.

Obejrzałam się jeszcze przez ramię i zobaczyłam, jak Swift odprowadza nas wzrokiem z głupią miną na twarzy.

Bardzo chciałam zobaczyć, jak Monk pływa.

Bardzo chciałam też mieć parę jego zdjęć w basenie, jako dowód dla Stottlemeyera i Dishera, że do czegoś takiego naprawdę doszło. Nie umiałam sobie wyobrazić Mońka, jak wchodzi do basenu pełnego półnagich, pocących się, wysmarowanych tłustymi olejkami dorosłych ludzi i kwiczących dzieciaków z pełnymi pęcherzami i zasmarkanymi nosami.

Ominęło mnie jednak to historyczne wydarzenie, bo poszłam na próbę generalną ślubu najlepszej przyjaciółki. Kocham Candace całym sercem, ale w tym momencie naprawdę wolałabym być z Monkiem w basenie.

Wśród gości nie było krewnych państwa młodych, a jedynie około dwudziestu wspólnych przyjaciół z Los Angeles. Rodzice Candace przebywali akurat na afrykańskim safari i nie mieli ochoty zawracać sobie głowy zmianą planów z tak nieistotnego powodu jak wesele córki. Z kolei Brian był sierotą, jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, więc nie miał nawet kogo zaprosić.

Nie było też wiele do przewidzenia. Ślub miał się odbyć rankiem następnego dnia, szybko, sprawnie i bez pompy, w ogrodzie, w którym zwykle hotel organizował tradycyjne święto luau. Moja rola sprowadzała się do tego, że miałam stać przy ołtarzu obok Candace i pamiętać, by w odpowiednim momencie podać jej obrączkę dla Briana.

Całą ucztę weselną stanowił hawajski bufet, podany w restauracji pod gołym niebem na lagunie, na tarasie rozświetlonym pochodniami. Powiedziałabym wam wszystko o jadłospisie i rozmowie, ale byłam tak zmęczona długim lotem i paroma tropikalnymi drinkami, że przed dziesiątą wróciłam do pokoju. Zadzwoiłam jeszcze do Julie, powiedziałam jej, że doleciałam cała i zdrowa, mamę poprosiłam, aby nie rozpuściła wnuczki do tego stopnia, by nie można jej było przywrócić do stanu pierwotnego - i zapadłam w ciężki sen.

O siódmej rano obudziło mnie ciche popiskiwanie. Nie, to było raczej coś w rodzaju kwilenia. Dochodziło z pokoju Mońka.

Zwlokłam się zaspana z łóżka, włożyłam szlafrok i poczłapałam do drzwi dzielących nasze pokoje. Przyłożyłam do nich ucho.

- Panie Monk? - zawołałam. - To pan?!

- Nie wiem - usłyszałam w odpowiedzi. - Od świtu zadaję sobie to pytanie.

Nacisnęłam klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Weszłam do środka i zobaczyłam Mońka. Stał w narożniku pokoju, oparty plecami o ścianę. Miał na sobie swój zwykły garnitur i wykrochmaloną białą koszulę zapiętą po szyję. Łóżko było zasłane, choć Monk zdjął z niego narzutę i wyniósł ją na lanai. Hawajska koszula i kąpielówki, w które był ubrany poprzedniego dnia, leżały równo złożone w koszu na śmieci.

- Co się stało? - zapytałam.

- Obudziłem się w łóżku - odpowiedział Monk. - Pod tą narzutą. - Kiwnął lekko głową w kierunku narzuty, jakby była dzikim zwierzęciem. - Zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi siadało na tej narzucie? - zapytał. - Sedesy w publicznych toaletach są czystsze, a ja... pod nią spałem.

- Monk zadrżał, a potem potrząsnął głową i wyciągnął do mnie rękę. - Chusteczka - poprosił.

- Przykro mi, nie ma tu żadnych chusteczek. Nie miałam okazji, żeby gdzieś je zdobyć.

- Ja też nie zabrałem ani jednej - powiedział. - Uwierzysz? Chyba postradałem zmysły, prawda?

- Właściwie zachowywał się pan jak najbardziej normalnie - odpowiedziałam. - To znaczy, porównując z wszystkimi innymi.

- Czuję się jak doktor Jekyll i pan Hyde - stwierdził Monk. - Jak Bruce Banner i Hulk.

- Nie pamięta pan, co pan wczoraj robił?

- Znacznie gorzej - odpowiedział. - Pamiętam wszystko co do joty.

Aż skulił się z przestachu, a ja razem z nim.

- Musi pan to wszystko wyrzucić z pamięci, w przeciwnym razie będzie pan jak sparaliżowany - powiedziałam. - Proponuję, żeby wziął pan jeszcze jedną pigułkę i najbliższym samolotem wrócił domu.

- Zostaję - oświadczył Monk.

- Dlaczego?

- Sam w domu oszaleję - odpowiedział. - Nie umiem być sam. Poza tym muszę się zrelaksować.

- Właśnie wczoraj się pan relaksował.

Wzdrygnął się na samo wspomnienie, tak że całe jego ciało zadygotało.

- Przepraszam, panie Monk. To był cios poniżej pasa.

Monk przyjął przeprosiny lekkim skinieniem głowy.

- Jeśli naprawdę chcesz, to pojedę.

Już miałam powiedzieć „tak”, ale zdałam sobie sprawę, że jeśli to powiem, będę miała większe wyrzuty sumienia, niż gdybym wcześniej zostawiła go samego w San Francisco.

- Skoro zamierza pan zostać, musimy uzgodnić pewne sprawy. Pańskie zachowanie musi pozostawać bez zarzutu.

- Nawet nie będziesz wiedziała, że tu jestem, tyle że będę się cię trzymał cały czas. Mniej więcej. Raczej więcej.

- Właśnie. Zatem najbliższy tydzień nie będzie mi zaliczony do urlopu. To praca. Po powrocie wciąż będzie mi się należało kilka dni wakacji.

- Ależ tobie w ogóle nie przysługuje urlop.

- Dobrze, pokłócimy się na ten temat innym razem - powiedziałam. - Przyjechałam tu, żeby odpocząć.

- Ja też. Możesz zacząć nas pakować.

- Pakować? Po co?

- Musimy się przenieść do innych pokoi - stwierdził. - W tym nie mogę zostać.

- Dlaczego nie?

Jego wzrok powędrował wolno na biurko. Zobaczyłam tam trzy koperty hotelowej papeterii i cztery kartki papieru listowego. Stłumiłam uśmiech. Dziwne, ale poczułam ulgę, mając znowu przed sobą starego, dobrze mi znanego Mońka.

- Rozumiem - powiedziałam. Podeszłam do biurka, przedarłam jedną z kartek papieru na dwie części i wrzuciłam ją do kosza na śmieci. - Problem rozwiązany - powiedziałam.

Wezwałam obsługę hotelową i poprosiłam, aby w pokoju Mońka opróżniono kosz na śmieci i zabrano z tarasu narzutę, zanim Monk wpadnie na pomysł, by ją podpalić. Potem zatelefonowałam do recepcji, żeby się dowiedzieć, gdzie na wyspie można kupić butelkowaną wodę mineralną Sierra Springs, jedyną, jaką pija Monk, oraz chusteczki antybakteryjne Wet Ones, jedyne chusteczki higieniczne, którym Monk ufa.

Bóg mi sprzyjał. W hotelowym magazynie był zapas wody Sierra Springs, a w sklepiku z pamiątkami sprzedawano też chusteczki higieniczne, w tym również Wet Ones. Kryzys zażegnany. Poprosiłam, aby zamówiono karton wody i karton chusteczek, dopisano koszty do rachunku pana Adriana Mońka i jak najszybciej dostarczono wszystko do jego pokoju.

Poprosiłam również o przyniesienie na górę porcji płatków zbożowych Chex (Monk uwielbia te malutkie, idealne kwadraciki). Dla siebie zamówiłam naleśniki z orzechami makadamii, świeżego ananasa i gorącą kawę.

Wzięłam prysznic, włożyłam letnią sukienkę i poszłam zjeść śniadanie na tarasie u Mońka. Mimo upału i wysokiej wilgotności Monk miał na sobie koszulę, marynarkę, spodnie i skórzane mokasyny.

- Nie czuje się pan w tym trochę mało komfortowo?

Rzucił mi zdziwione spojrzenie.

- Nie.

- No, dobrze, ale na weselu nie będzie panu w tym do twarzy - powiedziałam. - To ma być uroczystość w stylu hawajskim.

- Mogę być w stylu hawajskim. - Wszedł do pokoju, zdjął marynarkę, powiesił ją w garderobie i wrócił na lanai. - Voil?.

Na sam jego widok doznawałam wrażenia, że się duszę.

- Może chociaż rozepnie pan sobie kołnierzyk i podwinie rękawy?

- Może mam jeszcze zrobić striptease na weselu, co? - zachnął się Monk i nagle uderzyła go nowa myśl. - Zaraz. Czy to będzie wesele dla nudystów?

- Nie, oczywiście, że nie.

Odetchnął z ulgą i pogroził mi palcem.

- Prawie dałem ci się nabrać.

- W końcu mamy się trochę zabawić, prawda?

- Ale nie w ten sposób - odpowiedział.

Monk zabiera głos

Ceremonia zaślubin odbyła się w zamkniętym ogrodzie luau, otoczonym pierścieniem rozchodzących się promieniście, kwitnących roślin tropikalnych - białych orchidei, szkarłatnych bugenwilli, cytrynowożół - tych allamand, jaskrawoczerwonego anturium, maków kalifornijskich i strelicji królewskich, czyli ptaków rajskich. Cudowne bukiety, przygotowane specjalnie na ceremonię, porozstawiano w różnych miejscach w całym ogrodzie. Nawet goście byli ukwieceni. Każdy z nas (poza Monkiem oczywiście) miał na sobie kwiecistą hawajską koszulę, a na szyi lei, wianek ze świeżych plumerii.

Hawajska kapela śpiewała Ke Kali Nei Au, co dla mieszkańców wysp znaczy tyle, ile dla Amerykanów z kontynentu Weselna pieśń folkowej grupy Peter, Paul & Mary. Zresztą żadna melodia nie była potrzebna. Śpiewny koncert ptaków i naturalny szum fal oceanu tworzyły wystarczająco piękną muzykę.

Candace i Brian stali przed hawajskim kapłanem, przy muszli koncertowej krytej liśćmi trawy, w której wieczorem, podczas uczty luau, będą występować tancerki i tancerze hula.

Candace była ubrana w białą suknię ślubną holo - ku, pod spodem miała długą, dopasowaną krojem, tradycyjną sukienkę muumuu, a na głowie haku lei, wianek ze storczyków, gipsówki i róż. Widać było, że promienieje szczęściem. Łzy zakręciły mi się w oczach.

Brian stał przy niej w białej koszuli hawajskiej w jasne kwiatki, w płóciennych białych spodniach, a na szyi miał maile lei, wianek upleciony z zielonych liści.

Kapłan, zażywny Hawajczyk po trzydziestce, również ubrany w kwiecistą koszulę, zaczął celebrować po hawajsku ceremonię ślubną, na którą się złożyło między innymi mnóstwo hawajszczyzny i uroczysta wymiana zawile plecionych lei. Kątem oka widziałam, że Monk jest czymś bardzo zaniepokojony. Modliłam się w duchu, żeby nie wyskoczył z jakimś głupim wybrykiem i nie zepsuł uroczystości, zaczynając na przykład zmieniać układ kwiatów, bo ten nie spełnia jego norm.

Kapłan przemówił wreszcie po angielsku, czym znowu przyciągnął moją uwagę.

- Jeśli ktoś spośród tu obecnych zna powód, dla którego ta para młodych ludzi nie powinna się połączyć w świętym związku małżeńskim, niech przemówi teraz lub zamilknie na wieki.

Naraz usłyszałam, jak Monk chrząka znacząco. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Wszyscy inni zrobili to samo.

Monk podniósł rękę.

- Tak? - zapytał kapłan.

Monk się rozejrzał.

- Pan wskazuje na mnie?

- Tak, tak - zapewnił urzędnik. - Czy chciałby pan nam coś powiedzieć?

Monk wstał i skinął głową w kierunku Briana, którego twarz ścięła nagła złość.

- On wcale nie ma dwudziestu ośmiu lat - powiedział Monk.

- Ależ oczywiście, że mam - zaproponował Brian.

- Na ramieniu ma pan bliznę po szczepieniu przeciw ospie. W Stanach Zjednoczonych nie wykonuje się tych szczepień od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku.

- Dostałem szczepionkę później, przed wyjazdem do Somalii z Korpusem Pokoju - wyjaśnił Brian. - Czy możemy kontynuować ceremonię?

Candace rzuciła mi ukradkowe spojrzenie. Zarumieniłam się ze wstydu. To była moja wina i czułam się po prostu potwornie.

- Jeszcze jedno - zaczął znowu Monk.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Monk padłby teraz pod salwą plutonu egzekucyjnego. Wszyscy zgromadzeni w ogrodzie nie spuszczały z niego oczu. Bez wyjątku.

- Marines zaangażowali się w akcję pomocy dla Somalii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku - powiedział Monk. - Korpus Pokoju ostatni raz był tam obecny w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym.

- Oficjalnie - wycedził Brian. - Ja uczestniczyłem w tajnej misji.

Candace zerknęła sceptycznie na Briana.

- Korpus Pokoju prowadzi tajne operacje?

- Utrzymywanie pokoju to bardzo niebezpieczna sprawa, kochanie. Daj spokój, co to ma wspólnego z naszą obecnością tutaj? Bierzymy ślub, prawda? Kochamy się i chcemy spędzić ze sobą resztę życia. Tylko to się teraz liczy.

Candace się uśmiechnęła i przytaknęła gorąco, biorąc w ręce jego dłonie.

- Tak, oczywiście. - Odwróciła się do kapłana. - Możemy kontynuować.

- Poza tym - odezwał się znowu Monk - marliny nie mają zębów.

Kapłan podniósł głowę wyraźnie poirytowany. Podobnie jak wszyscy inni.

- Nie rozumiem.

- Brian powiedział, że marlin ugryzł go w nogę, kiedy pływał na kutrze rybackim. Ale marliny nie mają zębów i nie odławia się ich na skalę przemysłową, jedynie dla sportu.

- Może to był tuńczyk, nie wiem. Jakaś wielka ryba z zębami. Co za różnica? - gorączkował się Brian. - O co panu chodzi? Czuje pan coś do Candace?

- Czuję coś przeciwko patologicznym kłamcom - odpowiedział Monk. - Mówił pan jeszcze, że spędził całe lato w Australii i że panowały tam nieznośne upały. Tymczasem na południe od równika pory roku są odmienne. Australijski lipiec to w zasadzie środek zimy.

- Eee, w Australii jest gorąco przez cały rok - odparł Brian.

- A ja myślę, że pan w ogóle nie pojechał do Australii - oświadczył Monk. - Myślę, że pan kłamał, aby ukryć fakt, że przebywał pan w tym czasie z żoną.

Candace wybałuszyła na Briana oczy.

- Żoną?!

- Nie mam żony - zapewnił ją Brian, a potem się odwrócił do Monka. - Dopiero próbuję się ożenić, ale pan mi to uniemożliwia.

- Bardzo pan dbał, żeby nie pozostał na pana palcu nieopalony ślad po obrączce, ale u nasady palca wyraźnie widać okrągłutkie zrogowacenie naskórka - stwierdził Monk. - Zrogowacenie od obrączki powstaje latami, zatem powiedziałbym, że jest pan żonaty od jakichś pięciu lat.

Candace chwyciła lewą rękę Briana i dotknęła palcami jego dłoni. Nagle jej twarz poczerwieniała.

- Mój Boże. On ma rację. Ty jesteś żonaty!

Wśród zgromadzonych gości poniosł się szmer zdziwienia. Zapewne również ja wydałam z siebie jęk. Nieraz już widziałam Monka w chwilach tak niezwykle prowadzonej dedukcji, ale nigdy w takiej sytuacji, nigdy bez związku z policyjnym dochodzeniem.

Candace niepewnie zrobiła dwa, trzy kroki do tyłu.

- Kim ty jesteś? - zapytała Briana.

Brian nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Wpadł i doskonale o tym wiedział.

- Jestem mężczyzną, który cię kocha - odpowiedział. - Miłością tak potężną, że nie mogłem dopuścić, aby małżeństwo z inną kobietą odebrało mi ciebie na zawsze.

- Czy w tym, co mi przez cały czas mówiłeś, jest choć jeden mały okruch prawdy?

- Pracuję w branży meblowej - odpowiedział.

Candace wymierzyła mu siarczysty policzek, niemal tak głośny jak wystrzał z pistoletu.

- Nie chcę cię widzieć na oczy - powiedziała drżącym głosem.

Zerwała z głowy lei, cisnęła nim Brianowi w twarz i odeszła szybkim krokiem. Mimowolnie ruszyłam za nią, ale Candace machnęła gwałtownie ręką, że chce być sama.

Odwróciłam się do Briana.

- Jak mogłeś jej to zrobić?

- Jak mogłem tego nie zrobić? Ona jest nadzwyczajna - powiedział Brian, a z jego oczu potoczyły się łzy. - Kocham ją.

- Co z twoją żoną? - zapytałam.

- Ją też kocham - wyznał. - Cięży na mnie jakaś klątwa niewyczerpanej miłości.

- Chciał pan dzielić czas między obie żony - powiedział Monk. - Tłumaczyć wyjazdami służbowymi długie dni nieobecności.

- Nie musiałyby nic o sobie wiedzieć - mówił Brian. - Candace byłaby ze mną naprawdę szczęśliwa.

- Gdzie mieszka pańska żona? - zapytał Monk.

- W Summit, w New Jersey - odpowiedział Brian. - Razem z dziećmi.

Przez teren kompleksu hotelowego prowadziła wzdłuż plaży kręta ścieżka spacerowa, gęsto obsadzona palmami. Zobaczyłam Mońka, jak stoi na ścieżce i przygląda się pluskającym w falach wczasowiczom.

Stał w białej koszuli z zapiętymi mankietami, w szarych spodniach i brązowych mokasynach. Wszyscy dookoła niego mieli na sobie kąpielówki, Tshirty, szorty albo kolorowe hawajskie koszule i spodenki. Tak nie przystawał do otaczającego go świata, że było w nim coś melancholijnego, coś z Charliego Chaplina.

Za nim widziałam lazuruje morze, pianę przybrzeżnych fal, ludzi, którzy bawili się w wodzie, surfowali na brzuchu z rozpostartymi ramionami, pływali, pozwalali się przewracać dużym falom. Wyglądało to nadzwyczaj zachęcająco, zwłaszcza po godzinie spędzonej z totalnie załamana przyjaciółką. Miałam ochotę przemknąć obok Mońka wprost w fale i zapomnieć o wszystkich kłopotach.

Ale tego nie zrobiłam. Jak większość ludzi, w fantazji jestem bardziej beztroska niż na jawie. Zastanawiałam się przez chwilę, czy tak samo jest z Mon - kiem. Czy porywa go czasem ochota, żeby zakasać rękawy? Zdjąć buty i przejść się bosą po gorącym piasku?

Monk obejrzał się na mnie i potrząsnął głową.

- Nie do wiary, prawda? Jak tak można?

Przytaknęłam ze zrozumieniem. Nie widzieliśmy się od chwili, kiedy wybiegłam z przerwane go ślubu, żeby odnaleźć i pocieszyć Candace, więc nie mieliśmy nawet okazji, żeby o tym porozmawiać.

- A ja nie rozumiem, jak można twierdzić, że się kogoś kocha, a potem oszukać tę osobę tak okrutnie - powiedziałam.

- Och, to akurat rozumiem. - Monk ruszył wolno ścieżką wzdłuż plaży w kierunku bungalowów. - Natomiast zupełnie nie widzę powodu, by pływać w oceanie.

- Mamy upał, jesteśmy na plaży, woda jest ciepła i kusi - tłumaczyłam. - Po to ludzie przyjeżdżają na Hawaje.

- Nie wiedzą, że w morzu żyją tysiące stworzeń, które się tam odżywiają i wypróżniają?

- Wypróżniają?

- Ryby nie mają podwodnej kanalizacji - rzucił Monk. - Pływają we własnych ekskrementach. Jak myślisz, kiedy spuszcza my wodę w toalecie lub zlewamy coś do ścieków, dokąd to spływa? Tutaj.

Ujął to w taki sposób, że sama zaczęłam nabierać wątpliwości co do rozkoszy kąpieli w oceanie. Naprzeciw nas pojawiły się dwie dziewczyny w bikini. Monk spuścił wzrok i dopóki nas nie minęły, wpatrywał się uporczywie we własne nogi.

- Jak się ma twoja przyjaciółka? - zapytał buty.

- Wyjechała - odpowiedziałam. - Spakowała się i pojechała prosto na lotnisko.

- Dlaczego?

- Jest zraniona, upokorzona i wściekła, panie Monk. Czuje się jak kompletna idiotka. Mógłby pan jej zaoszczędzić wstydu, gdyby powiedział mi pan przed ślubem, że Brian to łajdak i oszust.

Monk podniósł wreszcie głowę i aż podskoczył wystraszony, widząc idące na nas z naprzeciwka trzy kobiety w strojach kąpielowych. Tym razem, zamiast spuścić oczy, spojrział gdzieś wysoko, ponad ich głowami.

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie usiadłem wśród gości - wyjaśnił, patrząc w niebo.

- Przecież już wczoraj wszystko to pan od niego usłyszał.

- Słyszałem, co mówi, ale będąc w stanie upojenia, nie potrafiłem wyciągnąć znaczących wniosków. Właśnie dlatego lekom i proszkom trzeba mówić „nie” - powiedział Monk i kiedy kobiety nas minęły, zerknął w moją stronę. - Jesteś na mnie zła?

Sama nie wiedziałam.

- Wolałabym, żeby znalazł pan inny sposób na zdemaskowanie Briana, nie upokarzając Candace na oczach najbliższych przyjaciół. Ale z drugiej strony uchronił ją pan przed potwornym błędem życiowym i za to jestem panu wdzięczna. Może któregoś dnia również ona będzie panu wdzięczna.

Doszliśmy do rozwidlenia. Z naprzeciwka szły w naszym kierunku dwie pary. Kobiety miały na sobie bi - kini i mokre Tshirty, a mężczyźni skąpe kąpielówki firmy Speedo. Zanim zdaliśmy się minąć, Monk pociągnął mnie gwałtownie na drugą ścieżkę, jakby ratował mnie przed rozpędzonym tirem.

- Czy to znaczy, że wracamy dzisiaj do San Francisco? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Nie przysługuje nam zwrot kosztów przy zmianie rezerwacji, więc Candace powiedziała, że mogę zostać i cieszyć się wakacjami. Pan, jeśli ma ochotę, może oczywiście wracać do domu.

Monk się zatrzymał, podniósł głowę i patrzył na coś z uwagą. Nie byłam nawet pewna, czy słyszał, co mówiłam.

Podążyłam za jego wzrokiem. Staliśmy przed hotelowymi bungalowami, ocienionymi przez chylące się nad nimi leniwie palmy i osłoniętymi przed niepożądanymi spojrzeniami wysokim żywopłotem krzewów i kwiatów. Ścieżka, którą szliśmy, biegła w kierunku dwóch z nich i kończyła się ślepo placikiem, na którym stały dwa policyjne radiowozy i czarna furgonetka z napisem „Medycyna sądowa”.

Do diabła, pomyślałam.

- Ciekawe, co się tam dzieje - mruknął Monk.

- To nie nasza sprawa.

- Ktoś nie żyje.

- Ludzie umierają, tak już jest. Nie znaczy to zaraz, że kogoś zamordowali.

- Ale to może być morderstwo. - Monk podskoczył, próbując spojrzeć ponad żywopłotem z bugen - willi, hibiskusa i helikonii, żeby zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie jednego z bungalowów.

- Nawet jeśli to morderstwo, to co z tego? - powiedziałam. - Jesteśmy na wakacjach.

- Kiedy przyjechaliśmy, powiedziałaś Candace, że to służbowy urlop. - Monk przeszedł mi przed nosem pod przeciwny żywopłot.

- Kłamałam - przyznałam.

- I wciąż nie rozumiesz, jak ludzie mogą oszukiwać tych, których kochają? - Monk znowu podskoczył kilka razy z wyciągniętą szyją. - To tutaj.

Przykucnął i rozgarnął liście, żeby zajrzeć do ogrodu. Zaciekawiona pochyliłam się za nim i spojrzałam nad jego ramieniem.

Po drugiej stronie żywopłotu znajdowało się duże jacuzzi z hydromasażem, pełniące też funkcję ozdobnej fontanny; woda przelewała się przez brzegi baseniku i spadała dalej, po dużych kamieniach wulkanicznych, wprost do basenu pływackiego z czarnym dnem, obłożonego kamiennymi płytkami.

W jacuzzi unosiła się na wodzie twarzą do góry martwa kobieta. Oczy miała szeroko otwarte, skórę nienaturalnie białą, usta wykrzywione w kurczowym, szerokim grymasie, a jej farbowane rude włosy układały się promieniście na wodzie niczym „afro”. Kobieta wyglądała jak jakaś wulgarna parodia cyrkowego kłowna.

Musiała mieć grubo ponad sześćdziesiąt lat, miała na sobie jednoczęściowy kostium kąpielowy, taki ze specjalnie wzmacnianym, wszytym biustonoszem, który podtrzymywał olbrzymie, obwisłe piersi, i ze spódniczką ukrywającą pośladki. Podobny kostium miała kiedyś moja babcia. Z chwilą gdy kobieta wkłada na siebie coś takiego, przemienia się w słoniową balerinę z disneyowskiej Fantazji. Do takich strojów kąpielowych powinno się przyszywać specjalne metki ostrzegawcze.

Po chwili dwóch Hawajczyków w białych uniformach z krótkimi rękawami, pracowników kostnicy, uniosło ciało z wody i ułożyło je na patio na plastikowym worku. Policyjny fotograf wciąż robił zdjęcia martwej kobiety i zakrwawionego orzecha kokosowego, leżącego na patio niedaleko palmy, której gęste liście ocieniały jacuzzi.

Kilka metrów dalej stał ogrodowy szezlong z białym kocem rzuconym na gruby podglówek. Na stoliczku obok szezlonga dostrzegłam grzbiet jakiejś książki Johna Grishama w twardej oprawie, szklankę wody i duży, miękki kapelusz przeciwsłoneczny.

W cieniu ogrodowego parasola stał mundurowy policjant, który przyglądał się wszystkiemu w milczeniu; jego policyjna koszula z krótkimi rękawami była niemal mokra od potu.

- Ejo! Nie roobić tak, braachu! - zagrział nagle za naszymi plecami czyjś donośny głos.

Odwróciliśmy raptownie głowy i zobaczyliśmy na ścieżce rosłego Hawajczyka po trzydziestce, z rękami wspartymi na biodrach, tuż nad pistoletem i odznaką policyjną przypiętą do pasa. Miał na sobie szorty, zwykłe klapki i hawajską koszulę z obrazkiem hydroplanu lądującego na tropikalnej wyspie. W kącikach jego oczu rysowały się drobne zmarszczki od uśmiechów, a widząc jego puciołowate policzki, pomyślałam, że w życiu

musiał zaznać więcej radości niż smutku. Jednak w tej chwili wcale nie wyglądał na rozweselonego. Przeciwnie, mierzył nas bardzo srogim spojrzeniem.

- Czy pan prowadzi śledztwo w tej sprawie? - zapytał Monk, wstając na nogi.

- Nie inszej, brachu. Porsznik Ben Kealoha, policja Kauai. Dlaszgo pan ptaasz?

- Nie mam pojęcia, co pan przed chwilą powiedział. Jestem Amerykaninem ze Stanów Zjednoczonych. Nazywam się Adrian Monk, to moja asystentka, Natalie Teeger.

- Co wy robić too wydzićpatrzyć tam w taapuka, ech3?

Monk odwrócił się do mnie zrezygnowany.

- Chyba będzie nam potrzebny tłumacz.

Rozumiałam trochę policjanta. Posługiwał się hawajską gwarą niewiele się różniącą od kalifornijskiego żargonu surferów. Co prawda nigdy nie surfowałam, ale dorastałam w Monterey i nieraz się umawiałam na randki z surferami. Chłopcy starali się mówić po hawajsku, bo tym językiem posługiwali się ich surfingowi idole z Hawajów.

- To porucznik Ben Kealoha. Pyta, dlaczego zaglądaliśmy przez żywopłot do ogrodu. - Odwróciłam się do Kealohy i posłałam mu najzyczliwszy z moich uśmiechów. - Pan Monk to detektyw, konsultant policji w San Francisco. Właśnie pozwolił sobie na małą zawodową ciekawość. Mógłby pan nam powiedzieć, co się stało?

- A jasnee. Ta makule haole do baasenu. Ta ko - koos pad i roztszsaal momona wahine4. Ona taakstu - uczyła du baasen, a tuunęła - powiedział. - Peech i szkooda.

Nigdy nie słyszałam kogoś tak szybko mówiącego hawajską gwarą, a kilka wtrąconych rdzennie hawajskich słówek nie ułatwiło mi zadania - ale mniej więcej złapałam istotę sprawy.

- On mówi, że to był wypadek. Ta starsza pani siedziała w jacuzzi, kiedy nagle spadł jej na głowę orzech kokosowy. Zemdląła, wpadła do wody i się utopiła. - Odwróciłam się do Kealohy. - Rety! Co za pech. Nie usiądę już więcej pod palmą na tych wakacjach. To my sobie pójdziemy, jeśli pan pozwoli. Mahalo.

Zrobiłam krok, by odejść jak najszybciej, ale Monk nie ruszał się z miejsca. Kręcił tylko głową.

- To nie było tak.

Cała radość, jaką budziła we mnie perspektywa tygodniowych wakacji na Hawajach, prysła w tej jednej krótkiej chwili. Doskonale bowiem wiedziałam, co Monk teraz powie i co to będzie dla mnie oznaczało. Poruszając wargami, wypowiedziałam bezgłośnie słowa, które Monk wypowiedział na głos.

- Ta kobieta została zamordowana.

- Pokaasz pan, jakeeś to obmśliył, ech? - powiedział Kealoha, kiwając na nas, byśmy poszli za nim.

Monk ruszył za nim żywo, z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Czy coś mogło go bardziej uszczęśliwić drugiego dnia wizyty na Hawajach niż trup? Ja patrzyłam na to dość chłodno. Widziałam w tym tylko dowód, że ciąży nade mną klątwa.

Monk i orzech kokosowy

Kealoha otworzył furtkę i poprowadził nas boczną ścieżką na tył domu; jego klapki uderzały rytmicznie

0 pięty. Minęliśmy dwa zintegrowane klimatyzatory

1 rząd kubłów na śmieci, które cuchnęły gnijącym jedzeniem. Obeszliśmy jakąś palmę, ominęliśmy kilka opadłych orzechów kokosowych i wyszliśmy na ogród tuż przy szezlongu.

Po raz pierwszy mogłam się przyjrzeć miejscu, którego wynajęcie kosztuje pięć tysięcy dolarów za dobę, a było na co popatrzeć. Przestronny salon bungalowu i świetnie wyposażona kuchnia wychodziły wprost na patio dzięki drzwiom z łączonych, szklanych paneli, które po otwarciu całkowicie się chowały w ścianach. Wysokiej klasy meble ratanowe zdobiły zarówno wewnątrz domu, jak i patio, czyniąc z nich jedną, zwartą przestrzeń architektoniczną.

Monk obejrzał się na drogę, którą przyszlismy, wychylił się raz w lewo, raz w prawo, a potem przeszedł za szezlong. Spojrzał na książkę, która leżała na stoliku, na kapeluszu przeciwsłoneczny i wreszcie Podszedł do ciała.

Przykucnął przy kobiecie, powąchał ją i dokładnie się przyjrzał aparatom słuchowym w maskującym kolorze skóry, które miała w obu uszach.

Potem wyciągnął przed siebie dłonie i wyciąwszy w powietrzu palcami kadr, niczym reżyser filmowy, skoncentrował wzrok na orzechu kokosowym. Po chwili jednak jego uwagę przyciągnęły trzy dekoracyjne kamienie wulkaniczne w części ogrodowej, które delikatnie poprzestawiał według ich wielkości, od największego do najmniejszego.

Kealoha przyglądał się Monkowi z zachwytem. Podobnie obaj patrolodzy i mundurowy policjant.

- On tak serio? - zapytał mnie Kealoha.

Przytaknęłam.

- Taki ma sposób działania.

Zadowolony z nowego ustawienia kamieni, Monk odwrócił się do Kealohy.

- Nie żyje od dwóch godzin, sądząc po skórze i si - ności, choć trudno dokładnie określić, bo leżała w gorącej wodzie i palącym słońcu. Jak się nazywała?

- Helen Gruber - powiedział Kealoha.

- Jak długo mieszkała tu z mężem?

Już chciałam zapytać Mońka, skąd wiedział, że pani Gruber była mężatką, kiedy zobaczyłam na jej palcu ślubną obrączkę z diamentem. Nie rozumiałam, jak mogła umknąć mojej uwagi. Diament był wielkości szklanej kulki.

Kealoha wzruszył ramionami.

- Mooszees tycień.

- Z tydzień? - Monk podniósł głowę, zamknął jedno oko i wyciągnął rękę ponad basenikiem, w kierunku palmy. - Gdzie jest mąż?

Kealoha znowu wzruszył ramionami.

- Szukamy.

Monk zmarszczył brwi, podniósł się i podszedł do nas.

- Ta kobieta rzeczywiście została uderzona kokosem w głowę i się utopiła - powiedział.

- Taa mówieem - stwierdził Kealoha.

- Ale to nie był wypadek - ciągnął Monk. - Wszystko zostało zainscenizowane specjalnie dla pana. Kiedy Gruber została zabita, nie była nawet w jacuzzi. - Monk kiwnął głową w kierunku palmy stojącej z boku budynku. - Orzech spadł z tamtej palmy, a nie z tej nad jacuzzi. Widać nawet wgłębienie w ziemi, gdzie długo leżał, zanim zabójca go podniósł. Na orzechu, po stronie, którą przylegał do wilgotnej ziemi, też da się zauważyć miękki ślad.

Kealoha przykucnął koło drzewa i przyjrzał się uważnie miejscu, w którym według Mońka miał leżeć orzech, a potem kiwnął na policyjnego fotografa.

- Aikane, stszeeł teego kilka fotek. Dzieenki, ech?

- Zabójca wszedł przez tę samą furtkę co my, podniósł z ziemi orzech i zaszedł panią Gruber w domu od tyłu - tłumaczył Monk.

- W domu? - zapytał Kealoha, wstając. - Jakeeś to pan obmśliy, ech?

- Gruber nie posmarowała się kremem do opalania. Książka na szezlongu jest wydaniem z dużymi czcionkami, co znaczy, że używała do czytania okularów. Gdzie one są? To sprawca porozkładał te rekwizyty i robił to w wielkim pośpiechu. Kto znalazł ciało?

- Pookojówki - powiedział Kealoha.

- Kiedy?

- Pszeedjakaas godzina.

Monk zmrugał oczy przed słońcem, spojrzał jeszcze raz na jacuzzi, a potem wszedł do domu. Podążyliśmy jego śladem. Bungalow zbudowany był na planie otwartym; kuchnia otwierała się na salon, a salon na patio. Jedyne sypialnie miały drzwi. W wysokim, spadzistym suficie widoczne były belki. Przymocowane do nich wentylatory kręciły się ociężale, w daremnym wysiłku, by obrócić chłodnym, klimatyzowanym powietrzem wewnątrz domu, zanim ucieknie ono na zewnątrz.

Monk wziął serwetkę z marmurowego blatu kuchennego i otworzył lodówkę. Była pusta. Otworzył kilka szafek pełnych naczyń, garnków i patelni, które wyglądały tak, jakby nikt nigdy z nich nie korzystał. Nachylił się nad zlewem i zajrzał w odpływ.

- Tu została zamordowana - powiedział Monk.

- Skąd paan wiee, ech?

- Poniżej obojczyka ofiara ma lekki, poziomy siniak - powiedział Monk. - Biorąc pod uwagę jej wzrost, padając do przodu, właśnie w tym miejscu uderzyłaby o blat.

- Pan mógł się pomylić - powiedział osłupiały Ke - aloha, tak osłupiały, że zaczął mówić płynną angielszczyzną.

Monk pokręcił głową.

- Nie mogłem się pomylić.

Kealoha spojrzał na mnie.

Przytaknęłam.

- Jeśli pan Monk twierdzi, że to było morderstwo, to było to morderstwo. Niech pan zapyta kapitana Lelenda Stottlemeyera z Departamentu Policji San Francisco, powie panu to samo.

- Wiem, że dla państwa to może bardzo dziwny wypadek, ale takie jest życie na wyspach. Tutaj takie rzeczy się zdarzają przez cały czas - mówił Kealoha. - Morderstwa natomiast nie.

- Teraz już tak - stwierdził Monk.

Kealoha westchnął, wyjął z tylnej kieszeni notatnik i zapisał coś na kartce. Podeszedł do umundurowanego policjanta.

- Kimo, wezwij jeszcze paru policjantów. Od tej chwili mamy tu miejsce przestępstwa; zabezpieczcie je do czasu przybycia techników z wydziału kryminalnego, ech? Znajdź doktora Aki, powiedz mu, że mamy ciało do pocięcia.

- Dziś jeest na ryybach, braachu - odparł policjant.

- Aja snee... W takim razie skontaktuj się ze strażą przybrzeżną i powiedz, żeby zaraz go ściągnęli. - Ke - aloha wyrwał kartkę z notatnika i podał ją policjantowi. - To mój kontakt w straży.

Policjant wyszedł, żeby wykonać polecenia. Monk złożył starannie serwetkę, której używał, i schował ją do kieszeni.

- Trochę przestał pan być sobą - powiedział Monk do porucznika.

- Że niby gwara? - zapytał Kealoha. - Haole chcą, żeby Hawajczycy byli bardzo hawajscy, więc odgrywam rolę. Raz, dobrze dla turystyki, a dwa, odstrasza tych, z którymi nie chce mi się gadać.

Spojrzałam na Mońka.

- Może powie pan porucznikowi, kto zamordował panią Gruber, i już pójdziemy? Mija południe, a ja chciałabym iść na plażę, wykapać się i spróbować któregoś z tych tropikalnych drinków nadzianych owocami i parasolkami.

- Jeszcze nie wiem, kto ją zabił.

- Jeszcze?! - zdziwił się Kealoha.

- Ale się dowiem - dodał Monk. - Jestem na tropie.

Właśnie tego się bałam, choć Monk potwierdził tylko to, czego byłam pewna z chwilą, gdy zajrzał przez żywopłot do ogrodu. Monk nie spocznie, dopóki nie rozwikła zagadki morderstwa, a to w efekcie znaczyło tyle, że również ja nie będę mogła spocząć.

Nieźle wakacje, co?

- Chwyćmy po talerzu i pogadajmy. Powiem wam, co wiem o naszej martwej damie - powiedział Kealoha.

- Po talerzu?

- Czas na lunch - wyjaśnił krótko Kealoha, wychodząc z domu.

Zapakowaliśmy się wszyscy do forda crown victoria, standardowego wehikułu amerykańskich policjantów, i Kealoha wywiózł nas kilka kilometrów w głąb wyspy, do miasteczka Koloa - dawnej, pierwszej na wyspach, plantacji trzciny cukrowej. Po drodze powiedział nam, że Helen Gruber pochodziła z Cleveland, gdzie jej pierwszy mąż dorobił się fortuny w branży brukarskiej. Niedawno wyszła powtórnie za mąż, za niejakiego Lance'a Vaughana, jej rehabilitanta i trenera osobistego, który był od niej o trzydzieści lat młodszy.

No i dobrze, pomyślałam. Skoro bogaci mężczyźni mogą sobie posiadać młodziutkie żonytrofeum, to dlaczego bogate kobiety nie mogą sobie posiadać młodziutkich chłopcówzabawek?

Po jednej stronie Koloa Road ciągnęły się drewniane witryny sklepików w stylu Dzikiego Zachodu, a po drugiej ruiny starego młyna cukrowego. Sklepiki robiły wrażenie, jakby stały nienaruszone od tysiąc osiemset trzydziestego roku, tyle tylko, że dzisiaj nie sprzedawano w nich kolokazji i narzędzi do pracy w polu, lecz lody po osiem dolarów za gałkę i Tshirty dla turystów po sześćdziesiąt dolarów za sztukę.

Zaparkowaliśmy przed jakąś starą chatą na dalekim krańcu ulicy, przy skraju pola porośniętego wysokimi chwastami i zaniedbaną trzciną cukrową. Na froncie znajdował się zmurszały szyld, który zapraszał do Cokie's Grill. Restauracja miała zapadający się, stary taras, okna z siatkami i rdzewiejący dach z falistej blachy, porosły zielonym mchem.

Wysiedliśmy z samochodu, rozpędzając stadko kogutów, które z paniem uciekły przed nami pod ganek. Monk patrzył na nie, jakby były to co najmniej aligatory.

- Co to za miejsce? - zapytał.

Kealoha zaczął już wchodzić na ganek.

- Kiedyś była to chata dla robotników z plantacji. Niewiele się zmieniło, co?

- Nadaje się tylko do rozbiórki - stwierdził sucho Monk. - Po co tu przyjechaliśmy?

- Naaj epsze grines5 - odpowiedział Kealoha, otwierając zdezelowane drzwi z siatką i wprowadzając nas do środka. - Najlepszy lunch na Kauai.

Monk odwrócił się do mnie z pobladłą twarzą.

- Chusteczka.

Sięgnęłam do torebki i wchodząc przez próg, podałam mu chusteczkę.

Ciasne, niewielkie wnętrze chatki bardziej przypominało dom niż restaurację, choć wszędzie unosiła się woń smażonego jedzenia i ryb. Z pożółkłych ścian schodziła biała niegdyś farba, a drewniana podłoga skrzypiała pod nogami przy każdym kroku.

W środku stało tylko kilka stolików. Każdy był nakryty takim samym obrusem w drobną, białoczer - woną kratkę. Stożące przy nich stare krzesła z prostym oparciem miały wyblakły, czerwony kolor i były już mocno wytarte od wieloletniego używania.

Poza nami jedynymi klientami byli dwaj nieprawdopodobnie wiekowi Hawajczycy w hawajskich koszulach, które wisiały luźno na ich chudych, kościstych barkach. Ich ciemna skóra była tak pomarszczona, jakby odsączono z ich ciał całą wilgoć. Siedzieli przy trzysobowym stoliku, grali w karty i popijali ze smakiem colę.

Menu wypisane było kredą na czarnej tablicy na ścianie obok przejścia do kuchni, w której jakaś starsza kobieta, ubrana wmu'umu'u i zwykły fartuch, z upiętymi w kok siwymi włosami, stała przy ruszcie i nadzorowała pracę trzech innych, podobnie ubranych, ale dużo

młodszych kobiet. Na jadłospisie figurowały tylko trzy punkty: LUNCH \$5, NAPÓJ \$1, BABECZKA \$2.

W najdalszym kącie sali wisiała przypominająca lampion elektryczna lampa owadobójcza, która wydawała suche trzaski co kilka sekund, kiedy następny zwabiony owad wpadał na siatkę pod napięciem. Druciana siatka aż poczerniała od zwęglonych insektów i porozrywanych skrzydełek. Za każdym razem, kiedy z lampy niósł się kolejny cichy trzask, Monk wzdrygał się z obrzydzeniem.

- Trzy razy po talerzu, mamuś! - krzyknął Kealo - ha i poprowadził nas do stołu z trzema krzesłami.

Usiadłam na jednym z nich.

- To pana matka? - zapytałam.

Kealoha pokręcił głową i usiadł przy stole.

- To kama'aina⁶. Gotuje tu już tak długo, że jak powiadają, naaj epsze grines jadali u niej jeszcze Menehuni.

- Kto to był?

- Hawajskie elfy - wyjaśnił Kealoha. - Żyły tutaj przez tysiące lat, pracowały wyłącznie nocą, wznosząc wiele wspaniałych budowli, aż w końcu odpłynęły w wieczność na pływającej wyspie. Kilka jednak pozostało, psocą i czynią ludziom swoje magiczne sztuczki, a nocami da kine⁷. Mnie na przykład ciągle kradną kluczyki samochodowe.

Monk przez cały czas stał obok stołu.

- Niech pan siada, proszę, panie Monk - zapraszał Kealoha.

- Nie mogę - odpowiedział Monk.

- Dlaczego nie?

- To nieodpowiedni stolik.

- Co w nim nieodpowiedniego? zdziwił się Kealoha.

Natychmiast się domyśliłam i wstałam.

- Ma tylko trzy krzesła.

- Nas jest też troje - zauważył Kealoha. - Każdy ma swoje miejsce.

- Ale to nieparzysta liczba.

- No i? - zapytał Kealoha.

Nie było sensu wyjaśniać wszystkiego porucznikowi, więc po prostu przeszłam parę kroków i usiadłam przy sąsiednim stoliku z czterema krzesłami. Po chwili Kealoha, z zadziwieniem na twarzy, również się przesiadł. Jednak Monk stał dalej nieruchomo, wpatrując się w stolik, od którego właśnie odeszliśmy.

- Nie możemy go tak zostawić - powiedział.

Rozejrzał się dookoła. Przy drugim pustym stoliku stały cztery krzesła. Gdyby wziął jedno, znowu po zostałyby ich nieparzysta liczba. Odwrócił się do stolika, przy którym siedziało dwóch starszuchów i podszedł do ich trzeciego, nie zajętego krzesła.

- Czy można?

Chwycił krzesło przez chusteczkę, przeciągnął je z hałasem do naszego poprzedniego stolika i ustawił je wraz z innymi, w idealnie równych odległościach.

Kealoha popatrzył na mnie i zapytał szeptem:

- Wszystko z nim w porządku?

Zręcznie pominęłam odpowiedź na to pytanie.

- Jest genialnym detektywem.

Monk podszedł wreszcie do naszego stołu i już miał siadać, gdy nagle sapnął ciężko i z przerażeniem w oczach zaczął się cofać chwiejnym krokiem.

- Co się stało? - zapytałam zaniepokojona.

Wskazał drżącym palcem na krzesło. Kealoha uniósł się trochę i zajrzał przez stół na krzesło. Ja również spojrzałam z zaciekawieniem.

Siedziała na nim mała zielona jaszczurka.

Kealoha uśmiechnął się szeroko.

- To gekon, nasz dobry przyjaciel.

- On nie jest moim przyjacielem - oświadczył Monk.

- Gekony przynoszą szczęście - tłumaczył Kealoha. - Poza tym zjadają komary i karaluchy.

Przez Mońka przebiegł nagły dreszcz.

- Macie tu karaluchy?

- Nie tam, gdzie są gekony - powiedział Kealoha. - Dlatego się cieszymy, że nasi przyjaciele są właściwie wszędzie.

Rozejrzałam się. Monk uczynił to samo. W ogóle ich wcześniej nie spostrzegłam, ale rzeczywiście, gekony były wszędzie; siedziały na suficie, pełzały po ścianach, tłoczyły się na podłodze pod lampą owadobójczą. Gekon na krześle Mońka nagle pierzchnął, ale wiedziałam, że nie ma mowy, by Monk kiedykolwiek usiadł na tym miejscu ani w ogóle w tej restauracji.

- Matko Boska - wymamrotał Monk.

W tej chwili z kuchni wytoczyła się stara kobieta, niosąc na tacy trzy styropianowe pudełka i trzy kole w plastikowych kubkach bez lodu. Rozdała nam napoje, potem rozstawiła przed nami pudełka i otworzyła każde zamaszystym ruchem. Każda potrawka znajdowała się

w odrębnej przegródce, jak w opakowaniu z mrożonym obiadem. Jedno z pudełek starsza pani postawiła przed pustym krzesłem Mońka, obrzuciła go przy tym zimnym spojrzeniem i wróciła do kuchni.

- Mahalo nui loa8- zawołał za nią z wdzięcznością Kealoha i zaczął ze smakiem jeść obiad.

Przyjrzałam się posiłkowi kawałek jakiegoś mięsa pokryty gęstym, brązowym sosem od pieczeni, kulka białego ryżu, kwadracik czegoś purpurowego i cia - stowatego oraz kopczyk czegoś, co przypominało surówkę z ogórków.

Monk przypatrywał się jedzeniu w przegródkach, jakby oglądał jakiś rzadki gatunek zanurzony w formalinie.

- To kogut?

- Nie, wieprzowina w sosie własnym, porcja ryżu i poi - wyjaśnił Kealoha; wziął w palce kawałek mięsa, unurzał go najpierw w ryżu, potem w ogórkach i wpakował sobie do ust.

Mieszanie pożywienia w taki sposób zdecydowanie nie leżało w zwyczaju Mońka.

- To mi wygląda na koguta - powiedział.

- Skąd pan wie?

- Kucharka nie wygląda mi na osobę, która wyprawia się daleko w poszukiwaniu najlepszego mięsa.

- Jadł pan już kiedyś koguta?

- Ależ, do diabła, skąd! - odpowiedział Monk.

- Pewnie jest smakowity - powiedziałam.

Odkroiłam trochę mięsa, nabiłam je na widelec i ugryzłam kawałek.

Nie wiem, co to było, ale bardzo mi smakowało.

- Co to jest poił - zapytałam, machając widelcem nad ciastowatym kwadracikiem.

- To sfermentowana tłuczona kolokazja. Tak się je poi. - Kealoha zanurzył w poi dwa palce, zebrał jej trochę i z zachwytem włożył sobie do ust.

Monk patrzył na niego z obrzydzeniem, a ja zagarnęłam trochę poi palcami i wylizałam je do czysta.

Monk wbił we mnie wzrok.

- Straciłaś rozum? - zapytał.

Poi smakowało jak klej biurowy, ale z czystego okrucieństwa jeszcze raz zanurzyłam palce w mazi i następną porcję podsunęłam Monkowi.

- Nie chce pan spróbować? - zapytałam Mońka.

- Czyżbyś podkraść mi tabletki?

- Jakie tabletki? - zainteresował się Kealoha.

- Pobudzające, ale zdecydowanie nie w celach rozrywkowych - wyjaśnił Monk. - W ich działaniu trudno znaleźć cokolwiek wesołego.

- Zwłaszcza dla kogoś, kto musi przebywać z osobą, która je zażywa - dodałam, zjadając poi.

- Mam receptę - powiedział Monk.

Upaprany palcem wskazałam surówkę.

- Co to jest?

- Gekon - powiedział Monk z powagą.

- To kimchi - odparł Kealoha. - Pikantne, marynowane warzywa z czosnkiem i chili.

Monk nachylił się do mojego ucha.

- Masz w tej sprawie tylko jego opinię.

- Bardzo ostre grines - powiedział Kealoha. - Nie dawaj potem nikomu buziaka.

Zagarnęłam palcami troszkę kimchi i włożyłam je sobie do ust. Było rzeczywiście pikantne i z dużą ilością czosnku, ale smakowało bosko. Wiedziałam, że będę miała paskudny oddech, ale moje szanse zbliżenia się do kogoś na tyle blisko, aby to wyczuł, były równe zeru.

Kealoha wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Kimchi jeemy wydelcem.

Wzruszyłam ramionami.

- Cóż, nie wszędzie może mnie pan zapraszać.

W tej chwili rozległ się głośny trzask lampy owadobójczej i Monk aż odskoczył przestraszony, trącając w puste krzesła przy sąsiednim stole.

- Dobrze, dość tego, koniec z tymi szaradami! - powiedział nagle, wyciągając oskarżycielsko palec w kierunku Kealohy. - Nie mamy nic wspólnego z morderstwem Helen Gruber.

- A kto powiedział, że mamy? - zapytałam zdziwiona.

Monk skinął głową w kierunku Kealohy.

- On. Jego zdaniem stąd tyle wiem o zabójstwie. Zabrał nas do tej zapuszczonej meliny, żeby w spokoju zabezpieczyć miejsce zbrodni i mieć nas na oku, kiedy jego kolega wydzwaniania do kapitana Stottle - meyera.

Spojrzałam na Kealohę, który z zajęciem przeżuwał lunch.

- To prawda?

Kealoha wzruszył obojętnie ramionami.

- Zabrałem was na lunch. Równie dobrze mogłem was zawieźć na posterunek. Ale u nas tak się załatwia sprawy, pokojowo i po przyjacielsku.

- Tak pan nazywa uwięzienie nas w tej owadziej norze, gdzie się roi od gadów? - zapytał Monk. - W Ameryce nikt nie tolerowałby takiej brutalności stróżów prawa.

- To jeezd Ameriyka, braachu.

W tej chwili zadzwonił telefon komórkowy Kealo - hy. Porucznik otworzył go, odezwał się do mikrofonu, wstał i odszedł kilka kroków, żebyśmy go nie słyszeli. Zauważyłam jednak, że ustawił się między nami a wyjściem, na wypadek gdyby Monk chciał się raptem rzucić do szalonej ucieczki.

- I po co to panu było? - zapytałam, nie przerywając jedzenia.

- Nie ja prosiłem, żeby przyjeżdżać do tego domu grozy - powiedział Monk, drgnąwszy nerwowo przy kolejnym trzasku lampy owadobójczej.

- Ale to pan zakłócił im dochodzenie w sprawie zabójstwa.

- Gdyby nie ja, nie wiedzieliby, że to zabójstwo.

- Tego nie wiadomo.

- Wiem, że sami nigdy go nie wyjaśnią - powiedział z przekonaniem Monk.

- To wakacje - powiedziałam. - Miał pan odpocząć, pamięta pan?

- Najlepiej odpoczywam przy wyjaśnianiu zabójstw. Nerwowo stają się wtedy, kiedy nie mam do rozwikłania żadnego morderstwa.

- To niech pan sobie czyta kryminały - poradziłam. - Próbował pan? Poza tym policja w Kauai nie prosiła pana o pomoc.

- Popatrz, jak oni żyją. Naprawdę uważasz, że potrafią sobie poradzić z takim śledztwem? Sama słyszałaś, co mówił. Z morderstwem rzadko mają tu do czynienia. Jestem im potrzebny.

Kealoha podszedł Mońka.

- Kapitan Stottlemeyer twierdzi, że jest pan oszustem. Uważa, że Adrian Monk nigdy nie poleciałby na Hawaje.

- Czy mogę z nim porozmawiać?

Detektyw podał mu telefon.

- Chwilę. - Monk się odwrócił i wyciągnął do mnie rękę. - Chusteczka.

Podalam mu chusteczkę. Monk sięgnął przez chusteczkę po telefon, który jednak wyslizgnął się z chwytu jego wilgotnej dłoni i spadł na podłogę.

- Potrzebuję drugą chusteczkę - powiedział Monk, machając do mnie ręką. - Szybko!

- Przecież ta chusteczka jest jeszcze dobra.

- Nie, nie jest.

- Nie dotknął pan nawet telefonu.

- Chusteczka go dotknęła.

- Owszem, chusteczka, ale pan nie.

- Ale teraz w tej chusteczce jest mniej chusteczki - tłumaczył. - Potrzeba mi pełnej chusteczki. Przejrzyj wreszcie na oczy, kobieto. Tutaj po ścianach chodzą jaszczury! Ta sytuacja wymaga chusteczek na Pełną skalę.

Kealoha podniósł z podłogi telefon i przyłożył go do ucha.

- Halo? Jest pan tam jeszcze, kapitanie? - Słuchał przez chwilę, potem się uśmiechnął i pokiwał głową. - Dobrze, na pewno to zrobię. - Zatrzasnął klapkę telefonu i wsunął go z powrotem do kieszeni szortów. - Kapitan mówi, że jednak z całą pewnością jest pan tym, za kogo się pan podaje. Prosił też, abym serdecznie pozdrowił panią Teeger.

- Skoro ustaliliśmy już moją tożsamość - powiedział Monk - możemy się stąd wreszcie wynieść, prawda?

- Lepiej nawet - odpowiedział Kealoha. - Możemy porozmawiać z mężem pani Helen Gruber.

Monk i batoniki Toblerone

Lance Vaughan siedział na skraju szezlonga, z łokciami opartymi o kolana, z twarzą ukrytą w dłoniach, a jego ramionami lekko wstrząsał cichy szloch. Jego surfingowe spodenki były mokre, a czerwona surfingowa koszulka z krótkimi rękawami ciasno przylegała do ciała niczym druga skóra. Vaughan miał kręcone, brązowe włosy, wręcz stworzone do targania, zaczesywania i zakręcania przez kobiece palce. Od razu zrozumiałam, dlaczego Helen Gruber poślubiła tego chłopaka. Sama miałabym ochotę mu się oświadczyć. Mimowolnie pomyślałam, że przydałaby mi się pastylka miętowa odświeżająca oddech.

- Pan Lance Vaughan? - zapytał Kealoha. - Jestem porucznik Ben Kealoha z policji Kauai.

Lance podniósł głowę. Zobaczyłam płynące po policzkach łzy, a w błękitnych oczach szczerą boleść. Powoli otarł łzy otwartymi dłońmi obu rąk. Ten ruch wydał mi się bardzo męski. Ja otarłabym sobie łzy koniuszkami palców. Otarłabym nawet jego łzy, gdy - by nie moja nieprawdopodobna moc panowania nad odruchami.

Kealoha skinął w naszą stronę.

- To Adrian Monk, prywatny detektyw i konsultant policji oraz jego asystentka Natalie Teeger. Bardzo nam przykro z powodu śmierci pańskiej żony.

- Cóż za okrutny żart, prawda? - powiedział Lance.

- To znaczy? - zapytał Kealoha.

- Ileż to razy kokos spadał na głowę Gilliganowi. Chyba co tydzień. I za każdym razem wzbudzało to tylko śmiech widzów - skarżył się Lance. - Helen była silną, dumną i piękną kobietą. Zasluzowała na coś lepszego.

- Na lepszą śmierć? - zapytał Kealoha.

- Tak - odpowiedział Lance. - Na coś godniejsze - go. Na coś, co dałoby jej szansę podjęcia ostatniego boju. A tak to... jakby zabił ją tort rzucony w twarz.

- Na nadgarstku ma pan wytatuowany drut kolczasty? - zapytał Monk.

Lance przeciągnął palcem po tatuażu na lewej ręce.

- Zrobiłem go, kiedy miałem osiemnaście lat, żeby nie wypaść ze szkolnej kapeli rockowej. Helen uważała, że jest bardzo sexy. Długo musiałem ją odwozić od pomysłu, by zrobiła sobie dokładnie taki sam z okazji naszych zaręczyn. Wyobrażacie sobie kobietę po sześćdziesiątce z takim tatuażem? Ale ona taka była. Nie obchodziło jej, co mówią inni. Czerpała z życia pełną garścią to, na co miała ochotę. Żyła po swojemu, niczego nie żałowała i za nic nie przepraszała. Za to ją kochałem.

- Jeśli człowiek tak żyje - zauważył Kealoha - znajduje wielu wrogów.

- Myśli pan, że zabiła ją zła karma?

Kealoha potrząsnął głową.

- Myślę, że zabił ją zły człowiek.

Minęło kilka sekund, zanim do Vaughana dotarło znaczenie tych słów. Ręce Lance'a zacisnęły się w pięści. Spojrzał porucznikowi prosto w oczy.

- Pan mówi, że Helen padła ofiarą morderstwa? Dlaczego ktoś miałby zabijać moją żonę?

- Tego właśnie zamierzamy się dowiedzieć - powiedział Kealoha. - Musimy zadać panu parę pytań.

- Dlaczego nie ma pan tatuażu na drugim nadgarstku? - zapytał Monk.

Kealoha spojrział na Monka ze zdziwieniem. Jestem pewna, że próbował zrozumieć, co takie pytanie może mieć wspólnego z prowadzonym dochodzeniem. Biedaczyna.

- Jakoś nigdy nie było okazji - odpowiedział Lance.

- Nie uważa pan, że już najwyższy czas? - zapytał znowu Monk.

- Gdzie był pan dziś rano, panie Vaughan? - zapytał Kealoha oficjalnym głosem.

Lance rzucił policjantowi piorunujące spojrzenie.

- Wiem, do czego pan pije. Patrzy pan na mnie, widzi mężczyznę dużo młodszego od Helen i z miejsca pan zakłada, że ożenił się z nią dla pieniędzy. Prawda, że mam rację?

- Nieraz tak bywało - odpowiedział mu Kealoha bez poczucia winy.

- Założę się, że na Kauai znajdzie pan niejedno studio tatuażu - odezwał się znowu Monk. - Jeszcze dzisiaj mógłby pan sobie zrobić tatuaż.

Kealoha obrzucił Mońka stalowym spojrzeniem. Jednak Monk nawet tego nie zauważył, tak był zajęty obrzucaniem stalowym spojrzeniem Lance'a.

- Dwa lata temu pracowałem jako trener w siłowni w Cleveland. Nie mogłem się opędzić od kobiet - powiedział Lance. - Mogłem wybierać spośród dwudziestodwuletnich blondynek z biustem po operacji plastycznej, ale wiecie, dlaczego zakochałem się w Helen?

- Bo była bardzo bogata? - wpadłam mu w słowo.

- Bo miała bardzo bogatą osobowość, pani Teeger.

Bogatą w inteligencję. Bogatą w nieskończony zachwyt nad życiem. Bo była autentyczna. Była kobietą w każdym calu. Nie zważała na wiek i dla mnie też nie odgrywał on roli. Była najseksowniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

- Zapewne również najbogatszą - dodał Kealoha.

Monk wyjął z kieszeni długopis.

- Proszę, niech pan skorzysta.

- Do czego? - zapytał Lance.

- Niech pan przynajmniej narysuje ten drut kolczasty. Na razie, dopóki pan nie znajdzie studia. Później mi pan podziękuję.

- Oszalał pan? - zapytał Lance.

- To nie ja mam nie pasujące do siebie nadgarstki - odparł Monk.

- No więc gdzie pan był dzisiaj między ósmą a jedenastą rano, panie Vaughan? - przerwał im Kealoha.

- Nurkowałem u wybrzeża Na Pali - odpowiedział Lance. - Z dwoma tuzinami innych wczasowiczów byłem na snorkelowym rejsie. Można to sprawdzić w biurze Snorkel Club. Rezerwację zrobiłem dwa dni wcześniej.

- Dlaczego żona z panem nie pojechała?

- Powiedziała, że gdyby chciała popatrzeć na złote rybki, nie leciałaby na Hawaje, tylko poszłaby do sklepu zoologicznego. Nie chciała jednak, żebym odmawiał sobie przyjemności z jej powodu... - Głos uwiązał mu w gardle. - Gdybym nie wyjeżdżał, może bym ją mógł uratować.

- Ja mógłbym narysować panu ten drut kolczasty - powiedział Monk. - Nie jestem co prawda artystą, ale bądźmy szczerzy, facet, który robił ten tatuaż, też nim nie był.

- Przychodzi panu do głowy jakiś powód, dla którego ktoś chciałby pozbawić pańską żonę życia? - zapytał Kealoha, jakby Monk w ogóle się nie odzywał.

Lance potrząsnął głową.

- Czegoś brakuje? - pytał dalej Kealoha.

- Tatuazu na prawym nadgarstku - wtrącił się Monk. - Czy tylko ja to widzę?

- Biżuterii, pieniędzy, ważnych dokumentów, czegoś wartościowego? - wyliczał szczegółowo Kealoha.

- Nie wiem - odparł Lance. - Nie patrzyłem jeszcze.

- Byłby pan uprzejmy spojrzeć? - Kealoha kiwnął na któregoś z policjantów. -
Przejrzyjcie z panem Vaughanem dom, dobra?

Lance wstał i poprowadził policjanta do wnętrza.

Kealoha odwrócił się do Mońka.

- Co pan sądzi?

- Ten człowiek jest niebezpiecznie niezrównoważony - odpowiedział Monk.

- Myśli pan, że bywa gwałtowny?

- Mam na myśli to, że na jednym nadgarstku ma tatuaz, a na drugim nie -
odpowiedział Monk. - Człowiek zdolny do takiego szaleństwa zdolny jest do wszystkiego.

Kiedy Kealoha sprawdzał alibi Lance'a, byłam zdecydowana zejść na plażę i zażyć wreszcie hawajskiego słońca. Nie obchodziło mnie, jak Monk zamierza spędzić resztę dnia.

Poszłam prosto do mojego pokoju, a Monk szedł za mną jak cień, niespokojny, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Korciło go strasznie, by czegoś dociekać, czegokolwiek, ale do czasu telefonu od Kealohy nie miał nic do roboty. Łudziłam się nadzieją, że nie będzie tego telefonu przez następne kilka dni.

Weszłam do pokoju, zatrzasnęłam dzielące mnie od Mońka drzwi i przebrałam się w plażowe bikini, wciąż gotując się ze wściekłości, że na początku pobytu na Hawajach Monk nie tylko zdążył zrujnować ślub mojej przyjaciółki, ale jeszcze natrafił na morderstwo.

Kwestię ślubu byłam mu nawet gotowa wybaczyć. Jakkolwiek by było, uchronił Candace przed małżeństwem z patologicznym łgarzem i przyszłym biga - mistą. Ale trupa nie mogłam darować.

Większość ludzi przechodzi przez życie, w ogóle nie zetknąwszy się z morderstwem. Tymczasem Monk może mówić o szczęściu, jeśli uda mu się wyjść z domu i wziąć poranną gazetę z ganka, nie potykając się o zwłoki. Morderstwa objawiają się przy nim z tak zadziwiającą częstotliwością, że trudno mówić o zbiegach okoliczności; to graniczy wręcz ze zjawiskiem nadprzyrodzonym.

Gdy tylko zobaczyłam Mońka w samolocie, do pewnego stopnia od razu wiedziałam, że tak czy inaczej, prędzej czy później, Monk niezawodnie wplączę mnie na Hawajach w śledztwo w sprawie morderstwa. Teraz mogłam już tylko mieć nadzieję, że albo szybko wykryje zabójcę, albo sprawy się potoczą bardzo wolno i będę miała mnóstwo czasu na wylegiwanie się w hamaku, długie spacery po plaży i leniwe pływanie w basenie.

Nakładałam właśnie na siebie solidną warstwę mleczka do opalania, żaląc się wciąż nad swoim ciężkim losem, kiedy po drugiej stronie drzwi usłyszałam naraz głos Mońka. Żywiłowo z kimś rozmawiał.

W przypiływie szacunku dla nieśmiałości Mońka, którą przejawia na widok kobiecego ciała, narzuciłam na siebie szlafrok i otworzyłam drzwi do jego pokoju.

Monk stał z asystentem kierownika hotelu przy otwartej lodówce. Młody mężczyzna, w kwiecistej koszuli z hotelowym emblematem i w spodniach w kolorze khaki, wyglądał na skrajnie udręczonego i zrezygnowanego, ale robił wszystko, by okazać Monkowi jak najdalej idącą uprzejmość. Z identyfikatora na jego koszuli wyczytałam, że nazywa się Tetsuo Kapaka.

- Naprawdę nie widzę problemu, proszę pana - tłumaczył Tetsuo Monkowi, odnotowując moje pojawienie się kurtuazyjnym skinieniem głowy.

- Mam w lodówce dwa batony czekoladowe To - blerone, a wszystkiego innego po jednym - tłumaczył Monk.

- Tak jest - przyznał Tetsuo.

- I w tym właśnie jest problem - mówił Monk. - Jestem pewien, że inni goście też się na to uskarżają.

- Pan jest pierwszy, proszę pana - odpowiedział Tetsuo.

- Zjadłem jeden baton, zasnąłem trochę spokoju, ale wystarczyło, żebym na chwilę wyszedł, a pokojówka podłożyła następny - żalił się Monk. - W głowie się nie mieści.

- Uzupełniała zapasy w minibarze - tłumaczył Tetsuo.

- Tak to nazywacie?

- Tak funkcjonuje system hotelowych minibarów.

- To system korupcjogenny - zauważył Monk. - Bo teraz znowu mam w lodówce dwa batony Toblerone.

- Może pan jeden zjeść.

- Aha! - wykrzyknął Monk. - Właśnie o to panu chodzi! Mam bez końca jeść batony po sześć dolarów za sztukę.

- Ależ wcale nie musi pan ich jeść. Może pan w ogóle nie zwracać na nie uwagi.

- Och, oczywiście. Równie dobrze może się pan spodziewać, że będę spokojnie spał, kiedy ręczniki w łazience są zwinięte, a nie złożone!

Tetsuo podniósł brwi, nic nie rozumiejąc.

- Czy ręczniki czynią jakiś hałas?

- Nie taki, który pan by usłyszał albo ja - odezwałam się wreszcie. - Nie jest on uchwytny nawet dla psa.

- Poinstruuje pokojówki, aby w czasie pańskiego pobytu nie uzupełniały tu minibaru - obiecał Monko - wi Tetsuo.

- Niech pan przyzna, że to przebiegły chwyt kierownictwa hotelu, by zmuszać gości do zjadania nieprzyzwoicie drogich batonów.

- Nie, proszę pana.

Monk niżył głos.

- Boi się pan represji i dlatego milczy? O to chodzi? Jestem detektywem, który współpracuje z policją Kauai. Mogę panu zapewnić program ochrony świadka. Rozbijemy ten układ raz na zawsze.

- Jeśli to wszystko, panie Monk, to już sobie pójdę.

- Ile batonów Toblerone miała w swojej lodówce pani Gruber?

- Nie wiem, proszę pana - odpowiedział Tetsuo. - Na to akurat się nie skarżyła.

- A n a c o się skarżyła? - zapytał Monk.

- Na hałas - powiedział Tetsuo. - Mówiła, że nie ma ani chwili spokoju, bo całymi dniami słyszy jakieś rozmowy i krzyki.

- Musiało się tam odbywać mnóstwo głośnych przyjęć - stwierdziłam. - Pani Gruber nosiła przecież aparat słuchowy.

- W tym rzecz - stwierdził Tetsuo.

- Kiedy coś do niej mówiłem, ledwie mnie rozumiała, choć bungalowy stoją w spokojnym i odludnym miejscu. Jeśli rzeczywiście słyszała jakieś głosy, to chyba we własnej głowie.

- Co pan zrobił?

- Odesłałem ją do naszego kierownika, pana Martina Kamakele - odpowiedział Tetsuo.

Monk zmrużył nagle oczy.

- Czy to on jest mózgiem batonowego spisku?

- Nie wiem, proszę pana. - Tetsuo odwrócił się do drzwi. - Życzę miłego dnia i proszę mnie wezwać, jeśli tylko będę mógł czymś służyć.

Monk odprowadzał Tetsuo świdrującym spojrzeniem.

- Oto człowiek, który żyje w strachu. W lodówce Helen Gruber nie było ani jednego opakowania To - blerone. W ogóle nie było w niej czekoladki.

- Może pani Gruber wpadła na trop podstępnej czekoladkowej zmowy i zginęła, bo ktoś chciał zamknąć jej usta?

- Żartujesz sobie, a opakowania po sześć dolarów sumują się w grube zyski.

- Niech więc pan dalej się nad tym głowi, ja idę na plażę - oświadczyłam.

- Nie możesz iść na plażę.

- A to dlaczego?

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa.

- Idę na plażę.

- Nie wiem, czy będziesz miała na to czas.

Rozchyliłam poły szlafroka i opuściłam go na podłogę. Monk gwałtownie zakrył oczy i odwrócił się niczym wampir na widok krucyfiksu. Na szczęście przynajmniej nie syczał.

- Mitch uwielbiał to bikini. Nie miałam go na sobie od lat. Co pan o nim myśli? - zapytałam.

- Jest go za mało. - Spod rąk wydobył się jego przytłumiony głos.

- To dobrze - odparłam i wyszłam.

Dopóki będę miała na sobie bikini, Monk będzie się trzymał ode mnie z daleka.

Monk otrzymuje wiadomość

Zanurkowałam w fale i próbowałam nie myśleć o tym, jak Monk widzi ocean, ale choć w wodzie było cudownie i ciepłutko, jego słowa wciąż chodziły mi po głowie. Oczami wyobraźni widziałam cuchnącą kanali - zę i rybie ekskrementy.

Oto, co Monk potrafi zrobić człowiekowi. To jest dopiero podstępna natura.

Położyłam się na wodzie i dałam się ponieść falom z powrotem do brzegu. Potem, lawirując między plażowiczami rozłożonymi na ręcznikach i leżakach, przeszłam wolno wyżej, na rozgrzane piaski, gdzie, ku wielkiej radości, znalazłam rozpięty między dwiema palmami wolny hamak.

Leżałam i bujałam się łagodnie w orzeźwiającej bryzie, suszyłam w słońcu krople morskiej wody na skórze i zdawało mi się, że tuli mnie do siebie sama Matka Natura. Było mi ciepło, czułam się bezpieczna i całkowicie odprężona. Z wolna zapadłam w błogą, rozmarzoną drzemkę.

Przebudził mnie delikatny chłód. Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą czarną chmurę zasnuwającą słońce. W jednej chwili lunęła na mnie gwałtowna, rześista ulewa. W

pierwszej chwili instynkt kazał mi szukać dachu nad głową, ale deszcz był ciepły, a mia - lam na sobie tylko bikini, więc zostałam w hamaku, chichocząc jak małe dziecko.

Zresztą nie tylko ja. W oceanie i basenach turyści nadal się radośnie pluskali jak gdyby nigdy nic, a większość ludzi nakryła się po prostu ręcznikiem, choć głównie chyba po to, żeby osłonić przed deszczem nie głowę, lecz czasopismo, książkę, GameBoya czy laptop.

Nawet w deszczu Hawaje pozostawały rajem.

Chmura odeszła, a ulewa skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Znowu wyjrzało słońce i zajaśniało chyba jeszcze bardziej, podobnie jak wszystko inne wokół mnie; rośliny i kwiaty kroplicie błyszczały w słońcu. Powietrze wypełniła woń deszczu i świeżych kwiatów, mieszając się ze słonym pyłem wody niesionym znad oceanu.

W ciągu kilku zaledwie minut znowu byłam sucha i poczułam pragnienie. Nabrałam ochoty na coś słodkiego i chłodnego do picia. Rozleniwiona i rozluźniona zsunęłam się z hamaka i sennym krokiem przeszłam do plażowego baru - krytej strzechą chatki z kontuarem, przed którym stało kilka wysokich ratano - wych krzesel.

Podalam barmanowi numer pokoju i zamówiłam „Wulkaniczną lawę”, wyborne połączenie mrożonych truskawek, rumu kokosowego, piña colady i bananów, zmiksowanych i udekorowanych plastrem ananasa oraz, rzecz jasna, parasolką. Pociągnęłam pierwszy łyk i przymknęłam powieki. Co za relaks. Miałam wrażenie, że lada moment rozplynę się w kałużę wody.

- Pani mąż za panią tęskni.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że na krześle obok siada Dylan Swift, słynne medium. Nawet nie raczył się przedstawić. Cóż, jeśli twoja twarz znajduje się na milionach okładek i masz własny program telewizyjny, to właściwie możesz być pewny, że znają cię wszyscy. Sądząc po spojrzeniach, jakie zewsząd rzucali nam ludzie, zapewne się nie mylił.

- Nie mam męża - odpowiedziałam, dając wyciągnąć z siebie informację, którą zapewne chciał uzyskać tym kiepsko zaplanowanym podrywem.

Nie jestem sławna, jednak również nie raczyłam się przedstawić. Niech poczeka, aż wydam książkę, zakładając, że kiedyś w ogóle jakąś napiszę.

- Jest pani wdową - powiedział Swift, patrząc na mnie spojrzeniem intensywnym i przenikliwym niczym chirurgiczny laser; miałam wrażenie, że patrzenie w jego oczy poprawia mi wzrok. - Śmierć nie nadwątliła więzi, które łączyły panią i męża.

Ogarnęła mnie złość, że ktoś się odważył naruszyć moją prywatność, ale jednocześnie zabolęła mnie trafność tego spostrzeżenia. Próbowałam nie dać tego po sobie poznać.

- Mam być pod wrażeniem? - Sięgnęłam obojętnym ruchem po drinka i omal nie przewróciłam szklanki.

- On pragnie się z panią skontaktować, by złagodzić pani ból - powiedział Swift. - Wyczuwam jednak, że nie chodzi mu o ból po jego śmierci. Nie, tu chodzi o coś innego. O jakąś nie wyjaśnioną do końca sprawę. Pani ma wrażenie, że postąpiono wobec niego nie w porządku.

- Mitch zginął dwa dni przed dwudziestymi siódmymi urodzinami - powiedziałam. - To było nie w porządku.

Byłam zaskoczona, jak płytko tkwił w mnie ten gniew i z jaką łatwością go odsłaniałam. Widać, że kiedy staje przede mną kwestia Mitcha, łatwo dotknąć mnie do żywego.

Swift wyjął z mojego drinka parasolkę i zaczął nią obracać między palcami.

- Rozdzielił was przypadek - powiedział.

- Został zestrzelony w boju przez ogień nieprzyjaciela - wyjaśniłam. - Trudno to nazwać przypadkiem.

- Mam na myśli, że nie była to jego wina - powiedział Swift. - Mitch nie obwinia siebie za to, co się stało w Kosowie, i pani też nie powinna.

- Nie obwiniam się.

- Ktoś jednak czuje się winny i to spędza pani sen z powiek - stwierdził Swift. - Napełnia panią gniewem i goryczą. Niezależnie od tego, co powiedzieli pani w wojsku, Mitch chce pani oświadczyć, że zrobił wszystko, co powinien zrobić żołnierz. Chce, aby była pani z niego dumna, aby wiedziała, że okazał odwagę, aby nie wątpiła pani, że był mężczyzną, którego pani kochała, do samego końca.

Wbrew mojej woli łzy zaczęły mi napływać do oczu i to mnie dopiero rozwścieczyło. Ostatnią rzeczą, jakiej bym teraz pragnęła, to rozkleić się przed tym mężczyzną. Czy jakimkolwiek innym.

- Jakoś wciąż nie jestem pod wrażeniem - powiedziałam, popijając „Wulkaniczną lawę” i próbując zachowywać się tak, jakbyśmy rozmawiali o baseballu albo pogodzie, w każdym razie nie o śmierci mojego męża.

- Nie mam zamiaru robić wrażenia na pani czy kimkolwiek innym - odparł Swift. - Przekazuję tylko wiadomość. Na pewno chciałaby pani wiedzieć, co naprawdę się przydarzyło Mitchowi, prawda?

- Może mi pan to powiedzieć? - zapytałam, wściekła, że pytanie tak szybko wyrwało mi się z ust i że zdradziłam, jak bardzo mi zależy na odpowiedzi.

- Ja nie. Ale Mitch tak - odpowiedział Swift. - Niestety nie tak łatwo odczytać obrazy i symbole. Odpychają je inne głosy i doznania.

- Nie rozumiem.

- Mój związek z zaświatami jest bardzo skomplikowany. Proszę sobie wyobrazić tysiąc dusz w zamkniętym pomieszczeniu i tylko jeden telefon komórkowy, przez który mogą się skontaktować z kimś na zewnątrz. Tym telefonem jestem ja. One walczą między sobą o to, by być słyszany. Sama pani wie, że telefony komórkowe często źle odbierają sygnały. Nawet bez zakłóceń trudno byłoby te dusze wysłuchać, tymczasem one przemawiają do mnie nie tylko językiem słów, ale także uczuć, obrazów, smaków, zapachów i dźwięków.

- Niech pan powie tym innym duszom, żeby poczekały na swoją kolej - powiedziałam.

- Niech teraz powie coś Mitch.

- To nie działa w tak prosty sposób - powiedział Swift. - Podobnie jak telefon komórkowy, nie mam wpływu na to, kto mnie używa. Bywa, że jakiś duch przenika we mnie z gwałtowną siłą, gdy stoję w pobliżu kogoś, z kim się chce komunikować, ale najczęściej to ludzie przychodzą do mnie i proszą o kontakt z konkretnym bliskim czy ukochanym człowiekiem, który odszedł w zaświaty. Jednak to jest trudniejsze.

- Musi pan zatem sam zadzwonić na drugą stronę w nadziei, że odbierze właściwa dusza?

Swift uśmiechnął się zagadkowo. Miałam wrażenie, że długo pracował nad doskonaleniem tej zagadki - kowości.

- Coś w tym rodzaju.

- Wszystko, co pan powiedział o moim mężu, można znaleźć w Internecie w wyszukiwarce Google albo

113

W samemu wywnioskować na podstawie pewnych okoliczności.

- Pani jest sceptyczką.

- Raczej realistką - odpowiedziałam.

Kłamałam. Niczego teraz nie pragnęłam bardziej niż tego, by Swift rzeczywiście mógł porozmawiać z Mitchem i już nienawidziłam samą siebie za to pragnienie.

- Czego pan ode mnie chce, panie Swift? - zapytałam.

- Proszę mówić do mnie Dylan.

- Nie odpowiedział pan na pytanie.

- Nic od ciebie nie chcę, Natalie.

- Więc jednak mnie pan zna - orzekłam oskarży - cielskim tonem.

- Wiem, że przyjechałaś z Adrianem Monkiem. Muszę się z nim zobaczyć - powiedział Swift.

- Dlaczego?

- By przekazać mu wiadomość od zmarłych. Ktoś uporczywie próbuje się z nim skontaktować.

- Ktoś konkretny? - zapytałam.

- Helen Gruber.

- To rzeczywiście szczególna sprawa, biorąc pod uwagę, jak rzadko dusze się przedstawiają z imienia i nazwiska.

Swift znowu się uśmiechnął, choć tym razem w jego uśmiechu nie było nic zagadkowego. Był po prostu zadowolony.

- Ogląda pani mój program?

- Raz oglądałam. Siedziałam w domu powalona gripą i między wymiotami udało mi się obejrzeć kilka minut tego i owego.

Próbowałam być uszczypliwa, by wymazać mu z twarzy tę kołtuńską pewność siebie i wyraz samozadowolenia, jednak Swift pozostawał niezrażony.

- Nigdy nie miałem tak silnego kontaktu z duchem. Mój bungalow stoi nieopodal bungalowu Helen Gruber - mówił dalej Swift. - To było trochę tak, jakby jej duch się ze mną skontaktował w drodze w zaświaty. Tuż po morderstwie.

- Skąd pan wie, że została zamordowana?

- Czuję. To było takie nagłe. To... - szukał właściwych słów. - To nie przyszło z wnętrza jak naturalna śmierć. To nadeszło z tyłu. Ktoś ją zaszedł i uderzył czymś w głowę; tak to odczułem.

Wszystko, co Swift usiłował mi dotąd mętnie wy - łuszczyć, mógł usłyszeć z rozmów personelu hotelowego lub od któregoś z policjantów na miejscu zbrodni. Nie trzeba medium kontaktującego się ze zmarłymi, żeby się domyślić morderstwa, kiedy na ulicy stoją policyjne radiowozy i karawan z kostnicy.

- Są sprawy, którymi Helen Gruber chciałaby się podzielić z panem Monkiem - powiedział Swift.

Swift postawił mnie w kłopotliwym położeniu, każąc wybierać między samolubstwem a poczuciem obowiązku wobec Mońka jako jego asystentki.

Nie dość, że Monk natrafił na morderstwo, którym mógł się do woli zajmować, to z taką desperacją postanowił nie zażywać uroków Hawajów, że dodatkowo gotów był wszcząć dochodzenie w sprawie zaopatrzenia swojej łódki.

Na domiar złego objawił się Dylan Swift, facet, który rzekomo rozmawia ze zmarłymi i który twierdzi, że z zaświatów telefonowała do niego, na koszt odbiorcy, ofiara morderstwa, w którego sprawie Monk prowadzi śledztwo.

Gdybym przyprowadziła teraz Monkowi Swifta, to cały wolny czas, nie przeznaczony na śledztwo w sprawie pani Gruber, Monk poświęciłby na próbę udowodnienia, że ta parapsychologiczna gwiazda telewizyjna to zwykły oszust. Chciał to zrobić już wczoraj, kiedy przez przypadek weszliśmy na plan filmowy Swifta; miałam nadzieję, że Monk był za bardzo odurzony pigułką, by pamiętać tamten incydent.

Jednak szybko sobie o nim przypomni, jeśli stanie przed nim Swift i będzie twierdził, że rozmawiał z Helen Gruber. Wówczas mogłabym się pożegnać z nadzieją na bodaj krótką chwilę radości na swoich hawajskich wakacjach.

Doszłam poza tym do przekonania, że do obowiązków asystentki Mońka należy też funkcja dozorczy - ni, która nie może dopuścić, by ludzie marnowali jego czas. Gdyby Swift miał rzeczywiście wnieść coś istotnego do sprawy, zaprowadziłabym go do Mońka bez chwili zwłoki. Skoro jednak nie, to zaoszczędzę Monkowi niepotrzebnych nerwów, a dzięki temu kupię sobie więcej czasu na wakacje w raju. I wilk syty, i owca cała.

Jakoś zdołałam się przekonać, że nie myślę tylko o sobie. Przeciwnie, jestem bardzo roztropna i nadzwyczaj pomocna.

- Niech się podzieli pan tymi sprawami ze mną - powiedziałam. - Przekażę wszystko panu Monkowi.

Patrzył we mnie przez dłuższy czas, usiłując podjąć decyzję. Nie przeszkadzało mi to; miałam przynajmniej parę chwil, by sączyć ze smakiem „Wulkaniczną lawę”. Wreszcie Swift westchnął i zaczął mówić.

- Ona nie wie, kto ją zabił - powiedział. - Ale zarzuciła mi głowę obrazami i doznaniem. Woń lilii. Światło, słodycz marakujowego ciasta lilikoi. Widzę kapitana Ahaba ukrytego w cieniu. Wyczuwam uciekającą miłość. Kolczasty drut wrzynający się w ciało. Widzę drwała kątem oka, który stoi pod sosną i trzyma w ręku porcelanową laleczkę... Pani nic nie notuje.

- Mam dobrą pamięć - powiedziałam. - Nie przekazała czegoś bardziej konkretnego?

- Nie jest sama - odpowiedział Swift.

- Twierdzi pan, że nie jest pierwszą ofiarą?

- Wiem tylko tyle, że krążą wokół niej inne duchy, które również chcą się ze mną skontaktować w związku z tą sprawą. Nie widziałem w tym większego sensu wówczas i teraz też nie widzę. Ale jestem pewien, że z upływem czasu wszystko stanie się jasne.

- Duchy mówią panu, że oddzwonią?

Podniósł się z krzesła z uśmiechem, tym razem pełnym szczerego rozbawienia. Doprawdy, dysponował niezgorszym wachlarzem uśmiechów.

- Raz zaniepokojone duchy już nie zamilkną. Nigdy nie ustaną w wysiłku, by ktoś je wreszcie wysłuchał.

Dobrze zrobiłam, że nie zaprowadziłam Swifta do Mońka. Nie chodzi już o to, że żadna z jego bredni w najmniejszym stopniu nie mogła być dla Mońka pomocna. On rzeczywiście się okazał oszustem szukającym poklasku, który wtrąca się w śledztwo i usiłuje je wykorzystać dla przysporzenia sobie jeszcze większej sławy.

Swift odszedł kilka kroków, ale zatrzymał się nagle i obejrzał przez ramię.

- Mitchowi wciąż się podoba twoje bikini - powiedział z wyrazem aprobaty w głosie. - Wiem dlaczego.

Poczułam dreszcz, jakby Mitch musnął wargami mój odsłonięty kark.

Monk wynajmuje samochód

Wzięłam ręcznik, owinęłam go sobie wokół bioder i weszłam do holu, a po głowie wciąż krążył mi Dylan Swift i jego wiadomości z zaświatów.

Szłam do windy, kiedy przy jednym ze stoisk w galerii handlowej spostrzegłam Mońka. Kram nawiązywał wyglądem do plażowej chatki, a można było w nim kupić rdzennie wyspiarską biżuterię. Monk, ku wyraźnemu niezadowoleniu hawajskiej sprzedawczyni za ladą, metodycznie przetrząsał wyłożone na wystawie naszyjniki z zębów rekina.

- Zakupy, panie Monk? - zagadnęłam, podchodząc do niego.

Monk odwrócił się w moją stronę, zobaczył, że mam na sobie bikini, i natychmiast spojrzał gdzieś ponad moją głowę.

- Nie robię zakupów.

- Więc co pan robi?

- Trochę rozrywki nigdy nie zaszkodzi. W końcu jesteśmy na wakacjach, czyż nie?

- Może pan na mnie spojrzeć, nic się nie stanie.

- Nie sądzę.

Przeniósł wzrok z powrotem na naszyjniki, które układał pieczołowicie na obrotowym stojaku. Każdy z naszyjników miał tylko jeden, wiszący u dołu, biały ząb rekina.

- Jesteśmy na plaży. Wszystkie kobiety mają na sobie stroje kąpielowe, topy czy wiązane na szyi bluzeczki. Jak trochę się pan rozejrzy, sam pan zobaczy.

- Wolę się nie rozglądać.

- To piersi, panie Monk, nie dzikie bestie.

- Ale tak się zachowują.

Westchnęłam i dałam za wygraną.

- Zatem co pan robi, skoro nic pan tu nie kupuje?

- Układam zęby według gatunku rekina i miejsca w szczęce.

- I pan twierdzi, że to jest fajna rozrywka?

Właścicielka kramu jęknęła głucho w rozpacz.

Monk pokiwał entuzjastycznie głową, nie przestając sortować naszyjników.

- Bomba. W wodach otaczających Hawaje występuje około trzydziestu trzech gatunków rekinów, niektóre z nich mają trzynaście rzędów zębów. Przeciętny rekin traci tysiąc osiemset zębów rocznie, a w ciągu całego życia pięćdziesiąt tysięcy. Na tych naszyjnikach znajdują się wszystkie rodzaje zębów rekina, dosłownie setki, ale nie są ułożone w żadnym porządku!

- To gigantyczne, niezwykle skomplikowane puzzle.

- W domu czegoś takiego nigdy nie ułożysz. Tylko na Hawajach - powiedział Monk. - Miałem szczęście, że nie było klientów, kiedy podszedłem do stoiska.

- Potem też nie było - mruknęła właścicielka.

- Naprawdę potrafi pan odróżnić jeden ząb rekina od drugiego? - zapytałam.

Monk prychnął drwiąco.

- Oczywiście. Każdy potrafi.

- Jak długo pan tu już stoi?

- Z emocji straciłem rachubę czasu.

- Trzy godziny - powiedziała właścicielka.

Kamienny wyraz na jej nieszczęśliwej twarzy kazał się domyślać, że ciężko odczuła każdą sekundę tych godzin.

- Tak dobrze nie bawiłem się od czasu tamtych dawnych wakacji letnich, kiedy łuskaliśmy z bratem torbę prażonych fistaszków. Mieszaliśmy je, a potem ścigaliśmy się, kto powkłada więcej orzeszków z powrotem w łupiny. Na koniec je zjadaliśmy. Ech, stare, dobre czasy.

Spojrzałam poza Mońka i zobaczyłam przy recepcji Lance'a Vaughana z bagażem. Najwyraźniej się wymeldowywał.

- Panie Monk, niech pan patrzy.

Monk potrząsnął głową.

- Myślałem, że już to uzgodniliśmy.

- Nie na mnie, na recepcję!

Monk zerknął w kierunku recepcji, potem się odwrócił i uśmiechnął do właścicielki kramu.

- Dzięki, świetna zabawa, naprawdę było fajnie - powiedział do niej.

- Fajnie? - zapytała zdziwiona.

Monk spojrzał na mnie, zapominając na ułamek sekundy, że mam na sobie bikini, i błyskawicznie odwrócił oczy.

- Tak. Tak się teraz mówi. Powinnaś starać się iść z duchem czasu naszej popkultury, bo zostajesz daleko w tyle. - Monk znowu zwrócił się do sprzedawczynie. - Jutro wracam.

- Jutro mamy zamknięte - odpowiedziała szybko.

- Kiedy znowu otwieracie?

- Kiedy wraca pan do domu?

- We wtorek.

- Otwieramy w środę.

- Dlaczego zamykacie sklepik na tak długo?

- Z nagłych powodów rodzinnych.

Monk westchnął smutno.

- Są na wyspie jakieś inne ciekawe miejsca związane z użębieniem rekinów? - zapytał.

- Jest całe mnóstwo miejsc, gdzie znajdzie pan zęby rekina - odpowiedziała kobieta. - Mnóstwo i wszystkie daleko od hotelu.

- Och, to znakomicie, bo dopiero się zacząłem rozgrzewać - powiedział ucieszony Monk i spojrzał gdzieś nad moją głowę tym swoim spojrzeniem, którym patrzył na mnie, nie patrząc. - Może moglibyśmy się wybrać kiedyś na mały rekonesans?

- Układać zęby rekina?

- W końcu jesteśmy na wakacjach - powiedział Monk. - Trochę zabawy nie zaszkodzi.

Po tych słowach ruszył w kierunku recepcji, gdzie Tetsuo obsługiwał Lance'a.

- Wyjeżdża pan, panie Vaughan? - przywitał go Monk.

Lance, mocno zaskoczony, odwrócił się w naszą stronę.

- Zmieniam pokoje. Nie mogę dłużej wytrzymać w bungalowu, w którym... - Głos mu się załamał i nie potrafił już dokończyć zdania; po chwili odchrząknął i spróbował jeszcze raz.

- Jestem pewien, że pan rozumie, panie Monk...

- Kiedy pytaliśmy pana o żonę, nic pan nie wspomniał, że pani Gruber słyszała jakieś głosy.

Lance nagle spłoszył.

- Skąd pan wie?

Tetsuo spuścił głowę z miną winowajcy, ale nie uszło to spojrzeniu Lance'a. Ten patrzył na niego Przez chwilę wściekle, a potem przeniósł wzrok na Mońka.

- Nie miałem powodu, żeby o tym mówić - powiedział. - Helen była silną kobietą i taką chcę ją pamiętać. Nie kogoś, kto powoli zapada w demencję.

- Od jak dawna trwało to zapadanie?

- Kłopoty z pamięcią i orientacją miała już od jakiegoś czasu, ale głosy zaczęła słyszeć dopiero tutaj. Szczerze mówiąc, trochę mnie to przeraziło. Musiałem uciec z domu, dojść do siebie, rozumie pan?

- Dlatego na rejs z nurkowaniem wybrał się pan bez niej?

- Oczywiście, to był jeden z powodów - przyznał Lance. - Ale z drugiej strony muszę utrzymywać dobrą kondycję. Nie mogłem spędzić dwóch tygodni w domu nad basenem. Należę do wysportowanych mężczyzn i potrzebuję regularnych ćwiczeń. W tym względzie Helen nie potrafiła dotrzymać mi kroku, choć bardzo chciała. Zresztą mało kto potrafi. Z jej strony było to jedyne ustępstwo wobec własnego wieku.

- Pan również, ze swojej strony, mógłby ustąpić - powiedziałam.

- I zmarnować ciało? - Lance potrząsnął głową. - Helen by się to nie podobało, mnie też nie. Zawsze chciała, żebym się utrzymywał w najwyższej formie.

Tego byłem akurat pewna, podobnie jak podstarzały mężczyzna chce, aby jego młoda żona - feum była szczupłą, jasnowłosa i miała świetną figurę. Wątpię, aby Helen Gruber chciała wyjść za faceta o trzydzieści lat młodszego, który ma drugi podbródek i brzuch obwisły od piwka. Takich mogła znaleźć wśród panów z własnego pokolenia.

Tetsuo wręczył Lance'owi magnetyczną kartę do otwierania drzwi.

- Proszę bardzo, pański pokój jest gotowy, proszę pana, z ukłonami od Grand Kiahuna Poipu.

- Dzięki - odpowiedział Lance, wziął klucz i spojrzał na Mońka. - Jeszcze coś?

Monk potrząsnął głową. Lance dźwignął walizki i przeszedł spokojnym krokiem do windy.

- Myśli pan, że to on? - zapytałam.

Monk spojrział generalnie gdzieś w moim kierunku, jednak nie na mnie i wzruszył ramionami.

- Któż by inny?

- Ma alibi - zauważyłam.

- Spryciarze zawsze mają alibi.

Ruszyliśmy w swoją stronę, kiedy Tetsuo zawołał

Mońka.

- Proszę pana, dzwonił ktoś do pana. - Tetsuo wręczył mu kartkę papieru.

Monk rzucił na nią okiem.

- Porucznik Kealoha ma nowe informacje. Prosi, żebym do niego zatelefonował albo wpadł na posterunek.

Łatwiej byłoby zatelefonować, ale miałam ochotę wydostać się z hotelu i zobaczyć trochę wyspy.

- Pojedźmy do niego - zaproponowałam. - I tak musimy wynająć samochód.

- Przy wjeździe na parking przed galerią handlową znajduje się wypożyczalnia samochodów Para - dise - polecił uprzejmie Tetsuo.

Wróciłam na piętro do pokoju, przebrałam się szybko w szorty i koszulę i kilka minut później spotkałam się z Monkiem w holu. Ruszyliśmy z jednego końca galerii w kształcie podkowy do wyjścia na drugim jej końcu, gdzie znajdowała się wypożyczalnia.

Kiedy wyszliśmy z zakrętu, z daleka zobaczyliśmy Briana, niedosłego męża Candace, który stał z bagażem przed ladą wypożyczalni przy parkingu. Rozmawiał z jej pracownikiem - młodym, białym mężczyzną o rozjaśnionych słońcem włosach, ubranym w hawajską koszulę, na której widniał duży kwiat orchidei, logo Paradise. Kiedy Brian nas zobaczył, oczy zapalały mu wściekłością.

- Są! - powiedział, wygrażając palcem. - Już oni dobrze wiedzą, kto to zrobił.

- Co zrobił? - zapytał Monk, kiedy do niego podeszliśmy.

- Kto zniszczył samochód - odparł Brian, kiwając głową w kierunku parkingu. - To na pewno któryś z gości weselnych, jestem przekonany.

Wyszliśmy na parking i w rzędzie identycznych mustangów zobaczyliśmy kabriolet, którym jeździł Brian. Jego samochód od razu się rzucał w oczy; miał strzaskaną przednią szybę i potężne rozdarcie biegnące przez środek miękkiego dachu. Monk podszedł do auta i uważnie je obejrzał.

- To akt czystej złośliwości - stwierdził Brian.

- A to, co zrobiłeś Candace, to niby czym miało być? - nie wytrzymałam.

- Widzi pan? - Brian zwrócił się do pracownika wypożyczalni. - W zasadzie sama przyznała, że maczała w tym palce. Ale ten żart spadnie na jej głowę i na głowy jej mściwych znajomych. Ja jestem dobrze ubezpieczony.

- Chce pan zgłosić jeszcze jakieś uszkodzenia? - zapytał pracownik wypożyczalni.

Identyfikator na jego koszuli zdradzał, że ma na imię Tom i pochodzi z Hermosa Beach w Kalifornii.

- Nie - odparł Brian.

Wrócił Monk.

- Na tylnym zderzaku jest zarysowanie, w drzwiach od strony kierowcy trzy małe wgniecenia, na bagażniku ptasie odchody, a na siedzeniu pasażera plama nieznanego pochodzenia w kształcie ameby - powiedział Monk. - Poza tym wasz klient zwraca samochód, mając na liczniku nieparzystą liczbę przejechanych kilometrów.

- Nieparzystą liczbę kilometrów? - zapytał Tom mocno skonsternowany.

- Trzysta siedem kilometrów. Brakowało mu odrobiny zwykłej ludzkiej przyzwoitości, żeby przejechać jeszcze kilometr. - Monk obrzucił Briana drwiącym spojrzeniem. - Jak może pan spojrzeć sobie w oczy?

Tom podał Brianowi wypełniony formularz.

- Proszę tu podpisać i nasz busik zabierze pana na lotnisko. - Tom pokazał głową firmowy samochód wypożyczalni Paradise, który stał przy krawężniku, kilka metrów dalej, z uruchomionym silnikiem.

- Nie odnotował pan zarysowań, wgnieceń i plam - powiedział Monk do pracownika wypożyczalni.

- To bez znaczenia - odpowiedział Tom.

- Na siedzeniu jest trwała plama.

- Klienci nieustannie plamią tapicerkę - powiedział Tom z Hermosa Beach. - Kurz ją zniszczy, jeśli wcześniej nie dokonają dzieła ulewy i morskie powietrze. O tym, co ludzie rozlewają w samochodach lub co znajdujemy pod siedzeniami, nie warto nawet mówić. Naprawdę, nie chciałby pan wiedzieć.

Monk potrząsnął przerażony głową.

- Nie, nie chciałbym.

- Ludzie nie szanują aut i nie dbają o nie. Tu samochody nie żyją długo. Na szczęście jest dobry blacharz w Kapaa. Wszystkie wypożyczalnie korzystają z jego usług.

Brian podpisał formularz i oddał go agentowi.

- Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z pobytu - Powiedział do niego Tom.

Brian spojrział na mnie i na Mońka z ukosa, chwycił walizki i bez słowa odmaszerował w kierunku bu - siku. Tom odwrócił się teraz w naszą stronę.

- Cóż, czym mogę państwu służyć w ten miły wieczór?

- Chcielibyśmy wypożyczyć samochód - powiedziałam.

- Proszę wybierać.

- Chcielibyśmy taki, który dopiero co zjechał ze statku - uściślił Monk. - Który prowadziła wcześniej tylko jedna osoba, najwyżej dwie, ale bardzo dbałe i schludne.

Tom spojrział ciężkim wzrokiem na zniszczonego mustanga.

- To był nasz najnowszy egzemplarz. Pozostałe mamy od kilku miesięcy. Może sprawdzi pan w wypożyczalni Global w Lihue.

Zerknęłam na busik, który jeszcze nie odjechał. Wiele wypożyczalni samochodowych miało swoje biura na lotnisku.

- Ma pan coś przeciwko temu, abyśmy przejechali państwa busikiem na lotnisko? - zapytałam.

- Uprzejmie proszę - odparł Tom.

Ruszyłam w kierunku furgonetki.

- Naprawdę chcesz jechać na lotnisko z tym godnym pożałowania fircykiem? - pytał Monk, idąc obok mnie.

- To nie mnie będzie z tym źle - odparłam. - Tylko jemu.

- Bo jak zaczniesz przewiercać go w milczeniu wzrokiem, to przypomni sobie, jak próbował oszukać twoją przyjaciółkę?

- Kto mówił, że w milczeniu? - zapytałam. - Mam zamiar przypominać mu o tym przez całą drogę, najgłośniejsz i najbarwniej, jak potrafię. Jeśli ma pan wrażliwe uszy, to lepiej niech je pan zasłoni.

Brian najchętniej prysnąłby z busiku jak strzała, gdy tylko się zatrzymaliśmy na lotnisku, jednak przeszkadzał mu nazbyt ciężki bagaż. Zanim więc zdołał nawiać, posłałam mu jeszcze parę starannie dobranych wiązanek. Monk był tak zażenowany moim językiem, że, jak mi się zdawało, również miał ochotę uciekać.

Wszystkie większe wypożyczalnie samochodów, łącznie z paroma mniejszymi firmami, mieściły się w dochodzącej do parkingu ślepej uliczce. Kierowca busiku wysadził nas przed biurem Paradise, ale i tutaj nie mieli samochodów, które „właśnie zjechały ze statku”. Przeszliśmy więc do biura Global po drugiej stronie ulicy.

Pracownicy Globalu byli młodymi Hawajczykami. Najwyraźniej otrzymali surowy nakaz, by nigdy nie przestawać się uśmiechać. Po pracy mieli zapewne zdrętwiałe policzki i

gimnastykowali je ciągłymi grymasami, aby złagodzić ból. Podobnie jak ich konkurenci w biurze Paradise, nosili hawajskie koszule z firmowym logo - przedstawiało ono kulę ziemską jako kierownicę samochodową.

- Tu nie możemy wynająć samochodu - oznajmił Monk.

- Dlaczego nie?

- Popatrz tylko - powiedział. - Tu panuje kompletny bałagan.

Spojrzałam na parking. Zobaczyłam ze sto rozma - 1,ych modeli forda, zaparkowanych w równiutkich rzędach na ponumerowanych miejscach. Monk powi - men być wzruszony.

- Nie widzę żadnego problemu.

- Chyba jeszcze nie wypoczęłaś po podróży - stwierdził zde gustowany Monk. - Samochody są zaparkowane jak popadnie!

- Jak popadnie? - zdziwiłam się. - Stoją na ponumerowanych miejscach.

- Powinny być ustawione według marki, modelu, koloru i roku produkcji - powiedział Monk, jakby chodziło tu tylko o zwykły zdrowy rozsądek. - To czysta anarchia. Jeśli ma to świadczyć o tym, jak wypożyczalnia organizuje pracę, to wyobraź sobie, jak dbają o swoje samochody.

Wskazałam ręką na drugą stronę ulicy.

- Panie Monk, niech pan spojrzy na inne wypożyczalnie. Wszystkie samochody są zaparkowane jak popadnie.

- Przynajmniej wiem, skąd się wzięło określenie „jak popadnie” - stwierdził sucho Monk. - Po hawaj - sku znaczy tyle co „chaos”.

W tej chwili podeszła do nas Kimiko, pracownica Globalu, i zaoferowała pomoc. Poprosiłam o kabriolet. Mońka zupełnie nie obchodziło, jaki samochód wypożyczymy, byleby zjechał do nas wprost z taśmy produkcyjnej. Kimiko poprowadziła nas do mustanga, którego licznik wskazywał za ledwie czterdzieści osiem przejechanych kilometrów. Dodała, że nikt go jeszcze nie wypożyczał.

Kiedy Monk dokonywał inspekcji auta, doszukując się jakichś niedoskonałości, a ja wypełniałam formularz umowy, na parking wjechała mustangiem para mocno opalonych dwudziestolatków. Ich samochód miał od strony pasażera stłuczony reflektor

1 wgniecioną maskę.

Wy tłumaczyli Kimiko, że zepchnął ich na pobocze jakiś pirat drogowy, który uciekł z miejsca wypadku, i wręczyli jej kopię policyjnego raportu. Najpierw Brian, a teraz oni. Bez

zastanowienia zaznaczyłam na formularzu wszystkie rodzaje kolizji, które miała obejmować polisa ubezpieczeniowa. Koszt wynajmu i tak pokrywał Monk ze swojej karty kredytowej.

- Co za miła para - powiedział Monk, zaglądając do wnętrza rozbitego auta.
- Dlaczego pan tak mówi? - zdziwiłam się. - Przecież w ogóle pan ich nie zna.
- Zwrócili samochód z parzystą liczbą kilometrów. Sto siedemdziesiąt cztery!
- To tylko przypadek - stwierdziłam. - Na pewno nie zrobili tego świadomie.
- Jesteś cyniczna - obruszył się Monk. - Miej choć trochę wiary w swoich rodaków.

Monk idzie na obiad

Ciasny pokój śledczych na posterunku w Lihue w niczym się nie różnił od innych urzędowych wnętrz, które dotychczas widziałam. Wszystko było utrzymane w monotonnych odcieniach szarości - ściany z żuźlowych bloczków, szafki na kartoteki, cztery metalowe biurka, nawet linoleum na podłodze z przetartymi przez wiele lat chodzenia traktami. Jedyne żywe kolory, które się rzucały w oczy, dostrzegłam na hawajskich koszulach dwóch detektywów oraz na wielokolorowych pinezkach, wpiętych w białoczną mapę Kauai, zawieszoną na tablicy ściennej za biurkiem Kealohy.

Porucznik wstał, by się z nami przywitać.

- Dzieenki, że przyjechaliście.
- Nie ma sprawy, braachu - odpowiedziałam z uśmiechem.
- To i doobsze - odpowiedział Kealoha.
- Jest coś nowego w śledztwie? - zapytał Monk.
- Tylko nowe ślepe zaułki - westchnął Kealoha. - Patolog potwierdził, że Helen Gruber została zamordowana między ósmą a jedenastą rano, co wyklucza Lance'a Vaughana z kręgu podejrzanych.

- Sprawdziliście jego alibi?

- Było tak, jak mówił. Popłynął katamaranem Snorkel Rob w rejs połączony z nurkowaniem i obserwacją wielorybów u brzegów Na Pali. - Kealoha wziął do ręki kasety wideo, która leżała na jego biurku. - Załoga Snorkel Rob filmuje każdy rejs. Potem oferuje jego uczestnikom taśmę po pięćdziesiąt baksów. Ja pożyczyłem.

Koło biurka Kealohy stał na wózku telewizor z magnetowidem. Detektyw włożył kasety do magnetowidu i włączył odtwarzanie. Taśma była ustawiona na pierwszych scenach. Lance stał na statku wśród pa - runastu innych turystów i przyglądał się wielorybom. Kealoha wcisnęła szybkie przewijanie i zatrzymał się na scenie, w której Lance strzela zalotnie oczami do młodziutkiej brunetki w obcisłej bluzce do surfowania i stringach bikini. Kobieta skakała z pokładu do wody w płetwach, z fajką i maską. Po kilku dalszych minutach filmu na ekranie

pojawił się Lance pod wodą, pływający w ławicy barwnych, tropikalnych ryb. Kealoha zatrzymał obraz.

- Ppeech i szkodda - powiedział. - Podobał mi się w tym nawet.

- Film mógł być nakręcony parę dni wcześniej - zauważył Monk. - Skąd wiemy, że zrobiono go właśnie tego ranka?

- Mam złożone pod przysięgą zeznanie gościa, który ten film nakręcił; poza tym szukam wszystkich haole ze statku, żeby potwierdzić jego wersję - mówił Kealoha. - Rozmawiałem z jedną parą, która była na katamaranie. Przylecieli z kontynentu wczoraj późnym wieczorem, więc film musiał być nakręcony dzisiaj. Takee soom faktaa, braachu.

- Czy turyści mieli możliwość wyjścia na ląd w czasie rejsu?

- Wzdłuż brzegu jest parę samotnych plaż. Zatrzymali się przy jednej na lunch. Jeśli jednak pan myśli, że Lance ukradkiem oderwał się od grupy, wsiadł do ukrytego gdzieś samochodu i popędził do Poipu, żeby załatwić żonę, to... ni maa o czeem mówić. To, co czyni Na Pali tak spektakularnym zakątkiem, to poszarpana linia brzegowa i urwiste klify, sięgające nawet tysiąca metrów nad poziomem morza, których grzbietów nie sposób pokonać samochodem.

- A helikopterem? - zapytałam. - Chyba są jakieś loty turystyczne nad Na Pali?

- Szaleństwem byłoby lądować na którejs z tamtejszych plaż, a nawet jeśli, to na pewno nie można by dokonać tego tak, że nie zauważyliby tego uczestnicy rejsu - wyjaśniał Kealoha. - Vaughan ma doskonałe alibi.

- Zbyt doskonałe - stwierdził Monk. - Nigdy nie ufam ludziom, którzy mają doskonałe alibi. Ani ludziom, którzy piją colę prosto z puszki. Ani ludziom, którzy przekuwają sobie różne dziwne miejsca na ciele.

- Ja mam przekłute uszy - powiedziałam.

- Ja też - stwierdził Kealoha. -1 jeszcze sutki.

Monk wzdrygnął się i udał, że nie słyszał, co powiedzieliśmy.

- Mógł kogoś wynająć do zamordowania żony.

- Kontaktowałem się już z policją w Cleveland - powiedział Kealoha. - Sprawdzają Lance'a i jego konta bankowe. Nie zdziwiłbym się, gdyby gliniarze z Cleveland próbowali wywalczyć tu sobie delegację, żeby osobiście nam przekazać te informacje.

- Widzę, że w oczekiwaniu na wiadomości nie pozostaje nic innego, jak korzystać z uroków wyspy - stwierdziłam z głęboką nadzieją, że chłopcy z Cleveland nie będą się śpieszyć. - Idziemy, panie Monk?

Monk przeszedł wolnym krokiem pod mapę.

- Co to jest?

- Niech pan nie zawraca sobie tym głowy - odpowiedział Kealoha, machając z rezygnacją ręką. - To sprawy, których nigdy nie wyjaśnimy.

Wolałabym, żeby Kealoha nie wypowiadał tych słów. Tym jednym zdaniem, tym jednym beztróskim gestem dał Monkowi powód do znalezienia sobie nowej obsesji.

- Dlaczego nie? - zapytał Monk.

- To zaznaczone miejsca włamań do prywatnych domów w Poipu. Większość okradanych miejsc to mieszkania i domy letniskowe, rzadko zamieszkiwane przez właścicieli. Bywa, że miesiącami stoją puste, a bywa, że są wynajmowane co tydzień.

- Zanim właściciel się zorientuje, że coś zginęło, mogą upłynąć dni, tygodnie, a nawet miesiące od chwili popełnienia przestępstwa.

- Ano właśnie - westchnął Kealoha.

- Nie ma świadków? Nikt nigdy nie zauważył niczego niezwykłego?

- To kolejny problem. Wiele z sąsiadujących domów czy mieszkań stoi pustych albo wynajmują je ciągle inni turyści. Skąd można wiedzieć, czy ktoś jest obcy, skoro samemu jest się obcym? Prosiłiśmy ogrodników, listonoszy, osoby z pływalni, stałych bywalców, żeby mieli oczy i uszy otwarte, ale z nimi nie jest wcale lepiej niż z turystami, też nie widzą da kine.

- Musi być chociaż kilka spraw, w których mniej więcej wiecie, kiedy doszło do włamania. Nie włączały się alarmy? Nikt nie zgłaszał wybitych szyb, wyważonych drzwi?

- Garstka.

- Kiedy i gdzie?

Kealoha otworzył leżący na biurku segregator i podał go Monkowi, który zaczął wertować kartki.

Raptem przyszło mi do głowy, że to trochę dziwne, by wszystkie użyteczne informacje Kealoha miał pod ręką. Zaczynałam podejrzewać, że zostało to sprytnie wymyślone, że Kealoha chciał, aby Monk zaczął go wypytywać o te włamania.

- Do włamań dochodziło w środku dnia i wyłącznie w dni robocze - wnioskował Monk. - Dlaczego włamywacz podejmowałby takie ryzyko?

- Nie wiem - odpowiedział Kealoha.

- Dziwne... - mruknął Monk, odnosząc się do czegoś, co właśnie czytał. - Według tych raportów niektóre z włamań wydarzyły się nawet w zamkniętych osiedlach i chronionych budynkach. Jakim sposobem włamywacz mógł wejść i wyjść niezauważony?

- To prawdziwa zagadka. - Kealoha wzruszył ramionami i mrugnął do mnie ukradkiem, jak spiskowiec do spiskowca.

Ale ja wcale nie uczestniczyłam w spisku. Raczej padłam jego ofiarą. Kealoha praktycznie przyznał się przede mną, że zrzuca na Mońka swoje trudne sprawy, a co za tym idzie, pozbawia mnie jakiejkolwiek szansy na chwilę radosnych uciech na Kauai.

Monk wskazał palcem jakąś rubrykę.

- W domu przy Hoonani Road alarm się włączył o czternastej piętnaście, trzy tygodnie temu. Może mi pan pokazać to miejsce na mapie?

- To tutaj.

Kealoha dotknął pinezki wpiętej w drogę, która biegła wzdłuż południowego wybrzeża wyspy, niedaleko naszego hotelu.

- A ten o piątej po południu cztery dni temu przy Lawai Road?

Kealoha wskazał pinezkę trochę bardziej na wschód, gdzie Lawai Road kończyła się ślepo przy Spouting Horn (wiedziałam z przewodników turystycznych, że jest to wielki wodotrysk, powstający z bicia fal w wąską szparę między odsłoniętymi skałami wulkanicznymi). Zaczęłam się zastanawiać, czy w czasie swojego pobytu na Hawajach będę w ogóle miała możliwość ujrzania tego i innych cudów natury.

- A to włamanie w samo południe przed tygodniem?

- To tutaj, na Milo Hae Loop. - Kealoha wskazał na mapie kilka domów przy polu golfowym Grand Kiahuna Poipu.

I tak dalej, i tak dalej. Monk wyczytywał z segregatora adres, a Kealoha wskazywał odpowiadającą mu pinezkę na mapie.

W końcu Monk zamknął segregator i spojrzał jeszcze raz na mapę. Po dłuższej chwili odwrócił się do Kealohy.

- Ma pan czas na partyjkę golfa jutro o jedenastej w Grand Kiahuna Poipu?

- Dziękuję za zaproszenie, ale że tak powiem, jestem trochę zajęty, mam na głowie to śledztwo w sprawie morderstwa - powiedział Kealoha. - Zresztą nawet gdybym nie był zajęty, to nie sposób zarezerwować gry na polach Grand Kiahuna Poipu z jednodniowym wyprzedzeniem. Cieszą się wielką popularnością.

- Nawet jeśli się wybierzemy tam służbowo?

- A wybierzemy się służbowo?

- Tylko jeśli chce pan ująć włamywacza - zakończył Monk.

Postanowiłam, że nie będę się odzywać do Mońka, dopóki nie skończymy obiadu w Royal Hawaiian i dopóki Monk nie poda kelnerowi swojej karty kredytowej, by zapłacić rachunek.

Restauracja Royal Hawaiian mieściła się w starym, oryginalnym domu dawnej plantacji Kiahuna Poipu. Otaczał ją bujny tropikalny ogród i meandry oświetlonej pochodniami alejki, która schodziła na samą plażę.

Choć nie widzieliśmy oceanu, słyszeliśmy uderzenia fal o brzeg i czuliśmy zapach morskiej bryzy, która zawiewała przez ogród, zbierając po drodze kwietne wonie. Ściany sali restauracyjnej zdobiły panele z drzewa koa, co przydawało wnętrzu wybitnie hawajskiego szyku i tłumaczyło wysokie ceny przystawek.

Na początek zamówiłam ciepłą sałatkę z orzechów makadamii i koziego sera, w marakujowym winegre - cie, a potem strojnika z suszoną trawą cytrynową, makaronem udon i tajskim sosem maślanym przyprawionym limonką i bazylią.

Monk zamówił mieszankę gatunków zielonej sałaty (które natychmiast posortował na oddzielnym talerzu), a na główne danie łososia z grilla z białym ryżem. Do picia wziął Seven Up z plasterkiem cytrynki, żeby, jak powiedział, „trochę poszaleć”.

Kiedy jedliśmy, myślałam o tym, jaki frustrujący i obfitujący w wydarzenia był ten dzień - najpierw katastrofalne wesele i odkrycie ciała zamordowanej kobiety, potem medium, które twierdzi, że komunikuje się nie tylko z tą zamordowaną kobietą, ale również z moim mężem, a na domiar wszystkiego Monk, który postanawia wykryć sprawców wszystkich niewyjaśnionych dotychczas włamań na wyspie.

A był to dopiero drugi dzień.

- Wie pan, że porucznik Kealoha pana wykorzystuje? - powiedziałam wreszcie, kiedy kelner wrócił do naszego stołu i podał Monkowi na srebrnej tacy jego kartę Visa, paragon, rachunek karty kredytowej oraz długopis.

- Och, wcale nie wykorzystuje. - Monk wyjął z kieszeni własny długopis i z uwagą zaczął składać na rachunku podpis.

- Uciekł się do podstępu, żeby wciągnąć pana w ściganie sprawców tych włamań.

- To mi nie przeszkadza - powiedział Monk.

- Ale mi przeszkadza - zaoponowałam. - Nie dość, że wziął pan sobie na głowę morderstwo, to jeszcze przejmuję pan od niego całe archiwum rabunków.

- Nazywasz to archiwum? - zapytał Monk. - Całoroczne archiwum jego spraw potrafiłbym zamknąć w ciągu tygodnia.

- Właśnie na to liczy.

Monk rzucił z odrazą długopis, wziął do ręki nóż i używając prostej, tępej strony jego ostrza, złożył rachunek idealnie przez pół i przedarł go na dwa kawałki. Potem powtórzył te czynności dwukrotnie, z każdą z połówek, by w końcu przywołać do siebie kelnera.

- Czym mogę służyć? - zapytał kelner.

- Proszę, aby pan anulował transakcję i jeszcze raz wydrukował rachunek - powiedział Monk, układając na tacce stosik czterech kawałków podartego rachunku.

- Czy pomyliłem się w sumowaniu kwoty?

- Nie, pańskie obliczenia są w porządku. To ja spaprałem sprawę. Mój podpis wygląda tragicznie.

Kelner, nieco zbity z tropu, wziął tackę i odszedł.

Zazwyczaj staram się nie jadać z Monkiem w restauracji, jeśli nie płaci gotówką. Jak płaci kartą kredytową, musi być absolutnie pewny, że złożył idealny podpis. Kiedyś dopiero za szóstym razem udało mu się odpowiednio podpisać rachunek, a zajęło mu to całe dwadzieścia minut.

- Mam pomysł, panie Monk - powiedziałam. - Na okres naszego pobytu niech pan weźmie pełny etat w policji Kauai. W ten sposób Kealoha będzie z panem przez cały okrągły dzień, a ja się nacieszę wakacjami. We wtorek zobaczymy się na lotnisku i opowie mi pan o wszystkich zakończonych śledztwach.

- Nie bardzo rozumiem, w czym problem. Przecież jutro rano idziemy grać w golfa, prawda? To chyba nie jest praca. To rozrywka.

- Idziemy tam po to, żeby z pola golfowego mógł pan obserwować domy.

- To tylko jeden z powodów - odparł Monk. - Głównie idę po to, żeby trafić sobie kilka razy do dołka. W przeciwnym razie w ogóle nie wpuściliby nas na pole golfowe.

- Pan się upiera, że to pan podszedł Kealohę, a nie on pana?!

- Powiedzmy, że jeśli chcę, potrafię być kuty na cztery nogi - stwierdził Monk. - To działa jak siła nadprzyrodzona. Boję się, że mnie pochłonie, jeśli będę jej nadużywał.

Kelner wrócił z nowym paragonem, kartą kredytową i rachunkiem do podpisu. Monk wyprostował się, przeciągnął i przystąpił do drugiej próby. Pochylił twarz nad stołem tak nisko, że niemal dotykał rachunku nosem.

- Grał pan w ogóle kiedyś w golfa? - zapytałam.

- Oczywiście - odpowiedział Monk. - W golfa jestem naprawdę niezły. Trafiam do dołka optymalnie najmniejszą liczbą uderzeń.

Miałam co do tego wątpliwości. Aby osiągnąć taki poziom, potrzeba wielkiego talentu, długich lat praktyki i regularnych gier.

- Jak to możliwe, że jakoś nigdy nie widziałam u pana w domu ani jednego kompletu kijów golfowych?

- Och, w zupełności wystarcza mi jeden kij - odpowiedział Monk. - Moją najmocniejszą stroną jest wiatrak.

- Wiatrak?

- Trzeba perfekcyjnie trafić. W przeciwnym razie piłeczka nie wpadnie do dziurki w środku wiatraka, bo odbiją ją skrzydła. Wielu amatorów kładzie się właśnie w tym miejscu, a przecież liczba prób sumuje się w ostatecznym wyniku. Czasem aż żal na nich patrzeć.

- Pan mówi o minigolfie. To nie to samo co golf.

- Wiem - odparł spokojnie Monk, koncentrując się na podpisie. - Minigolf wymaga prawdziwej precyzji. Różnica między minigolfem a golfem jest taka jak między operacją neurochirurgiczną na otwartym mózgu a odrąbaniem nogi siekierą.

- Pan uważa, że minigolf wymaga od gracza większych umiejętności?

- Moja droga, widziałas kiedyś na profesjonalnych polach golfowych wiatrak albo zamek? - zapytał Monk. - Nie sądzę.

Monk wyprostował się wreszcie i unosząc wysoko brwi, spojrzał na rachunek pod różnym kątem, a po chwili znowu go przedarł na cztery części, w ten sam, pieczołowicie opracowany sposób. Kelner, który stał nieopodal i przyglądał się nam z daleka, natychmiast Podeszedł do stołu.

- Czy znowu coś nie w porządku, proszę pana? - zapytał.

- Potrzebny mi nowy rachunek. Mam wrażenie, że linia na podpis była trochę wykrzywiona. Powinien pan zwrócić na to uwagę, zanim przyniesie mi do podpisu kolejny rachunek - mówił Monk. - Niech pan weźmie z kuchni ekierkę i sprawdzi.

- Skąd mielibyśmy mieć w kuchni ekierkę, proszę pana?

- Jak można prowadzić restaurację bez ekierki?

- Oczywiście. Ma pan rację. - Kelner wziął tackę i odszedł.

Monk posłał za nim spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Musi być tu nowy.

Ponieważ zanosilo się na to, że podpisywanie rachunku zajmie Monkowi więcej czasu, przeprosiłam go i wyszłam do toalety, a po drodze mogłam się przejść po restauracji i obejrzeć obrazy z hawajskimi kwiatami i tancerkami luau.

Wracając do stolika, przechodziłam obok stanowiska hostessy, przy którym szczupła kobieta w letniej sukience z głębokim dekoltem czekała, aż hostessa zapakuje jej do torebek zamówiony na wynos obiad.

Kobieta miała ciemną, śródziemnomorską karnację, orzechowobrazowe oczy, piękne, wysportowane ciało i czarne włosy związane w długi, koński ogon, który opadał jej między łopatki. Widziałam już ją wcześniej. To była ta dziewczyna z katamaranu, na której pośladki Lance spoglądał z takim zachwytem. Na filmie wideo była ubrana w strój do surfowania, więc dopiero teraz dostrzegłam coś, czego nie widziałam u niej wcześniej. Na lewej piersi miała tatuaż.

Serce ze skrzydełkami.

Uciekająca miłość. Wróciły nagle słowa Dylana Swifta, a dreszcz, jaki mnie przeszył, wywołał gęsią skórę. Ten obraz był jedną z wiadomości, którymi rzekomo podzielił się ze Swiftem duch Helen Gruber.

Oczywiście mógł to być czysty przypadek, że jakaś kobieta na statku stojąca obok męża zamordowanej kobiety miała akurat tatuaż, który można by zinterpretować jako „uciekającą miłość”.

To mogło nic nie znaczyć.

Mogło też znaczyć wszystko. Musiałam się dowiedzieć, która z tych opcji wchodziła w grę.

Pośpiesznie wróciłam do stolika, gdzie Monk wciąż ślęczał nad podpisem.

- Podpisuje się pan swoim nazwiskiem od trzydziestu lat. Powinien pan już opanować tę sztukę.

- Tu nie mam odpowiednich warunków. Rachunek to drobna kartka papieru, a miejsce na podpis przygotowano z myślą o minuskule. Łatwo się można pogubić, próbując uchwycić równe proporcje między szerokością liter a odstępami między nimi i chcąc wszystko pomieścić. Gdybym się śpieszył, mógłbym wyjechać z nazwiskiem na skraj kartki. Widziałem już raz coś takiego.

Odwrociłam się i spojrzałam na kobietę przy wyjściu. Właśnie podawała kartę kredytową hostessie, która wprowadzała do kasy kwotę do zapłaty.

- Nie otrzyma pan nagrody za równą kaligrafię, panie Monk. To tylko podpis.

- To coś znacznie więcej - nie zgodził się Monk. - To potwierdzenie tożsamości człowieka. To emanacja tego, kim naprawdę jest.

Kobieta przy wyjściu podpisała rachunek. Zajęło Jej to sekundę. Nikt nie potrafiłby spędzić tyle czasu co Monk nad podpisaniem się własnym imieniem i nazwiskiem. Zaczęłam podejrzewać, że poza uzyskaniem idealnych proporcji i równowagi w literach Monkiem kie - rował też zupełnie inny motyw.

- Wiem, w czym rzecz, panie Monk - powiedziałam wreszcie, sięgając do torebki po gotówkę. - Nie sądzę, by miało to cokolwiek wspólnego ze sprawą złożenia właściwego podpisu. Myślę, że jest pan po prostu liczykrupą.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - powiedział Monk.

Wyrwałam mu rachunek, podarłam go na strzępy i rzuciłam na stół gotówkę, tyle, by wystarczyło i na obiad, i na napiwek.

- Pan chorobliwie nienawidzi płacić - powiedziałam, wstając od stołu. - Tak długo wyprawia pan cuda ze swoim podpisem, że nie wytrzymuję nerwowo i sama płacę rachunek. Miał pan słuszność: jeśli pan chce, potrafi pan być kuty na cztery nogi.

- Swego sprytu używam wyłącznie dla dobra ludzkości - oświadczył Monk, zabierając kartę i podnosząc się z krzesła. - Nigdy dla korzyści osobistych.

Nie miałam ochoty się spierać, ale obiecałam sobie, że kiedy następnym razem pójdziemy do restauracji, to nie wyłożę gotówki, choćby siedział nad swoim podpisem przez całą noc.

Kobieta przy wyjściu zabrała torebkę z jedzeniem i wyszła przed nami z restauracji. Szliśmy parę metrów za nią, ścieżką prowadzącą przez tropikalny ogród i niemal równocześnie wyszliśmy na parking. Na szczęście jej jeep stał zaparkowany ledwie parę miejsc od naszego mustanga.

Niebo po zmierzchu było tu czarniejsze niż w San Francisco, za to gwiazdy zdawały się świecić dużo jaśniej. Powietrze było przyjemnie ciepłe, jak wygrzane łóżko o poranku, a wonie tak słodkie jak zapach świeżo wypranej pościeli. Musiałam być potwornie zmęczona, skoro moje myśli bezwiednie krążyły wokół łóżka.

- Cudowna noc na przejażdżkę - powiedziałam jednak, otwierając dach.

Nie miałam pojęcia, jak daleko zawiedzie nas ta kobieta, więc musiałam mieć jakąś wymówkę, jeśli będziemy musieli znacznie się oddalić od hotelu.

- Bardzo dobry pomysł - powiedział Monk uprzejmie.

Kobieta ruszyła ze swojego miejsca, wyjechała na Poipu Road, a ja, wykorzystując wiedzę, jaką nabyłam, oglądając powtórki serialu kryminalnego Rock - ford Files, pozwoliłam, by wyprzedziły nas dla niepoznaki dwa, trzy samochody. Było zupełnie ciemno; drogę oświetlały jedynie reflektory przejeżdżających samochodów i blask księżycy.

Kobieta skręciła w lewo, w ulicę Kapili. Droga wiodła nad ocean, w którego falach odbijały się promienie księżycowego rogała. Nie było tam plaży, tylko czarne, postrzępione skały wulkaniczne, o które rozpryskiwały się przybrzeżne fale. W powietrzu unosiła się mgiełka, którą czuliśmy na skórze, jadąc przylegającą do wybrzeża Hoonani Road. Po drugiej

stronie drogi ciągnęły się kompleksy mieszkaniowe i prywatne domy, ustawione frontem do oceanu.

- Pięknie tu, prawda? Nawet jeśli w smudze księżycy widać tylko ciemne sylwetki palm.

- I jeepa przed nami, którym jedzie kobieta z ka - tamaranu.

- Hm? - zapytałam.

To najlepsze, co mogłam mu w tej sytuacji powiedzieć.

- Jedziemy za turystką, która uczestniczyła dziś w rejsie organizowanym przez Snorkel Rob.

- Naprawdę? - Robiłam wszystko, żeby brzmiało to tak, jakbym była zaskoczona, a nie jakbym miała Poczucie winy.

Teraz już wiedziałam, jak się czują złoczyńcy, kiedy Monk wykrywa popełnione przez nich zbrodnie.

- Kiedy wychodziliśmy z restauracji, stała przy hostessie.

- Naprawdę? Pańska zdolność obserwacji jest po prostu niewiarygodna. Nigdy bym jej nie poznała.

- Zatem to przypadek, że za nią jedziemy.

- Oczywiście - powiedziałam. - To tylko przejażdżka brzegiem oceanu.

- To dlaczego zwolniłaś i pozwoliłaś się wyprzedzić dwóm samochodom?

- Ponieważ jestem bardzo kulturalnym kierowcą.

- Też oglądam Rockford Files. Oboje oglądamy ten serial.

Kobieta zahamowała przy kompleksie mieszkalnym i zaparkowała przed jednym z domków od strony morza. Kompleks nazywał się „Ustronie wieloryb - nika”. Nazwa była wryta nierównym pismem na rdzewiejącym metalowym szyldzie przymocowanym do skalnego murku okalającego kompleks. Raptem wrócił do mnie kolejny obraz Dylana Swifta.

Widzę kapitana Ahaba ukrytego w cieniu.

Ukryty wielorybnik? Może trochę to naciągane, ale kobieta weszła właśnie do „Ustronia wielorybnika”. Ten obraz Swifta pasował do rzeczywistości równie dobrze jak „uciekająca miłość” do tatuazu. Poczułam ciarki na plecach, a w głowie zagrały mi pierwsze słowa piosenki grupy Twilight Zone.

Objechałam budynek od frontu, skąd było widać Pacyfik, i zaparkowałam na ulicy tak, żebyśmy mogli obserwować zarówno domek, do którego weszła kobieta, jak i inne budynki kompleksu. Zasłony we wszystkich oknach były odsunięte, by lokatorzy mogli podziwiać

widoki. My za to mogliśmy zajrzeć do każdego wnętrza, nie wyłączając domku naszej kobiety.

Widzieliśmy zatem, jak Lance Vaughan wita ją w drzwiach i całuje w usta. Ona zalotnie ścisnęła mu dłonią pośladek i zaniósła jedzenie na stolik na lanai.

Monk odwrócił się do mnie.

- Skąd wiedziałaś?

- Uwierzy pan, że wydedukowałam?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ jeśli byłoby coś do wydedukowania, ja bym to wydedukował. To ja zajmuję się dedukowa - niem.

Westchnęłam z rezygnacją. Naprawdę nie chciałam mu o tym mówić, ale nie miałam wyjścia.

- Ktoś mi pomógł.

- Kto?

- Helen Gruber.

Monk spojrzał na mnie z ukosa.

- Ona nie żyje.

- Wiem, ale przesłała panu dziś po południu wiadomość.

- Jak mogła to zrobić, skoro nie żyje?

- Rozmawiała z Dylanem Swiftem. Z zaświatów.

Monk pokazuje, jak to się robi

W drodze powrotnej opowiedziałam Monkowi o spotkaniu z Dylanem Swiftem przy barze. Powtórzyłam wszystko, co Swift mówił na temat morderstwa, powiedziałam też o obrazach i doznaniach, którymi Helen Gruber podzieliła się z nim z zaświatów - woni lilii, drwału z porcelanową laleczką, smaku ciasta li - likoi, kapitanie Ahabie ukrytym w cieniu, drucie kolczastym wrzynającym się w ciało, uciekającej miłości i sośnie.

Usiadłam na skraju łóżka, a Monk usiadł na jednym z dwóch wygodnych, foteli ratanowych. Myślałam, że wybuchnie gniewem, czy coś w tym rodzaju, ale nie. Monk siedział spokojnie i patrzył na mnie.

- Jeszcze nie sprawdzałem, ale założę się, że masz w lodówce dwa batony Toblerone.

- Panie Monk, czy słyszał pan, co przed chwilą mówiłam?

Przytaknął.

- I?

- Zastanawia mnie, ile masz batonów Toblerone w lodówce. - Monk wstał i podszedł do minibaru.

- Wiem, że powinnam była przyprowadzić Swifta prosto do pana, ale odnosiłam się dość sceptycznie do całej tej sprawy rozmawiania ze zmarłymi.

- Bo to niemożliwe. On jest oszustem. Nikt nie potrafi rozmawiać ze zmarłymi - powiedział Monk, ciągnąc za drzwiczki minibaru. - Dobrze zrobiłaś, że trzymałaś go z dala ode mnie.

- Naprawdę?

- Rozproszyłby mnie i przeszkadzałby w śledztwie, które wymaga z mojej strony pełnej koncentracji - mówił Monk. - Gdzie jest klucz do minibaru?

- Oddałam go do recepcji - odpowiedziałam. - Nie chciałam, żeby kusiła mnie zawartość lodówki.

- Potrzebna mi chusteczka i spinka do włosów - oświadczył Monk.

Otworzyłam torebkę, poszukałam chusteczki Wet Ones oraz spinki do włosów i wręczyłam je Monkowi. Monk starannie wytarł szpilkę ze wszystkich moich śmiertelnych zarasków.

- Mówi pan, że Swift to oszust, ale dwa ze wspomnianych przez niego obrazów łączą Lance'a Vaugha - na z kobietą z katamaranu - powiedziałam. - Gdyby nie Swift, nie wiedzielibyśmy, że tych dwoje coś łączy.

- Więc teraz mu już wierzysz? - zapytał Monk, manipulując spinką w zamku minibaru.

- Uważasz, że Swift rozmawia z duchami?

- Sama nie wiem. Ale skoro te dwa obrazy skierowały nas na właściwy trop, to może naprowadzą nas na coś również pozostałe rzeczy, o których mówił?

- Ty chcesz mu wierzyć - powiedział Monk.

- Nie, nie chcę.

- Ależ tak. Dlatego wolisz wierzyć, że Swift rozmawia ze zmarłymi, niż wziąć pod uwagę najbardziej oczywiste wytłumaczenie celności jego uwag.

- Czyli?

- Swift musiał wcześniej widzieć Lance'a z tą kobietą. Kiedy się dowiedział o morderstwie Helen Gruber, wpadł na pomysł, aby to wykorzystać i stworzyć wrażenie, że potrafi się komunikować z zabitą, a w ten sposób wzmocnić swoją reputację sławnego medium.

W zamku minibaru rozległo się ciche kliknięcie. Monk się uśmiechnął zadowolony z siebie i otworzył lodówkę.

- Popatrz tylko, masz dwa opakowania Toblero - ne, a wszystkiego innego po jednym.

- Może batony Toblerone są popularniejsze niż wszystko inne.

- Ależ ty jesteś naiwna - powiedział Monk, zamykając lodówkę. - Mimo to, aby przekonać cię do tak koszmarnych bredni jak rozmawianie ze zmarłymi, Swift musiał najpierw zaskarbić sobie twoją sympatię.

- Nic sobie u mnie nie zaskarbił - zastrzegłam.

- Jednak jakoś cię rozmięczył. Musiał sprawić, abyś zechciała mu wierzyć - wyjaśniał Monk - Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób na to, jak mógł to osiągnąć. Zapewne przekazał ci wiadomość od Mitcha.

- Och, ze mną nie jest tak łatwo. - Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu; emocje zaczęły mnie zdradzać. - Pan jest jedyną osobą, której opowiedziałam, co się przydarzyło Mitchowi.

- Ale nie wiesz, co naprawdę przydarzyło się Mitchowi - zauważył Monk. - Znasz tylko raport marynarki wojennej.

- Powiedzieli, że został zestrzelony nad Kosowem, że przeżył katastrofę, ale na ziemi stracił głowę, zginął i naraził życie pozostałych członków załogi.

- To nie znaczy, że taka była prawda - stwierdził Monk, siadając przy mnie na skraju łóżka. - Jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, co naprawdę tam zaszło, są dwaj członkowie załogi, którzy przeżyli. Mogą jednak kłamać, pomawiając Mitcha, aby ukryć własne tchórzostwo.

- Sęk w tym, panie Monk, że Swift o tym wiedział, a przecież żadna z tych informacji nigdy nie została upubliczniona.

Monk potrząsnął głową.

- Wiedział tylko tyle, ile mu powiedziałaś.

Łzy płynęły mi już po policzkach, ale nie zwracałam na nie uwagi. Byłam zbyt zdenerwowana i czułam się dotknięta.

- Pan myśli, że wystarczy jeden drink na basenie, żebym pierwszemu lepszemu przystojniakowi wyjawiała najgłębsze i najbardziej bolesne sekrety?

- Nawet nie wiedziałaś, że to robisz.

- Nie byłam pijana. Wiedziałam, co mówię.

- W dużej mierze Dylan Swift pracuje podobnie jak ja - powiedział Monk. - Obserwuje osobę, dedu - kuje i wyciąga wnioski. Potem wykorzystuje uzyskane informacje, aby nakłonić ją do powiedzenia reszty, której jeszcze nie zna.

- Nic mu nie powiedziałam - oświadczyłam upartym głosem, pociągając nosem.

- To się nazywa techniką „zimnego odczytu”. Wczoraj widziałem, jak stosował ją podczas nagrywania programu. To tylko fortel polegający na tym, że sprytnie wyciąga z danej osoby informacje, a jednocześnie stara się wywołać wrażenie, że właśnie się komunikuje ze światem zmarłych. O wiele łatwiej przeprowadzić taki zabieg w tłumie ludzi niż w rozmowie z jedną osobą. To, co zrobił z tobą, wymaga najwyższej sztuki.

- Nie rozumiem - powiedziałam, zaczynając trochę się uspokajać.

- Na początek spójrzmy, jak wczoraj wieczorem radził sobie z tłumem. Wszedł między publiczność, wyczuwając, jak twierdził, literę G. Natychmiast zerwał się jakiś mężczyzna, mówiąc, że ma na imię Gary, i pytając, czy może właśnie dla niego Swift ma wiadomość. W tej jednej chwili przekazał Swiftowi najbardziej istotną informację; że chętnie da się wystrychnąć na dudka i zrobi wszystko, aby Swiftowi w tym pomóc. To oczywiste, że właśnie Gary’ego Dylan Swift wybrał sobie do zimnego odczytu.

Monk wyjaśniał dalej, że kiedy ktoś zareaguje na zagajenie Swifta, ten błyskawicznie ocenia jego wiek, przypatruje się fryzurze, biżuterii, ubraniu, a nawet znajdującym się w pobliżu przyjaciółom czy rodzinie i dokonuje prędkiej, bardzo prostej dedukcji. Potem, na podstawie doświadczenia, zaczyna rzucać domniemania, które w istocie rzeczy są pytaniami, choć zręcznie ubiera je w formę zdań oznajmujących.

Monk mówił jeszcze, że większość ludzi, zamiast po prostu zgodzić się z tymi domniemaniami lub nie, gotowa jest wspomóc Swifta w dalszym odgadywaniu. Z ochotą i dobrowolnie podsuwają mu dodatkowe informacje i nieświadomie wyposażają go w materiał, na którego podstawie wyciąga kolejne logiczne wnioski, a jeśli wiele się nie myli, to ludzie sądzą, że to zmarli szepczą mu wszystko do ucha. Kiedy się natomiast myli, wmawia, że są jakieś zakłócenia na linii, i w dziewięciu przypadkach na dziesięć ludzie natychmiast podsuną kolejne sugestie, które pomogą mu rozjaśnić przekaz informacji.

- Swift powiedział Gary’emu, że bliska mu kobieta chce się z nim skontaktować. Ale to Gary zasugerował, że może chodzić o jego siostrę. Potem Swift stwierdził, że „wyczuwa” jej imię, które zaczyna się na literę „M” albo „E”. Aby jednak zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu, wysubtelnił swoje domniemanie, mówiąc, że litery te mogą się znajdować również gdzieś w środku imienia. Gary wyskoczył wówczas ze stwierdzeniem, że Swift ma zapewne na myśli jego siostrę Margaret.

Teraz to sobie przypomniałam. Zrozumiałam już, jak Swift sprawił, by wyciągnąć od Gary’ego informacje potrzebne do wywołania wrażenia, że się komunikuje z duchem. Ale jak mu się udało zrobić to ze mną?

- Ale ze mną tak nie było, panie Monk. Pierwszą rzeczą, jaką mi powiedział, było to, że mąż bardzo za mną tęskni. On wiedział...

- Nie wątpię, że wiedział - stwierdził Monk. - Ale zastanów się, co sama mu przekazałaś. Klasyczny manewr, jaki stosuje medium, to stwierdzenie, że bliska ci, nieżyjąca osoba musi się uporać z jakimiś nie zakończonymi za życia sprawami, że została oszukana albo że postąpiono wobec niej nie w porządku. Powiedział coś takiego?

Przytaknęłam, pociągając nosem.

- I co mu odpowiedziałaś?

Pamiętałam dokładnie każde słowo.

„Mitch zginął dwa dni przed dwudziestymi siódmymi urodzinami. To było nie w porządku”. „Rozdzielił was przypadek”, powiedział Swift. „Został zestrzelony w boju przez ogień nieprzyjaciela. Trudno to nazwać przypadkiem”.

Równie dobrze mogłam napisać biografię Mitcha i wręczyć ją Swiftowi.

- Boże, jaka jestem głupia. - Znowu zaczęłam płakać.

- Nie, wcale nie jesteś głupia - powiedział Monk. - Po prostu tęsknisz za mężem.

Tęskniłam. I zawsze będę tęsknić. Wiedziałam to.

Nie wiedziałam tylko, jak płytko tkwią we mnie te uczucia i jak łatwo za ich pomocą można mną manipulować. Wstyd mi było za siebie.

- Chusteczka - rzucił Monk.

Pociągnęłam nosem, sięgnęłam do torebki i podałam mu chusteczkę do nosa.

- To dla ciebie - powiedział Monk.

Wysmarkałam nos i (z szacunku do Mońka i dobroci, jaką mi okazał) wyjęłam z torebki zamykany woreczek foliowy, włożyłam do niego chusteczkę, zamknęłam go i wrzuciłam do kubelka na śmieci.

To jasne, że Dylan Swift jest oszustem. Jednak powiedział jeszcze coś, co wciąż wywoływało we mnie dreszcz.

- Wszystko, co pan mówi, układa się w całość, panie Monk. Z wyjątkiem jednej rzeczy. Pamięta pan bikini, które miałam na sobie?

Monk splonął się lekko ze wstydu i spuścił szybko wzrok na nogi, jakbym wciąż ubrana była wyłącznie w skąpe bikini.

- Bardzo niewyraźnie... - odpowiedział.

- Mam ten strój od wielu lat. Mitch kupił mi go w Puerto Vallarta, gdzie wybraliśmy się na romantyczny weekend, wie pan, plaża, słońce, tequilla... Rodzice byli raczej przerażeni.

- Doprawdy, nie muszę o tym wiedzieć - wtrącił Monk.

- Podczas kąpieli w morzu zgubiłam biustonosz. Mitch musiał wyjść na brzeg i kupić jakieś ratunkowe bikini u sprzedawcy przy plaży. Ja w tym czasie czekałam w wodzie. Mitch wybrał właśnie ten strój. Potem zawsze, kiedy mnie w nim widział, przypominał sobie, jak zgubiłam biustonosz. Uwielbiał mnie w tym bikini.

- Naprawdę nie chcę nic o tym wiedzieć - zaklinał się Monk.

- Swift powiedział, że Mitchowi wciąż się podoba moje bikini. Niemożliwe, by wiedział, że Mitch mnie w nim widział. Równie dobrze Swift mógł sądzić, że kupiłam go choćby przed tygodniem.

- Wciąż chcesz mu wierzyć.

- Chcę tylko zrozumieć, jak zostałam omotana.

- Tacy hochsztaplerzy to szczerwane lisy. Znają się na modzie, piosenkach, fryzurach, na wszystkim, co było lub jest na topie. Musiał wiedzieć, że twój kostium kąpielowy ma dawny styl, krój czy wzorek, i postanowił spróbować szczęścia.

- A gdyby się pomylił?

- Powiedziałby coś w stylu: „Mitchowi chodzi o to, że wciąż uważa, iż jesteś piękna, i zawsze będzie cię kochał”.

Poczułam, że łzy znowu napływają mi do oczu, ale to już mnie tylko rozwścieczyło. Naprawdę jestem taka słaba? Taka wrażliwa?

- Niech pan już sobie idzie, panie Monk, bo inaczej się rozplaczę i będę płakała przez całą noc.

- Nic nie szkodzi - odpowiedział. - W ogóle mi to nie będzie przeszkadzać, jeśli masz wystarczająco dużo chusteczek.

Siedzieliśmy bez słowa; od czasu do czasu słychać było jedynie moje chlipnięcia. Czułam jednak zimne klucie łez na policzkach i ciepło dłoni Mońka, którą trzymałam w swojej ręce.

- Jedna rzecz tylko nie daje mi spokoju - odezwał się w końcu Monk. - Batony Toblerone.

- Niech pan lepiej pójdzie to sprawdzić.

- Chyba rzeczywiście powinienem. - Monk wstał i zatrzymał się w drzwiach. - Jeśli znowu będę miał dwa batony, weźmiesz jeden?

Monk nie mógłby zasnąć, wiedząc, że ma w lodówce dwa batony Toblerone, a wszystkiego innego po jednym. Mimo to był to miły gest z jego strony.

- Oczywiście - odpowiedziałam. - Chętnie.

Zjadłam ten jeden, dodatkowy baton i zadzwoniłam do domu, żeby porozmawiać z Julie i mamą. Pominęłam wszystko, co się wydarzyło dzisiejszego dnia, poza wylegiwaniem się w hamaku na plaży. Julie stwierdziła, że jestem nudna. Wyglądało na to, że ciuchy, które mama zdążyła już kupić Julie, starczą jej aż do liceum. Nic dziwnego, że córce nie zależało na moim szybkim powrocie.

Zasnęłam głęboko, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki. Byłam wycieńczona. Zmęczona po podróży. Wyczerpana emocjonalnie. To był mocny, długi i odmładzający sen, w którym nic mi się nie śniło i z którego wybudził mnie o ósmej rano gderliwy chór piejących kogutów.

To chyba ostatni odgłos, jaki spodziewałabym się usłyszeć na tropikalnej wyspie. Papugi, owszem. Gadające ary, jasne. Ale koguty? Niemniej jednak wstałam z łóżka świeża i wypoczęta.

Nie zapukałam do drzwi Mońka, żeby sprawdzić, czy już wstał. Wskoczyłam zamiast tego w Tshirti dres i poszłam na spacer po plaży.

Fale wygładziły w nocy piasek, a całą plażę zrosił poranny kapuśniaczek. Powietrze było wilgotne, ciepłe i ciężkie.

Chociaż kilka innych osób również wybrało się na spacer, to nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że cała plaża należy do mnie. Mijałam bungalowy należące do Grand Kiahuna Poipu, ale nie widziałam nic za żywopłotami, choć wspinałam się na palce.

Nieco wyżej na plaży, tuż za linią zasięgu fal, wygrzewała się w piasku olbrzymia foka z małym fo - czątkiem. Jeden z pracowników hotelu żółtą taśmą wyznaczał wokół fok duży obszar. Stałam przy taśmie i z daleka patrzyłam na zwierzęta.

Matka miała brązową skórę, pokrytą bliznami, a małe było czarne jak smoła. Pyszczkami obie foki przypominały mi szczeniaki golden retrievera. Matka odwzajemniała mi spojrzenie oczami jak szklane kule.

- To mnichy⁹, wie pani? - zagadnął mnie pracownik hotelowy.

Był Polinezyjczykiem, mężczyzną mocno opalonym, z wyrazistymi rysami twarzy.

- Mnichy?

- Tak się je nazywa ze względu na samotniczy tryb życia - wyjaśnił pracownik. - Są zagrożonym gatunkiem.

Skinęłam głową w kierunku matki.

- Skąd te blizny?

Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało, pokazując rząd krzywych zębów.

- Pamiątka po kochankach. Samiec foki lubi ostrą jazdę.

Ominęłam dużym łukiem foki i pracownika hotelu i poszłam dalej.

Plaża kończyła się skałami wulkanicznymi, które wychodziły daleko w zatoczkę. U nasady piargu biegła kręta, mocno wydeptana ścieżka, wychodząca dalej na chodnik przy Hoonani Road, przed samym „Ustroniem wielorybnika”. Kiedy go mijałam, spojrzałam na domek kobiety z katamaranu, ale tym razem zasłony w oknach były zaciągnięte.

Przeszłam przez ulicę, wyszłam na parking przy „Ustroniu wielorybnika” i obszedłszy go, doszłam do biura kierownika kompleksu mieszkalnego. Na ladzie w recepcji leżały pączki, a za ladą siedziała kobieta w średnim wieku. Włosy miała wysoko i równo upięte. Natychmiast zaczęła przejawiać ogromną chęć do rozmowy.

Dowiedziałam się, że jest już na emeryturze i dorabia, pracując na pół etatu, bo chce utrzymać swój styl życia, a nie byłaby w stanie tego zrobić, żyjąc z pieniędzy, które zaoszczędziła jako nauczycielka. Dowiedziałam się także, że kiedy mieszkała we Flagstaff, dzieci i wnuki nigdy jej nie odwiedzały, ale odkąd się tu przeprowadziła, młodzi raptownie nabrali ochoty na nieustanne spotkania. Dowiedziałam się również, jak brzmią nazwiska „sympatycznej parki” z domku A-3.

Roxanne Shaw i jej chłopak Curtis Potter.

Oboje z Cleveland.

Monk gra w golfa

Kiedy wyszłam z windy na naszym piętrze, przed otwartymi drzwiami do pokoju Mońka zobaczyłam trzy wózki pokojówek. Weszłam do środka. Trzy pokojówki składały na łóżku ręczniki, a Monk stał nad nimi i przyglądał się ich pracy.

- Nie, nie, Kawaiiala, zaczynasz składać od lewa do prawa, potem dopiero od dołu do góry. Spróbuj jeszcze raz. - Monk przeszedł do następnej pokojówki, która składała ręcznik. - Czekaj, Meilani, dopilnuj, żeby się stykały narożniki. Jeśli to pierwsze, kluczowe założenie ci się nie uda, przerwij całą procedurę i zacznij od nowa.

- Co pan robi, panie Monk?

- Pokazuję paniom, jak poprawnie złożyć ręcznik, a nie zwinąć. - W tej chwili ręcznik jednej z pokojówek przyciągnął jego uwagę. - Bardzo dobrze, Lana! Powoli zaczynasz łapać, o co chodzi. Spróbuj jeszcze raz. Praktyka czyni mistrza.

- Dowiedziałam się czegoś ciekawego o kobiecie, którą widzieliśmy wczoraj wieczorem - powiedziałam. - Nazywa się...

- Roxanne Shaw - przerwał mi Monk.

- Skąd pan wie?

- Widziałem jej podpis na rachunku karty kredytowej, kiedy wychodziliśmy z restauracji. Muszę powiedzieć, że ma bardzo ładny, równy podpis.

- Cóż, może jej nazwisko nie jest wielką nowiną, ale dowiedziałam się również, że pochodzi z...

- Z Cleveland - znowu przerwał mi Monk. - Podobnie jak Lance i Helen.

- Skąd pan to wie? - zapytałam zdumiona, próbując ukryć rozczarowanie.

- Kiedy jechaliśmy za nią, zauważyłem, że przykrywa swoje siedzenie plażowym ręcznikiem, aby nie parzyła jej rozgrzana od słońca tapicerka. Na ręczniku dostrzegłem duży portret Wodza Wahoo, który przez cały czas szczyrzył do nas zębami w uśmiechu.

- Kto to jest Wódz Wahoo?

- To maskotka klubowa Indians, drużyny baseballowej z Cleveland. - Monk odciągnął mnie parę kroków na bok, żeby nie słyszały nas pokojówki. - Ja też się czegoś dowiedziałem dziś rano. Meilani sprzątała bungalow Helen i Lance'a. Mówi, że Helen Gruber uwielbiała tutejsze ciasta. Po obiedzie zawsze przynosiła do bungalowu kawałek któregoś z nich. Jednak tego ranka, kiedy została zamordowana, w jej lodówce nie było żadnego ciasta.

- Smak ciasta liliko'i był jednym z doznań z zaświatów, o których wspominał mi Dylan Swift.

- Strzał bez ryzyka - stwierdził Monk. - To najpopularniejszy wypiek na wyspie i prawdopodobieństwo, że spróbuje go tutaj każdy turysta, jest bardzo wysokie. Ale gdzie się podziało ciasto pani Gruber?

- Może zjadła ostatni kawałek dzień wcześniej na obiad? - powiedziałam. - Albo tego samego dnia na śniadanie?

- Ale w zlewozmywaku nie było brudnych naczyń, a pokojówka jeszcze nie przyszła sprzątać.

- Zresztą co to ma za znaczenie?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział Monk.

Do Mońka podeszła Kawaiała, trzymając w rękach złożony ręcznik.

- Czy tak dobrze, proszę pana? - zapytała.

Monk się uśmiechnął.

- Idealnie. Myślę, że już wiecie, o co chodzi. Idźcie i głóście moje nauki.

Pokojówki wyszły cichutko z pokoju i zamknęły za sobą drzwi, zostawiając na łóżku Mońka równiutko poskładane ręczniki.

- Uczył pan pokojówki, jak składać ręczniki?

Monk westchnął.

- To takie piękne uczucie, przekazać coś ważnego społeczeństwu.

Zerknęłam na zegarek.

- Za trzy godziny gramy w golfa. Buty i kije można wypożyczyć na miejscu, ale będzie pan musiał kupić sobie coś do ubrania.

- Nie wypożyczam butów. To tak jakby prosić mnie, żebym włożył czyjąś brudną bieliznę - oświadczył kategorycznie Monk. - Czy z moim ubraniem jest coś nie w porządku?

- Nie może pan wejść na pole golfowe w takim ubraniu. Wszyscy będą na pana patrzeć, a gospodarz nie wpuści pana w takich butach.

- Dobrze - powiedział Monk. - Chodźmy na zakupy.

Ubiór i sprzęt golfowy sprzedawano w tym samym sklepie, w którym Monk kupował kąpielówki. Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że i tym razem zakupy Poszły mu równie gładko. Nie będę was skazywać na katusze i opisywać w każdym drobnym szczególe, czym były dla mnie dwie godziny tego piekła na ziemi. Abyście jednak mieli choć ogólne wyobrażenie, przez co musiałam przejść, powiem tylko, że Monk wybierał buty golfowe, przeliczając plastikowe kołki w podeszwie, by w końcu znaleźć parę w odpowiedniej cenie, w odpowiednim rozmiarze i z parzystą liczbą kołków. Przejrzeliśmy naprawdę mnóstwo butów, a kiedy zakupy dobiegły wreszcie końca, Monk przez dobry kwadrans podpisywał rachunek karty kredytowej.

Chcielibyście taką pracę jak moja? Tak myślałam. To może chcielibyście zabrać Mońka na swoje następne wakacje? Założę się, że na samą myśl o tym napinacie z nerwów całe ciało. Teraz wiecie, jak się czułam.

Koniec końców, poza butami Monk kupił sobie jeszcze luźne spodnie khaki i czerwone polo z krótkimi rękawami. Wyglądał wspaniale i powiedziałam mu to głośno. Odniosłam wrażenie, że poczuł się zakłopotany, więc nie ciągnęłam dalej tego wątku. Miałam nadzieję, że odrobina pozytywnej opinii przekona go, by trochę sobie pofolgował w kwestii mody. Czasami mam ochotę wyciągnąć rękę i rozpiąć mu guzik pod szyją, bo na sam jego widok zaczynam się dusić.

Prosto ze sklepu pojechaliśmy samochodem, na oddalone o jakieś trzy, cztery kilometry pole golfowe Grand Kiahuna Poipu. Gdy zajechaliśmy na miejsce, od razu ogarnęła mnie radość, że tu jestem. Było po prostu przepięknie. Idealnie utrzymane pole golfowe tonęło w soczystej zieleni i ciągnęło się pod pogodnym, błękitnym niebem, u stóp przymglonych szczytów gór i rozpościerał się z niego niesamowity widok na zatokę Poipu, której fale rozbijały się o sterczące nad wodę wulkaniczne skały i czarne, poszarpane klify.

Nie rozumiem, jak można się koncentrować na grze w golfa, jeśli wokół jest tyle cudów do oglądania.

Wypożyczyliśmy dwa komplety kijów oraz samochodzik golfowy i pojechaliśmy na pierwsze stanowisko, gdzie czekał na nas Kealoha. Porucznik jak zwykle miał na sobie szorty i przydużą hawajską koszulę niedbale wypuszczoną na wierzch. W torbie, która wyglądała, jakby ją przetargał przez siedem kontynentów świata, trzymał komplet kijów golfowych.

- To się nazywa służba nie drużba - uśmiechnął się z zadowoleniem.

Na pozycji startowej ustawione były, w różnej odległości od dołka, cztery stożki do wybicia piłki. Czarny stożek przeznaczony był dla graczy turniejów mistrzowskich, czerwony dla pań, biały dla każdego gol - fisty amatora, a złoty, zwany „wczasowym”, dla tych, którzy grają tylko od czasu do czasu i mają ochotę na łatwiejszą grę, a więcej zabawy.

Ustawiliśmy się przy stanowisku białym i każdy z nas włożył rękawiczkę. Monk włożył obie.

- Często gra pan w golfa, poruczniku? - zapytałam Kealohę.

- Surfing i golf to wszystko, co tu można robić - odpowiedział Kealoha. - Ale to kosztowne hobby. Ten komplet kijów golfowych dzielę z czwórką kumpli.

- Och, nigdy bym nie pomyślała... - rzuciłam z lekką kpina.

- A pani? - zapytał Kealoha. - Często pani gra?

- Grałam, gdy byłam mała. Ojciec nadal jest członkiem wielu krajowych klubów - odpowiedziałam. - Od dawna nie miałam kija w ręku, ale kiedy grałam, to nieźle sobie radziłam.

- Świetnie - Kealoha pokiwał głową. - Jaki ma Pani handicap?

- Osiemnaście.

- A pana? - zapytał Kealoha Monka.

- Dla mnie golf to gra życia - odpowiedział Monk, dokładnie wycierając kij nawilżoną chusteczką higieniczną. - Nie mam handicapu.

- Powinien pan włożyć tylko jedną rękawiczkę - zauważył Kealoha. - Jest pan praworęczny, więc musi ją pan mieć na lewej ręce.

- Nikt nie wkłada jednej rękawiczki - stwierdził Monk. - Może z wyjątkiem Michaela Jacksona, ale on jest bardzo, bardzo dziwny.

Norma par pierwszego dołka wynosiła cztery, czyli należało go rozegrać czterema uderzeniami. Dołek znajdował się jakieś trzysta pięćdziesiąt metrów dalej, a krótko przyszyty pole green, w którym się mieścił dołek, otoczone było kilkoma bunkrami, czyli przeszkodami w postaci dołów z piaskiem. Po jednej stronie zakrzywionego toru gry zwanego

fairwayem ciągnęły się luksusowe domy, a po drugiej rósł las i srebrzyło się sztuczne jezioro.

Po kolei uderzaliśmy piłeczkę; ja pierwsza, po mnie Monk, a na końcu Kealoha. Nasze piłeczki lądowały mniej więcej w tym samym miejscu, w okolicach załamania toru, gdzie fairway zakręcał w kierunku greena.

Wsiadliśmy do samochodziku golfowego. Kealoha usiadł za kierownicą, Monk obok niego, ja z tyłu i ruszyliśmy wolno fairwayem.

- Dziś rano kontaktowała się ze mną policja z Cleveland - powiedział Kealoha. - Tym razem Lance odziedziczył miliony.

- Tym razem? - zapytał Monk.

- Helen Gruber nie była pierwszą starszą panifti z którą Lance się ożenił i którą przeżył - powiedział

Kealoha. - Trzecią. Przed nią były Elizabeth Dahl z Filadelfii, lat siedemdziesiąt sześć, oraz Beatrice Woodman z Seattle, lat sześćdziesiąt osiem.

Drwał, trzymający w ręku porcelanową laleczkę.

Woodman i Dahl¹⁰.

Znowu się potwierdzają kolejne widzenia Dylana Swifta. Czy te inne duchy, o których Swift mówił, że próbują się z nim skontaktować w sprawie śmierci Helen Gruber, to właśnie Elizabeth Dahl i Beatrice Woodman?

Próbowałam dać Monkowi jakiś znak oczami, ale on w ogóle na mnie nie patrzył. Trąciłam go więc łokciem pod zebro. Wciąż nie zwracał na mnie uwagi. Dobrze wiedział, co przyszło mi do głowy, i nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Albo Dylan Swift błyskawicznie dokonał wyczerpującej kwerendy na temat przeszłości Lance'a, albo rzeczywiście otrzymywał komunikaty z królestwa zmarłych.

Dobrze wiedziałam, jakie będzie tłumaczenie Mońka.

Ale co szkodziło pójść do Swifta i zapytać go o to, co ciekawego powiedziały mu jeszcze duchy? Nawet jeśli był oszustem, to mógłby nam zaoszczędzić sporo czasu, jaki poświęcilibyśmy na uzyskanie wiedzy, którą on już posiadał.

Nie miałam jednak zamiaru dzielić się z Monkiem tymi przemyśleniami, w każdym razie nie w obecności Kealohy.

- Czy Dahl i Woodman zostały zamordowane? - zapytał Monk.

- Policja w Cleveland twierdzi, że zmarły śmiercią naturalną. - Kealoha zwolnił niedaleko miejsca, gdzie w trawie spoczywały nasze piłki. - Jedno jest pewne, Lance

doskonale wie, jak je poderwać, choć najmłodszą i najzdrowszą z nich wszystkich była Helen Gruber. Była także najbogatsza.

- Może tym razem znudziło mu się czekanie, aż Matka Natura dokona dzieła - powiedziałam.

- Mówił pan, że rozmawiał z innymi uczestnikami rejsu wzdłuż brzegów Na Pali - odezwał się Monk. - Rozmawiał pan już z Roxanne Shaw?

- Nie. Która to?

- Ta w stringach bikini - powiedziałam.

- Ach, tak - przypomniał sobie Kealoha. - Pamiętam ją z filmu.

- Nie wątpię - rzuciłam.

Kealoha zatrzymał samochodzik kilka metrów od pilet i wszyscy wysiedliśmy.

- Bardzo chciałem z nią porozmawiać - powiedział Kealoha. - W kasach Snorkel Rob powiedzieli mi, że kupiła tylko jeden bilet. To znaczy, że w rejs wybrała się sama. Chyba nie ma nic bardziej samotnego niż samotność w raju. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy w czasie pobytu na wyspie panienka nie przystałaby na towarzystwo pewnego uroczego Hawajczyka.

- Nie sądzę - powiedział Monk, odwrócony do nas plecami, patrzący w kierunku domów stojących wzdłuż toru gry. - Wczoraj wieczorem widzieliśmy ją z Lance'em. Ona również pochodzi z Cleveland.

Kealoha aż gwizdnął z wrażenia.

- Z pana to naprawdę cicha woda, panie Monk - Sprawdzę ją, a potem wspólnie możemy zadać paru Shaw kilka pytań. Jednak jej alibi jest równie dobre jak alibi Lance'a.

Podążyłam za wzrokiem Mońka. W jednym z domów zobaczyłam ogrodników, a w innym kręcił się konserwator basenu.

- Czy policja w Cleveland sprawdziła konta bankowe Vaughana? - zapytałam.

Kealoha przytaknął.

- Jeśli Lance zapłacił komuś za zabicie żony, to pieniądze nie wyszły ani z jego konta, ani z konta żony. Poproszę ich jeszcze o sprawdzenie skarbonki Roxanne Shaw, ale zaczynam się zastanawiać, czy wietrzymy w dobrym kierunku.

- Tylko Lance miał motyw, aby zabić żonę - powiedział Monk.

- Ale jak mógł tego dokonać, nie wynajmując nikogo do brudnej roboty? W chwili zbrodni nie przebywał nawet na wyspie. Roxanne Shaw też nie. Ich alibi potwierdzają nagrany film i zeznania innych uczestników rejsu.

- Wiem - przyznał Monk.

- Może to zrobił zwykły złodziej? - wyraził przypuszczenie Kealoha.
- Zwykły złodziej, który nic nie ukradł?
- Zdarza się - powiedział Kealoha, z uwagą wyszukując w swojej torbie właściwy kij.
- Może ją rąbnął, a potem się wystraszył i zwał?

Alibi Lance'a jakoś szczególnie mnie nie martwiło. W końcu w poprzedniej sprawie, którą prowadził Monk, podejrzana leżała w chwili morderstwa na stole operacyjnym z otwartym sercem. Monk mimo wszystko zdołał udowodnić, że to ona jest sprawczynią zbrodni. Nie opuszczała mnie więc wiara, nawet jeśli Kealoha w to wątpił, że również w przypadku tego alibi Monk będzie w stanie znaleźć feler lub jakąś nieudolną sztuczkę.

- Pan nie chce użyć tego kija - powiedział Monk do Kealohy.
- Dlaczego nie?
- To trójka - zauważył Monk. - Niech pan weźmie czwórkę albo szóstkę.
- Do tego uderzenia lepsza będzie trójka - przekonywał Kealoha.
- Trójka nigdy nie jest lepsza - stwierdził Monk. - W tej sprawie może mi pan ufać.

Kealoha zerknął na mnie ukradkiem, a potem włożył trójkę z powrotem do torby i wyjął czwórkę. Podszedł do swojej piłki i wykonał uderzenie. Piłka poleciała nisko nad ziemią i upadła daleko przed greenem. Kealoha spojrzął na Monka spode łba.

- W sprawie morderstwa Helen Gruber zacznę jednak sprawdzać wersję ze zwykłym złodziejem - powiedział Kealoha.

- To strata czasu - stwierdził Monk.

Ja również użyłam czwórki i nie uderzyłam piłki ani trochę lepiej niż Kealoha. Monk też uderzył czwórką i jego piłka wylądowała w bunkrze z piaskiem.

- Cholernie trudny dołek. - Kealoha powstrzymał śmiech i usiadł w samochodziku.

Nie mogłam się powstrzymać, by również nie przygadać Monkowi.

- Przy wiatraku też piłka wpada panu do dołków z piaskiem, panie Monk?

Weszliśmy znowu do samochodziku i podjechaliśmy pod green. Monk milczał, bez przerwy wpatrując się w domy. Na dachu jednego z nich ktoś montował antenę telewizyjną. Monk zerknął na zegarek.

Na greenie podeszliśmy do piłeczek i każdy ocenił uderzenie, które przyjdzie mu teraz wykonać. Monk powoli przeszedł się po obwodzie bunkra. Jego piłeczka osiadła w samym środku zagrabionego piasku. Monk stał na skraju bunkra i wpatrywał się z oddali w piłkę, jakby spoczywała na czubku ruchomej wydmy. Wiedziałam, nad czym się zastanawia. Jak sięgnąć piłkę bez naruszenia zagrabionego piasku. Powoli Monk zaczynał się pocić.

Tymczasem Kealoha kończył grę. Wbił piłeczkę do dołka po jednym, zamaszystym uderzeniu żelazem i trzech lekkich uderzeniach putterem na greenie, zarabiając tylko dwa punkty karne w stosunku do normy par.

- Całkiem nieźle - powiedział zadowolony. - Jak na mnie.

Obejrzałam się na Mońka, który w ogóle nie zwracał na nas uwagi. Żwawo ruszył po piasku przez bunkier, trzymając w rękach wedge'a, metalowy kij do wybijania piłki z piasku.

Oboje z Kealohą zastygliśmy i obserwowaliśmy Mońka.

On spojrział na dołek, potem na piłeczkę i uderzył ją z szerokim zamachem. Piłeczka wystrzeliła z bunkra z pióropuszem piasku, wylądowała idealnie na greenie, potoczyła się jeszcze trochę i zatrzymała się dosłownie o jedno małe uderzenie od flagi oznaczającej dołek.

- Wspaniałe uderzenie, panie Monk - powiedziałam szczerze zadziwiona.

Jednak Monk miał kwaśną minę. Wyszedł tyłem z bunkra, stawiając nogi dokładnie na śladach swoich stóp, i stanął z powrotem na greenie.

~ Co oni sobie myśleli? - powiedział.

~ Kto? - zapytałam.

- Ci, którzy projektowali to pole. Czy nie przyszło im do głowy, co się stanie, jeśli wysypią piasek obok trawy?

- Tak... To dla zawodnika stwarza pewne ryzyko.

- Myślę, że zrobili to celowo. Powinni się wstydzić. - Monk przykucnął na skraju greenu, przodem do bunkra, i zaczął pracowicie zdmuchiwać piasek z zielonej trawy.

- Co pan robi?

- Czy nie widzisz, że w trawie jest teraz mnóstwo piasku?

- To nic nie szkodzi - powiedziałam.

- Szkodzi - odparł Monk. - Trawa i piasek nie koegzystują.

Spojrzałam na Kealohę, który patrzył na Mońka z niedowierzaniem w oczach.

- Co mamy teraz zrobić? - zapytał.

- Ja w każdym razie gram - powiedziałam, wyciągając z torby żelazo.

Udało mi się wbić piłkę do dołka z trzema punktami karnymi, z czego byłam naprawdę dumna. Zaczęłam wydawać okrzyki radości, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Kealoha patrzył na Mońka, a Monk skończył wdmuchiwać piasek z powrotem do bunkra i próbował go teraz zagrabić.

- Pańska kolej, panie Monk - zawołałam.

- Teraz jestem zajęty.

Przyglądaliśmy się, jak usiłuje zagrabić piasek, nie stawiając na nim nogi, co nie było możliwe bez pociągnięć grabiami od góry do dołu. To z kolei czyniło poważny problem, ponieważ dołek był wcześniej zgrabiony od boku do boku.

Po kilku minutach Monk odłożył grabie, wszedł do bunkra i, ciągnąc butem po piasku, zaczął zacierać wszystkie zgrabione linie.

- Co pan robi? - zapytałam.

- Zamazuję wszystko, żeby zacząć od początku.

Spostrzegłam cztery osoby stojące przy pierwszym stanowisku. Sądząc po języku ich ciała, nie były zadowolone (stały z rękami na biodrach lub przechadzały się nerwowo w tę i we w tę).

- Blokuje pan miejsce następnym graczom - powiedziałam Monkowi.

- Grajcie dalej beze mnie - odpowiedział. - Dogonię was.

- A co z tą czwórką? - zapytał Kealoha.

- Och, mogą grać przy mnie - stwierdził Monk. - Zresztą na pewno będą mi wdzięczni, że odnawiam bunkier z taką dbałością.

- Nie musi pan grabić piasku - powiedziałam. - Wystarczy, że przetarł go pan butem.

- To nie to samo - powiedział Monk. - Ten bunkier odstawałby od pozostałych.

Wziął do ręki grabie i zaczął uważnie grabić, pilnując, by wszystkie linie były proste i równe.

Kealoha pokręcił głową.

Czwórka graczy za nami zaczęła grę, uderzając piłeczki w pierwszej części fairwayu. Jeszcze chwila i piłeczki golfowe zaczną świstać wokół naszych głów niczym pociski.

Monk skończył i popatrzył na swoje dzieło.

- Tak już lepiej.

Wziął do ręki puttera i przykucnął za swoją piłką, mierząc wzrokiem odległość do dołka na greenie.

Nagle coś przykuło jego uwagę, coś daleko za doł - lem - Podążyłam za jego wzrokiem. Znowu spoglądał na domy. Do jednego z nich listonosz dostarczał paczkę. Monk spojrział na zegarek, wstał i jednym uderzeniem puttera wpakował piłeczkę do dołka. Cztery uderzenia! Idealna norma par na dołek.

Odwrócił się do nas z uśmiechem.

- Przednia zabawa. Choć przy tym dołku zdecydowanie przydałby się zamek - powiedział. - No, przynajmniej fosa.

Kealoha spojrzął za siebie na fairway, gdzie czworo golfistów stało i patrzyło na nas wyczekująco.

- Przejdźmy już lepiej na drugie stanowisko - powiedział.

- Mam lepszy pomysł - powiedział Monk. - Chodźmy złapać złodzieja.

Monk i ręczniki

Kealoha przejechał naszym elektrycznym samochodzikiem wąską asfaltową drogą, która przecinała pole golfowe i kończyła się krótkimi ślepyimi odgałęzieniami w kwartale domów. Na prośbę Mońka zaparkował koło furgonetki pocztowej, która stała przy krawężniku z uruchomionym silnikiem. Wyszliśmy.

Domy wcale nie wydały mi się bardziej okazałe od zwykłych podmiejskich domów rodzinnych na kontynencie, jednak ich wartość, tylko z racji położenia, wyrażała się najprawdopodobniej w liczbach siedmio - cyfrowych. Nie były ogrodzone płotem, a jedynie obsadzone roślinami - w niektórych przypadkach otaczał je niski murek z dekoracyjnych łupków skały wulkanicznej, służący zapewne tylko do zaznaczenia granic. Ogrody otaczające domy były bujne i wypieszczone jak pole golfowe, z którym sąsiadowały od frontu.

Przed gankiem jednego z domów listonosz rzucił właśnie kilka przesyłek z Amazon. Podeszliśmy do mego, kiedy wracał do furgonetki. Był muskularnym Mężczyzną, Polinezyjczykiem. Miał na sobie urzędową koszulę z krótkimi rękawami, wypuszczoną na ciemnoniebieskie szorty, a na głowie kapelusz typu safa - n - Jego oczy kryły się za odblaskowymi okularami Przeciwsłonecznymi, przytrzymywanymi opaską wokół głowy.

- Czym mogę służyć? - zapytał listonosz.

Kealoha odwrócił się do Mońka.

- Właściwie nie wiem... Czym może nam służyć?

- Czy pan jest stałym listonoszem w tym rejonie? - zapytał Monk.

- Uhm - odparł mężczyzna.

- Od jak dawna?

- Od dobrych paru lat.

Monk odwrócił się do Kealohy.

- To on. W każdym razie między innymi on.

- Co za on?

- Odpowiada za co najmniej pół tuzina pańskich nie wyjaśnionych włamań, może więcej.

Listonosz ruszył w kierunku furgonetki.

- Nie wiem, o czym pan mówi, ale mam do rozwiezenia pocztę, a muszę się trzymać harmonogramu.

- I to właśnie pana zgubiło - powiedział Monk.

Listonosz przeszedł obok Mońka, ale Kealoha zastąpił mu drogę i odsłonił przed nim okrągły brzuch, odznakę policyjną i pistolet.

- Hola, braachu. Stój, policja - powiedział i odwrócił się do Mońka. - Myśli pan, że to włamywacz?

- Nic nie zrobiłem - stwierdził listonosz.

- Osoba, która się dopuściła włamań, doskonale wiedziała, kiedy domy są zamieszkałe, a kiedy stoją puste, z łatwością mogła wejść do budynków monitorowanych i zamkniętych osiedli, miała też możliwość, by nie zwracając uwagi, kraść w środku dnia rzeczy większych rozmiarów, jak komputer czy wieża stereo.

- W jaki sposób wskazuje to na tego człowieka?" zapytał Kealoha. i

- Kiedy ludzie wyjeżdżają, zawiadamiają pocztę

172 z prośbą o zawieszenie doręczeń lub przekazywanie przesyłek pod inny adres. Jeśli w domu nikogo nie ma, listonosz dobrze o tym wie. Zna również kody do furtek i ma klucze do monitorowanych budynków, by bez przeszkód dostarczyć pocztę. Jego obecność nie budzi więc podejrzeń. Kradzione rzeczy wywozi w wózku do przesyłek priorytetowych, zatem wydaje się, że po prostu doręcza lub odbiera od kogoś paczkę.

- Świetna teoria - stwierdził Kealoha. - Żeby jednak aresztować tego człowieka, potrzeba czegoś więcej.

- Aresztować? Za co? Niczego nie ukradłem - zaperzył się listonosz. - Nie widzicie? Nic przecież nie mam w rękach.

- Wszystkie włamania, których czas udało się określić co do dnia, a nawet godziny, wydarzyły się tylko w ciągu tygodnia i za dnia - mówił dalej Monk. - Nigdy w nocy i nigdy w niedziele.

- Tak właśnie wygląda harmonogram pracy listonosza - dodałam.

- Poza tym w jednym kwartale dochodziło do nich o tej samej porze dnia - tłumaczył Monk. - Na przykład tutaj włamania zdarzały się zawsze około południa. W odleglejszych miejscach włamywacz działał pod koniec dnia..

- Czyli pod koniec codziennej trasy listonosza - dorzucił Kealoha, patrząc docieklewie na podejrzanego, który przezornie w ogóle się już nie odzywał.

- Specjalnie chciałem zacząć grać w golfa rano, żeby zaobserwować, kto się pojawi w południe - C13 gnał Monk. - Kiedy zobaczyłem pocztową furgonetkę, wszystko zaczęło się układać w całość.

~ Jest tylko jeden problem - powiedział Kealoha. - Wciąż nie mamy dowodu.

~ Właśnie. - Listonosz uśmiechał się z drwiną.

- Niech pan zarekwiruje furgonetkę i zdobędzie nakaz rewizji - poradził Monk. Gwarantuję, że w środku znajdzie pan narzędzia służące do włamań, puste pudła na łup, a może nawet kradzione rzeczy.

W odpowiedzi listonosz wystrzelił nagle jak z procy, minął Kealohę, wskoczył za kierownicę furgonetki, której silnik wciąż pracował, i ruszył z piskiem opon.

Monk lotem błyskawicy skoczył do golfowego samochodziku, usiadł na miejscu kierowcy i przycisnął gaz do deski. Kiedy samochodzik przejeżdżał obok mnie, wskoczyłam na tylne siedzenie i mocno się chwyciłam poręczy przedniego siedzenia.

- Co pan robi! - krzyknęłam do Monka, kiedy skręcił między dwa domy i zaczął jechać przez tylne ogródki.

- Odcinam mu drogę - odkrzyknął Monk. - Ulica zakręca za domami i wychodzi na ich tyły.

- Ale jesteśmy w zwykłym wózku golfowym! Przejedźcie się po nas jak kosiarka po trawie.

- Podaj mi jakiś metalowy kij golfowy - powiedział Monk, gdy podskakiwaliśmy na wybojach w wysokiej trawie.

Chwyciłam kij i już go miałam podać Monkowi, kiedy nagle wpadliśmy w żywopłot bugenwilli. Kij wypadł mi z ręki, a ja złapałam się poręczy, by nie wypaść z samochodziku.

Szybko zbliżaliśmy się do ulicy. Z drugiej strony nadciągała już pocztowa furgonetka. Jeśli nie zahamujemy, nasze tory jazdy za moment się przetną.

- Prędeż! - ponaglił mnie Monk.

Wyjęłam z torby jakiś drugi kij, podałam go w okamgnieniu Monkowi, który wcisnął go między siedzenie i pedał gazu, klinując pedały.

Potem, jak gdyby nigdy nic, wyskoczył z auta na miękką trawę.

Oślupiałam. Minęła cała sekunda, zanim dotarło do mnie, że jestem w jadącym samochodziku sama. Skoczyłam dosłownie w ostatniej chwili, gdy pojazd wtaczał się na ulicę wprost pod rozpędzoną furgonetkę.

Listonosz skręcił gwałtownie, chcąc ominąć niespodziewaną przeszkodę, furgonetka przewróciła się na bok i krzesząc iskry, zaczęła sunąć po asfalcie, aż zatrzymała się wreszcie na przydrożnej palmie.

Tymczasem pozbawiony kierowcy samochodzik golfowy spokojnie toczył się dalej, przejechał między dwoma kolejnymi domami i wjechał z powrotem na rozciągające się za nimi pole golfowe.

Zerwaliśmy się z Monkiem na nogi, podbiegliśmy do furgonetki i wyciągnęliśmy z niej półprzytomnego listonosza. Miał parę rozcięć i siniaków, ale żył. Przenieśliśmy go na trawę, a potem przyjrzelśmy się sobie. Miałam mocno starte kolano, a Monk miał na spodniach zielone ślady od trawy. Poza tym nic nam się nie stało.

- Doprawdy, bardzo panu dziękuję - rzuciłam do Mońka.

- A co takiego zrobiłem?

- Wyskoczył pan z samochodziku!

- Och, to oczywiste stwierdził Monk. Nie chciałem dać się zabić.

- A ja? Mógł mnie pan ostrzec, że będzie pan skakał.

- Przecież widziałeś, że skaczę, prawda?

- Nie w tym rzecz - oburzyłam się. - Kierowca, który zamierza wyskoczyć z pozostającego w ruchu P°jazdu, ma obowiązek poinformować o tym pasażerów.

~ Pozwolisz, że się nie zgodzę.

- To należy do dobrych obyczajów!

W tym momencie dobiegł do nas Kealoha, zadyszany i mokry od potu.

- Po co pan to zrobił?! - zapytał, łapiąc oddech.

- Listonosz chciał uciec - wyjaśnił Monk.

- Jesteśmy na malutkiej wyspie - powiedział Kealoha, ciężko dysząc. - Poruszał się urzędową pocztową furgonetką. Niby dokąd miał uciec?

- Uups... - powiedział tylko Monk.

W tym momencie mój wzrok przypadkowo padł na pole golfowe i zobaczyłam, jak nasz samochodzik wtacza się wolno do sztucznego jeziora i szybciotko chowa się pod jego taflą, zatapiając przy tym nasze kije golfowe.

Całe szczęście, że rachunek za wypożyczenie sprzętu nie był wypisany na moją, lecz na Mońka kartę kredytową.

Chociaż w furgonetce pocztowej rzeczywiście znaleziono narzędzia służące do włamań i różne skradzione przedmioty, to miałam nadzieję, że zniszczenie dwóch pojazdów,

utrata trzech zestawów kijów golfowych i wściekłość przedstawicieli pola golfowego odwiedzie Kealohę od przekazywania Monkowi swoich kolejnych niewyjaśnionych spraw.

Monk bynajmniej nie przejął się szkodami, które spowodował. Wygrana w golfa i pościg za złodziejem wprawiły go w znakomity nastrój, więc nabrał ochoty na więcej zagadek detektywistycznych.

Jeżeli o mnie chodzi, jedyną czynnością, jakiej byłabym gotowa teraz się oddać, było wylegiwanie się w hamaku. Dość miałam wrażeń jak na jeden dzień-

Na szczęście w sprawie Helen Gruber nie mieliśmy nic do roboty do czasu, aż Kealoha odezwie się do nas z nowymi informacjami na temat Lance'a Vau - ghana i Roxanne Shaw. Doszłam więc do wniosku, że będę miała trochę wolnego czasu, tym bardziej że Kealoha na pewno miał urwanie głowy w związku z wydarzeniami dzisiejszego przedpołudnia.

Zjedliśmy spóźniony lunch w Poipu Beach Park, gdzie w delikatesach Brenneke kupiliśmy pierwsze lepsze kanapki z tuńczykiem. Monk kazał odciąć z chleba skórkę i pożyczył sprzedawcy własną miarkę, by mógł przekroić kanapkę dokładnie na pół. Usiedliśmy z lunchem po drugiej stronie ulicy, przy jednym z rozstawionych tam piknikowych stolików, na trawniku prowadzącym na plażę.

Plaża za parkiem zapełniona była rodzinami z dziećmi, które pływały przy brzegu na małych deskach, pluskały się i głośno swawoliły w wodzie. Na piasku wygrzewała się gruba foka, a jej drzemkę utrzymywały dla potomnych kilkudziesięciu nie rozstających się z aparatami turystów.

- Wie pan, co to jest? - zapytałam.

- Foka mnich.

- Rozumiem, że to jedyne foki, które przed zjedzeniem patroszą ryby.

- Długo myślałaś nad tym dowcipem? - zapytał Monk.

- Od rana - przyznałam ze skruchą.

Kiedy skończyliśmy lunch, wróciliśmy do hotelu i zaparkowaliśmy na parkingu obok kolejnego mustanga kabrioletu. Monk wysiadł i uważnie się przyjrzał samochodowi.

- To auto, które wypożyczył Brian - zawyrokowałam w końcu.

~ Połowa zaparkowanych tutaj samochodów to kabriolety mustangi. Skąd pan to wie?

- Pewną różnicę stanowią tablice rejestracyjne.

- Zapamiętał pan numer z tablicy rejestracyjnej?

- Podobnie jak numer nadwozia - dodał Monk. - Zresztą rozpoznaję trzy delikatne wgniecenia i zarysowanie.

- Świetnie.

- Wymienili szybę i dach. - Monk zajrzał do środka przez okno po stronie kierowcy. - Plama na siedzeniu też zniknęła.

- Widzi pan? Jednak ją wyczyścili. Powinien pan być szczęśliwy. - Ruszyłam w kierunku hotelu.

- Ale to była trwała plama! - zawołał za mną Monk.

- Najwyraźniej jednak nie. - Nie zwołałam kroku.

Dogonił mnie po chwili.

- Myślę, że wymienili całe siedzenie.

- To dobrze.

- Dlaczego tak się wykosztowali i wymienili całe siedzenie, żeby się pozbyć jednej plamy, a zostawili brudne dywaniki, wgniecenia i zarysowanie?

- Nie wiem, panie Monk. Powiem nawet więcej, kogo to obchodzi?

- Jednak to daje do myślenia.

Szliśmy przez hol do windy, kiedy zaczepił nas mały Hawajczyk w kolorowej jedwabnej koszuli, luźnych spodniach i ładnych skórzanych butach.

- Przepraszam pana, panie Monk. Pozwoli pan, że zamienię z panem dwa słowa? - Wyciągnął do Monka rękę. - Nazywam się Martin Kamakele, jestem kierownikiem hotelu.

Ucisnęli sobie dłonie. Zanim Monk mnie poprosił, miałam już przygotowaną chusteczkę.

- To pan odpowiada za uzupełnianie zapasów w mi - nibarach? - zapytał Monk.

- Tak, to jeden z moich obowiązków. Dowiedziałem się, że poinstruował pan nasz personel na czwartym piętrze, aby nie zwijać ręczników, lecz je składać.

- Och, nie musi mi pan dziękować.

- Bardzo doceniam, że osobiście woli pan składane ręczniki, i dołożymy wszelkich starań, by w naszym hotelu czuł się pan jak najlepiej - mówił Kama - kele. - Ale niestety w całym hotelu nie możemy składać ręczników.

- Przecież tylko tak można postępować z ręcznikami.

- To jednak sposób najbardziej czasochłonny. Złożenie ręcznika zajmuje trzy razy więcej czasu niż jego zwinięcie, a nasz personel obowiązuje bardzo napięty harmonogram prac. Gdyby pokojówki postępowały zgodnie z pańskim zaleceniem, na koniec dnia byłyby spóźnione z obowiązkami o dwie godziny.

- Czy do ich obowiązków należy również umieszczanie w minibarach gości dodatkowego batona To - blerone?

- Z najmilszą chęcią będziemy składać ręczniki w pańskim pokoju, jednak w pozostałych, obawiam się, jesteście zmuszeni wciąż je zwijać.

- Ależ będę wiedział, że w innych pokojach ręczniki są zwinięte - zauważył Monk. - Jak pan myśli, czy będę mógł spokojnie spać w budynku wypełnionym zwiniętymi ręcznikami?

Kamakele spojrział na mnie błagalnym wzrokiem, ale nie miałam zamiaru w niczym mu pomagać. To była sprawa między nim a Monkiem.

- Nie wiem, co panu odpowiedzieć, panie Monk - Powiedział w końcu Kamakele.

- Niech mi pan powie, że będziecie składali wszystkie ręczniki.

- Bardzo mi przykro.

Teraz już zarówno Kamakele, jak i Monk patrzyli na mnie wymownie, z prośbą o pomoc. Westchnęłam i zwróciłam się do kierownika hotelu.

- Sytuacja z ręcznikami bardzo źle wpływa u pana Mońka na zdolność do koncentracji. Nie wiem, czy panu o tym wiadomo, ale pan Monk współpracuje obecnie z policją Kauai w sprawie morderstwa pani Helen Gruber. Jest bardzo znanym detektywem.

- Reputacja pana Mońka jest mi doskonale znana - odpowiedział Kamakele. - Zanim tu przyjechałem, pracowałem jako kierownik hotelu Belmont w San Francisco.

- Zatem wie pan, jak szybko pan Monk pracuje, jeśli tylko potrafi jasno myśleć. Mógłby wykryć sprawcę tej zbrodni, zanim wieść o niej dotarłaby na kontynent. Jeśli jednak coś go rozprasza... cóż, śledztwo może się ciągnąć tygodniami, a zła prasa na temat hotelu, czego nie da się uniknąć, rozniesie się po świecie. Kto wie, jak to wpłynie na rentowność pańskiego hotelu.

- Rozumiem. - Kamakele przygryzł wargi. - Myślę, że uda się nam to jednak załatwić. Co państwo powiecie na przeprowadzkę do bungalowu zajmowanego wcześniej przez panią Helen Gruber? To dom całkowicie wyodrębniony; nie będzie pan w budynku ze zwiniętymi ręcznikami. Pańskie ręczniki będą tam oczywiście składane.

- Ale to zamknięte przez policję miejsce zbrodni-

- Już nie. Dzisiaj rano policja oficjalnie zwolniła apartamenty.

- Niestety nie stać nas na opłatę pięciu tysięcy dolarów za dobę - powiedziałam. - Ani, prawdę mówiąc, na nic o wiele tańszego.

- Ludzie, których rzeczywiście stać na takie opłaty, i tak nie będą chcieli mieszkać w miejscu, gdzie popełniono morderstwo - tłumaczył Kamakele. - Obawiam się, że bungalow będzie stał pusty, dopóki gruntownie go nie odnowimy i nie wystawimy do wynajęcia jako nowego lokum. Możecie go zająć za tę samą sumę, jaką płacie teraz za pokoje.

Spojrzałam na Mońka, nakazując mu wzrokiem, by koniecznie przystał na propozycję.
Monk się zgodził.

- Świetnie - ucieszył się Kamakele. - Natychmiast każę przenieść państwa rzeczy.

- Czy znał pan osobiście panią Gruber? - zapytał Monk.

Kamakele przytaknął.

- Odesłano ją raz do mnie z recepcji. Pani Gruber doprowadzała ich do białej gorączki. Twierdziła, że słyszy jakieś głosy. Może i słyszała, ale jestem pewien, że we własnej głowie. Takie incydenty są bardzo przykre.

- Zaproponował jej pan przeprowadzkę?

- Tak. Bungalowy były jednak zajęte, więc zaproponowałem jej apartament w hotelu, ale odmówiła. Stwierdziła, że skoro w bungalowie są takie hałasy, to co dopiero w budynku.

- Znał pan również jej męża? - zapytał Monk. - Rozmawiał pan z nim kiedyś?

- Wymieniliśmy zwykłe grzeczności, kiedy przyjmowałem go z żoną w hotelu, a potem odwiozłem ich do bungalowu i wręczyłem im butelkę naszego najlepszego szampana. Nigdy potem nie rozmawialiśmy, ^e odniosłem wrażenie, że są w sobie bardzo zakochani.

- Wspomniał pan, że pracował w San Francisco - Powiedziałam. - Znał tam pan Dylana Swifta?

- Nieraz prowadził w hotelu Belmont swoje seminaria. Kiedy przyjechałem na Kauai, aby nadzorować przebudowę hotelu dla nowego właściciela, i kiedy się dowiedziałem, że mają dobudować studio produkcyjne, zrobiłem wszystko, aby nakłonić Dylana do nagrywania części swojego programu właśnie tutaj.

- Po co? - zapytał Monk z ewidentną dezaprobatą w głosie.

- Żeby wnieść coś żywego do naszego nowego studia, które zwykle jest wykorzystywane do produkcji programów promocyjnych i reklam naszego kompleksu hotelowego - odpowiedział Kamakele. - Nie tylko czerpiemy korzyść z oczywistego rozgłosu, ale blisko jedna trzecia gości przyjeżdża do nas wyłącznie po to, by wziąć udział w sesji nagraniowej lub uczestniczyć w jednym z seminariów Swifta. Natomiast Dylan ma zapewnioną wymarzoną scenerię do programu. Pozostałą część nagrywa już w San Francisco. Właśnie w poniedziałek tam odlatuje.

- Wierzy pan, że Swift rozmawia ze zmarłymi? - zapytałam.

- Pięć lat temu zmarł mój ojciec. Dzięki Dylanowi wciąż mogę z nim co tydzień porozmawiać.

Monk i drugie spotkanie z medium

Nie rozumiem ludzi patrzących niechętnym okiem na nocleg w pokoju, w którym ktoś zmarł, lub na kupno domu, w którym popełniono morderstwo. Każdy dom ma swoją historię - w jego ścianach życie się rodziło, upływało i przemijało. W końcu, hm... takie jest życie.

Najbardziej dziwi mnie fakt, że ci sami ludzie, którzy nigdy nie postawili nogi w domu, gdzie ktoś umarł, bez większego zastanowienia potrafią zamieszkać na klifie w strefie osuwających się zboczy. Albo w lesie podatnym na pożary. Albo w wieżowcu zbudowanym na uskoku sejsmicznym. Albo na osiedlu jednorodzinnych domków, położonym na równinie narażonej na częste powodzie. Albo w sąsiedztwie toksycznego wysypiska śmieci.

Bagatelizują zagrożenia dla pięknego krajobrazu, ustronnego miejsca, dobrego stylu, szybkiego dojazdu do miasta albo dobrej ceny.

Ale nie ja. Ja nie miałam żadnych problemów z tym, żeby się cieszyć dekadentckimi luksusami prywatnego bungalowu nad oceanem, w cenie pięciu tysięcy dolarów za dobę, w którym zginęła Helen Gruber.

Trzeba oddać Monkowi, że on również ich nie miał.

Oczywiście, ktoś powie, że ciało pani Gruber znaleziono w jacuzzi z dala od domu. Ale nie będę też miała oporów, żeby pójść się popluskać do jacuzzi, choć tak w nim usiądę, by mieć na oku palmę. Tak, wiem, że kokos nie spadł na Helen Gruber przypadkowo z drzewa - została nim uderzona przez zabójcę (którym, założę się, był jej mąż, bez względu na swoje żelazne alibi) w kuchni - ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Monk wprowadził się do jednego z pokoi gościnnych bungalowu, więc ja zajęłam główny apartament z osobną marmurową łazienką, w której znajdowało się drugie jacuzzi. Przebrałam się w bikini i już zamierzałam się zanurzyć w basenie należącym do bungalowu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Miałam nadzieję, że to obsługa hotelowa. Może postanowiono nas również powitać butelką markowego szampana, choć nie płaciliśmy za bungalow oficjalnej ceny?

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam Dylana Swifta. Tym razem wcale się do mnie nie uśmiechał.

- Witaj, Natalie. Czy jest pan Monk?

To by było na tyle z prywatnością w bungalowie, pomyślałam.

- Skąd pan wie, że tu mieszkamy?

- Zajmuję sąsiedni bungalow i widziałem, jak się wprowadzacie. Naprawdę muszę porozmawiać z panem Monkiem. Duchy nie dadzą mi minuty spokoju, dopóki nie przekażę mu ich wiadomości.

- Już mu je przekazałam.

- Mam ich dużo więcej. Helen Gruber dzień i noc przesyła mi doznania i obrazy. W próbach dotarcia do pana Mońka jest nieugięta.

- Traci pan czas. I tak panu nie uwierzy, a ja również nie, tego może pan być pewien. Wiem, jak wyciągnął pan ze mnie informacje o Mitchu, i zapowiadam panu, że drugi raz taka sztuczka się nie uda.

W tej chwili z pokoju wyszedł Monk ubrany jak co dzień.

- To ten człowiek, który rozmawia ze zmarłymi ludźmi?

- Właśnie ten.

Swift potraktował moje słowa jako zaanonsowanie jego osoby i wkroczył do środka pewnym krokiem, jakby wychodził na scenę przed publiczność. Wyciągnął do Mońka rękę.

Monk jednak jej nie uścisnął.

- Nie podaję często ręki na powitanie. Zwłaszcza łgarzom i hochsztaplerom.

- Jestem łgarzem czy hochsztaplerem?

- Jednym i drugim.

- Wcale się nie dziwię, że nie wierzy pan w moje zdolności, panie Monk. Przeciwnie, pański sceptycyzm nawet mnie cieszy.

- Czyżby?

- Jest pan detektywem, pańska praca opiera się na faktach. Ma pan analityczny umysł. Nie obchodzi mnie, czy uwierzy pan w to, co powiem, czy nie. Rozważy pan tylko informacje, które wydadzą się panu użyteczne, to wszystko, o co proszę.

- Ma pan słuszność - powiedział Monk. - Rozważając kłamstwa, często docieram do prawdy.

Monk spojrzał na mnie, zauważył, że jestem w bi - kini, i natychmiast odwrócił wzrok. Wróciłam do apartamentu po szlafrok, ale wciąż słyszałam ich rozmowę.

- Czy przydało się panu coś z tego, co wczoraj powiedziałem Natalie?

- Nie - odpowiedział Monk.

- Może tym razem się poprawię.

Swift minął Mońka i wyszedł do ogrodu za bungalowem. Wydawało się, że jacuzzi przyciąga go jak magnes. Włożyłam szlafrok i wyszłam za nimi na zewnątrz.

- Doświadczenie nauczyło mnie, że szybciej udaje się nawiązać kontakt z duchem, jeśli ludzie przynoszą rzeczy osobiste zmarłej osoby.

- Nie wątpię - stwierdził Monk. - Dzięki temu o wiele łatwiej budować domniemania. To wydatnie zmniejsza wysiłek, który musi pan włożyć w wydobycie informacji i przedstawienie ich jako wielkiego objawienia.

- Rzadko kiedy mam okazję stanąć w miejscu, w którym zmarła osoba straciła życie - mówił dalej Swift, nie zważając na słowa Mońka. - To tak, jakby stanąć w progu przejścia na drugą stronę.

Zamknął oczy, wyciągnął ręce i zaczął drżeć. Po chwili otworzył oczy, podniósł głowę, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i wrócił do domu.

- Jest pan pewien, że rzeczywiście zginęła w jacuzzi?

- Nie mówiłem, gdzie zginęła.

- Mam wrażenie, że to się stało w środku.

- Niech pan zapyta Helen, gdzie to się stało.

- To nie jest takie proste - odparł Swift.

- Oczywiście, że nie - stwierdził Monk. - Taki rodzaj klarowności i konkretyzacji nie pozostawiałby panu wiele miejsca na wykręcenie się z pomysłów.

- Do świata duchów przykłada pan prawa świata cielesnego. To tak, jakby kazać rybie oddychać na powietrzu, nie w wodzie. Nie sposób tak po prostu przenieść tam naszych oczekiwań i naszych praw fizyki. W ich świecie wszystko jest inne, nie wyłączając tego, jak się komunikują. Nie potrzebują słów, by wyrazić myśl.

- Cóż za wygoda dla pana - stwierdziłam.

- Prawdę mówiąc, dla mnie bardziej jest to frustrujące niż wygodne, Natalie. Podobnie dla duchów. To zupełnie co innego niż czytanie listu czy tłumaczenie z chińskiego na angielski. To o wiele bardziej skomplikowane. Wyobraź sobie, że stoisz przy autostradzie i próbujesz usłyszeć, co mówią ludzie w mknących samochodach. Tak to mniej więcej wygląda. Dlatego aby przesłać to, co pragną wyrazić, zmarli usiłują wykorzystać obrazy, doznania i emocje, ale nawet one nie są do tego najlepsze.

- Wygląda, że ma pan mnóstwo wymówek, uzasadniających pańskie niejasności i brak precyzji - powiedział Monk. - I pozwalających uniknąć zarzutu oszustwa.

Swift stanął w progu kuchni i machnął przed sobą ręką, jakby odgarniał pajęczyny lub rozwiewał dym.

- Tutaj zmarła. Wyczuwam chłód, bardzo ciasną przestrzeń.

- Leży w szufladzie w kostnicy - powiedziałam. - Trudno o chłodniejsze i ciaśniejsze miejsce.

- Widzę kwiat, różę, z kolców kapie krew, ale nie wiem, co te obrazy mogą znaczyć.

- Jeśli myśli pan, że Natalie albo ja pośpieszymy panu z wyjaśnieniem, niech pan pomyśli jeszcze raz - powiedział sucho Monk. - Nie jesteśmy prostakami. Wiemy, na czym to polega.

- O zabójstwo podejrzewacie męża, prawda? - powiedział Swift.

- Mąż jest zawsze pierwszym podejrzanym, gdy małżonka zostaje zamordowana - stwierdził Monk. - Trudno to nazwać genialnym odkryciem.

- Helen również go podejrzewa. Wyczuwam jej niechęć, czuję jej złość. Były jakieś kłótnie, bardzo gwałtowne, dotyczące niewierności. Ale w ostatnich dniach odnalazła spokój. Kochała Hawaje. Kochała miejscowych ludzi i tutejszą kuchnię. Helen lubiła ulegać zmysłom, zwłaszcza gdy chodziło o jedzenie. Codziennie przynosiła do domu świeże ananasy i ciasto.

- Takie rzeczy mógł pan zaobserwować z okna swojego bungalowu - zauważył Monk.

- Nie musi pan zaglądać w zaświaty.

Swift westchnął wyczerpany.

- Panie Monk, akceptuję, że pan mi nie wierzy, ale nie musi pan za każdym razem zaprzeczać wszystkiemu, co mówię. Niech pan mnie słucha albo nie. Pański wybór.

- Wybór jest prosty; wolę nie słuchać. Uważam pana za oszusta, który dla zysku wykorzystuje słabe punkty innych ludzi. To jest przestępstwo.

- Czyje słabe punkty wykorzystuję w tej chwili?

- Jej. - Monk spojrzał na mnie.

Byłam zaskoczona.

- Natalie, czy masz jakieś słabe punkty? - zapytał mnie Swift.

Już chciałam powiedzieć, że nie, gdy zdałam sobie sprawę, że to nieprawda.

- Tak, kiedy chodzi o mojego męża.

- Nie powinnaś.

Miałam ochotę trzasnąć go w policzek.

- Pan nie ma prawa mówić mi, co powinnam czuć. Nic pan nie wie ani o nim, ani o mnie.

- Wiem, że Mitch uciekał, ale nie dlatego, że się bał. Chciał odciągnąć serbski patrol od rannych członków swojej załogi. Aby ich uratować, uczynił z siebie cel dla wroga. Wyczuwam jego poczucie obowiązku, poczucie odpowiedzialności za ludzi.

Zaczęłam się trząść, czułam, że znowu dostaję g?? siej skórki. W słowach Dylana Swifta zdawała się brzmieć nuta prawdy. Mitch zawsze przedkładał służbę ponad wszystko, ponad Julie, mnie czy siebie. Jego instynkt nie kazałby mu ratować siebie w pierwszej kolejności; kazałby mu ratować załogę.

Ale skąd Swift mógł o tym wiedzieć? Skąd mógł cokolwiek wiedzieć na ten temat? Nic, co ode mnie usłyszał, nie pozwalało mu wysnuwać takich wniosków. Wyglądało to tak, jakby był tam wtedy na miejscu, w Kosowie. Albo...

Nie, to niemożliwe. Racjonalnie rzecz biorąc, wiedziałam, że to niemożliwe. Ale emocjonalnie i fizycznie czułam, jakby Mitch był z nami, jakby wyciągał do mnie rękę. Wyczuwałam jego obecność.

Mój wyraz twarzy musiał zdradzać, co czuję, bo Monk spojrzał na mnie i zaczerwienił się ze wściekłości. Nigdy wcześniej nie widziałam tak zagniewanego Mońka. Ale nie wyraził swojego gniewu przez krzyk. Odwrócił się do Swifta i przemówił niskim, bardzo zrównoważonym tonem: - Proszę wyjść - powiedział. - Natychmiast.

- Nie, chwileczkę - powiedziałam, patrząc Swiftowi prosto w oczy. - Dlaczego zatem załoga twierdziła, że Mitch stchórzył? Przecież oddał za nich życie. Dlaczego nie powiedzieli dowództwu, że Mitch był bohaterem?

- Nie rozumieli tego. Widzieli tylko, jak ucieka. Tak mi to przedstawia Mitch. Nie zatrzymał się, żeby wyjaśnić, co zamierza zrobić. Po prostu to zrobił. Nie wyczuwam, by Mitch ich winił za mylne odczytanie Jego intencji. Ty też nie powinnaś. On chce, żebyś dała temu spokój.

Usiadłam na skraju kanapy. Serce łomotało mi jak szalone. Oczy wypełniły się łzami.

Monk chwycił Swifta mocno pod ramię, podprowadził go pod drzwi i otworzył mu je szeroko.

- Niech pan tu nie wraca.

- Nie zrobiłem jej nic złego, panie Monk. Wlałem w nią spokój. To samo mogę dać panu.

Monk wypchnął go za próg i zatrzasnął drzwi. Wszedł do kuchni, patrząc na swoje dłonie.

- Chusteczka - powiedział.

Chlipnęłam, podniosłam się i poszłam do pokoju po torebkę. Wyjęłam z niej dwie chusteczki i podałam je Monkowi, który zaczął wycierać ręce z takim zapamiętaniem, jakby były powalane błotem. Wydawało się, jakby chciał zmyć z nich coś więcej niż tylko zarazki. Próbował zmyć całe to zdarzenie.

- A jeśli pan się myli? - powiedziałam. - Jeśli on rzeczywiście może rozmawiać ze zmarłymi?

- Nie może - odpowiedział Monk. - Mówi to, co chcesz usłyszeć. Nic poza tym.

- Ale to, co się stało z Mitchem w Kosowie, było poufne, ta sprawa nigdy nie ujrzała światła dziennego. Akta są zapieczętowane i tajne. Swift nie byłby w stanie dowiedzieć się tego wszystkiego w tak krótkim czasie. To po prostu niemożliwe.

- A rozmowa ze zmarłymi jest możliwa, tak?

- Dobrze. Też jest niemożliwa. W takie razie, panie Monk, niech mi pan powie, skąd Dylan Swift wiedział, co się stało z Mitchem w Kosowie?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział Monk. - Ale się dowiem.

16

Monk i fistaszki

Po przygodzie ze Swiftem musiałam uciec od Mońka, od bungalowu, od wszystkiego. Chciałam przewietrzyć głowę, więc poszłam na plażę. Wskoczyłam do wody, popłynęłam pod fale, a potem położyłam się na plecach i szeroko rozłożyłam ramiona i nogi.

Wpatrywałam się w nieskończone błękitne niebo i unosiłam się na wodzie, daleko od brzegu, daleko od swoich kłopotów, daleko od siebie samej.

Niebawem w ogóle przestałam myśleć. Stałam się częścią morza i nieba, niczym więcej. Nie wiem, jak długo tkwiłam w tym stanie, ale nagle zaczęłam sobie zdawać sprawę z czyjejs obecności. Odwróciłam głowę i zobaczyłam unoszącą się tuż obok mnie na powierzchni wody fokę, która przyglądała mi się zaciekawiona szczenięcymi oczami.

Nie wystraszyłam się. Czułam się całkowicie odprężona i foka chyba też. Dryfowałyśmy tak przez kilka chwil, patrząc na siebie, a potem foka odwróciła się na brzuch, zniknęła pod wodą i przepłynęła pode mną gdzieś w głębinę.

Poleżałam jeszcze na wodzie przez parę minut, P°tem popłynęłam do brzegu - po prostu pozwoliłam ponieść falom aż na plażę. Ależ to było cudowne! anim się obmyłam pod plażowym prysznicem i wró - 1 am do bungalowu opalona i odprężona, jeszcze raz zanurzyłam się w wodzie i poskakałam przez fale jak mały dzieciak.

Wróciłam do bungalowu, gdzie nie zastałam Mońka. Wzięłam jeszcze jeden natrysk, posmarowałam mleczkiem zaczerwienioną od słońca skórę i ubrałam się w szorty i bezrękawnik.

Kiedy wyszłam z pokoju, za oknami lał rzęśisty deszcz. Przesuwane drzwi na patio wciąż były szeroko otwarte i do suchego wnętrza wpływało świeże, wilgotne, ciepłe powietrze. Było to bardzo przyjemne, choć rzeczy przykleiły mi się do ciała i wszystko zaczynało mnie swędzieć.

Monk już był z powrotem. Siedział przy stole w kuchni, odwrócony do mnie plecami, przed stołem orzechowych łupin. Podeszłam do niego i zauważyłam, że rozłupał niemal całą

torebkę fistaszków. Najwyraźniej, kiedy ja się wybrałam na plażę, Monk się wybrał do pobliskiego sklepu spożywczego. Znając go, szybko się domyśliłam, że zakupy zabrały mu (jak również sprzedawcom) trochę czasu. Kusilo mnie, żeby pójść do sklepu i zobaczyć, jak Monk poukładał owoce, warzywa, wędliny i resztę produktów.

- Co pan robi? - zapytałam.

- Pomyślałem, że może będziesz miała ochotę na partyjkę fistaszków - odparł.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam naprzeciw niego.

- Pan czyta w moich myślach. Jakie są zasady gry?

- Nigdy nie grałaś w fistaszki?

- Wiodłam życie pustelnika.

- To pozornie prosta gra. Trzeba dopasować orzeszki do łupinek. Wygrywa ten, kto złoży więcej fistaszków.

- Jak pan to robi, że ich pan nie je?

- Właśnie ta pokusa sprawia, że gra staje się tak niesamowicie wciągająca.

Monk rozłupał ostatniego orzeszka.

- Może zechcesz pomieszać orzeszki i łupiny?

- Zaufam panu.

Monk ostrożnie przesunął oba osobne stosy na środek stołu.

- Uwaga. Do startu. Gotowi. Hop!

Jego dłonie zaczęły się poruszać tak szybko, że w pierwszej chwili patrzyłam zauroczona, jak sprawdza różne kombinacje orzeszka i łupiny. Niebywałe, z jaką prędkością je sortował. Dopiero po dłuższej chwili sama zaczęłam szukać par. Wzięłam do ręki pierwszego lepszego orzeszka, potem jakąś łupinkę. Nie pasowały do siebie. Spróbowałam drugą łupinkę i też nie pasowała.

Rzuciłam okiem na Mońka. Udało mu się dopasować już kilka orzeszków.

Uśmiechnął się do mnie.

- Świetna zabawa, prawda? - zapytał.

- Chyba aż nadto podniecająca - odpowiedziałam.

Jak on to robił? Zastanawiałam się, czy jest to kwestia pamięci czy raczej zręczności w dopasowaniu orzeszka do łupinki. Zjadłam swojego fistaszka i spróbowałam szczęścia z następnym.

- Chciałabym zadać panu osobiste pytanie - powiedziałam. - Ale jeśli pan uzna, że jest nie na miej - Scu, proszę powiedzieć. Nie będę urażona.

- Możesz pytać, o co chcesz - odpowiedział Monk, z zajęciem żeniąc łupiny z orzeszkami, uszczęśliwio - ny swoim wyzwaniem.

O śmierci Trudy wiem tylko tyle, że zginęła od Obuchu bomby podłożonej w samochodzie. Chciałabym pomóc panu dowiedzieć się czegoś więcej. Ale trochę jestem w tym zagubiona.

- Ja również.

Wiedziałam, że Trudy była dziennikarką i kiedy zginęła, miała się spotkać z kimś na jakimś parkingu. Nic więcej.

- Chciałabym wiedzieć tyle co pan - powiedziałam. - Na wszelki wypadek. Gdyby wyszły jakieś nowe okoliczności, łatwiej byłoby mi zrozumieć, co znaczą i jak mogą doprowadzić do osoby, która podłożyła bombę.

- Wiem, kto ją podłożył - powiedział Monk.

- Wie pan? - Wrzuciłam fistaszka do ust i sięgnęłam po następnego.

Przy Monku z każdą sekundą rósł stos z dopasowanymi fistaszkami.

- Warwick Tennyson. Odnalazłem go w Nowym Jorku. Skonstruował bombę z zapalnikiem uruchamianym przez telefon komórkowy i podłożył ją w samochodzie.

- Dlaczego to zrobił?

- Dla dwóch tysięcy dolarów w gotówce. Tyle było dla niego warte życie Trudy. Tennyson nie wiedział, kto mu zlecił robotę. Spotkał się z tym człowiekiem tylko raz, na tym samym parkingu. Było ciemno. Am razu nie widział twarzy. Widział tylko jego ręce. Ten, kto chciał śmierci Trudy, miał u prawej ręki sześć palców.

- Sześć palców? - Byłam zaskoczona. - Musiał kła - mać.

- Ja mu wierzę - odpowiedział Monk.

- Chyba nie ma zbyt wielu ludzi z sześcioma p[^] cami u ręki.

- Zdziwiłabyś się - powiedział Monk. - Wis[^] szość z nich je amputuje, żeby nie wyglądać na świrusa.

- Może akurat ten chciał wyglądać na świrusa?

- Albo może był żartownisiem i szósty palec był sztuczny? Może założył go sobie tylko tamtego dnia, wiedząc, że przyciągnie uwagę Tennysona i zmyli śledczych?

- Co się stało z Warwickiem Tennysonem?

- Zmarł na raka - powiedział Monk.

- W więzieniu?

Monk potrząsnął głową.

- Jako wolny człowiek. Zmarł dwa dni po naszej rozmowie w szpitalu. Można powiedzieć, że wyznał mi wszystko na łożu śmierci.

- Dobrze chociaż to, że morderca Trudy nie żyje, a ostatnie dni minęły mu w bólu i cierpieniu.

- Tennyson zbudował bombę, ale to nie on wykonał telefon, który ją zdetonował - powiedział Monk. - Zrobił to ten, który go wynajął. To on jest mordercą.

- Czy Trudy miałyby do powiedzenia coś, co pomogłoby go wytropić?

Monk przestał dopasowywać fistaszki i spojrzał na mnie.

- Duchy nie przemawiają z zaświatów. Dylan Swift jest szachrajem.

- Dobrze, ale dla dobra naszej dedukcji, czysto hipotetycznie, powiedzmy, że Swift mógłby z nią porozmawiać - ciągnęłam. - Jakich wskazówek by pan od niej oczekiwał?

~ Jak mam dalej żyć bez niej.

~ Mam na myśli kwestię zabójstwa.

Monk wzruszył ramionami i przechylił głowę raz w jedną, raz w drugą stronę.

~ Mogłaby mi powiedzieć, po co pojechała na parking, z kim miała się tam spotkać i nad jakim reportażem pracowała.

- Co nam szkodzi zapytać o to Swifta?

- Sama mi powiedz - odpowiedział Monk. - Szkodzi?

- To trochę tak, jakbym drugi raz przeżyła utratę bliskiej osoby. To znowu boli - odpowiedziałam. - Ale teraz właściwie czuję się lepiej.

- Jednak nic się nie zmieniło.

- Może ja się zmieniłam.

- Swift powiedział ci tylko to, co pragnęłaś usłyszeć i wziąć za prawdę.

- I cóż z tego? - powiedziałam. - Być może właśnie tego było mi trzeba? To, że marynarka twierdzi, że Mitch był tchórzem, wcale nie znaczy, że rzeczywiście nim był. Ja lepiej niż ktokolwiek wiem, jakim Mitch był człowiekiem. Swift mówił prawdę o tym, co się zdarzyło w Kosowie.

- Tego nie wiesz.

- W głębi serca wiem - odparłam. - Potrzebny był tylko ktoś, kto by mi to głośno powiedział. Czy Swift to sobie wymyślił czy nie, wierzę w to.

Monk połączył jeszcze dwa fistaszki z lupinami i teraz dopiero spostrzegł, że na stole zostało kilka samotnych lupinek.

Nie miałam przed sobą ani jednego złożonego fi - staszka. Prawdopodobnie podczas rozmowy z Mon - kiem jadłam orzeszki, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

- Uups... - powiedziałam. - Pan wygrał.
- Popeliłaś klasyczny błąd nowicjusza - stwierdził Monk. - Uległaś pokusie.
- Będę miała o czym opowiadać wnukom - powiedziałam.

Naraz rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzeliśmy na siebie. Monk zeszywniał cały w jednej chwili, najwidoczniej pewien, że znowu przyszedł Dylan Swift.

- Kto tam? - zapytał głośno.
- Porucznik, braachu - usłyszeliśmy głos Kea - lohy.

Monk odetchnął z ulgą, a ja podeszłam do drzwi, by wpuścić gościa. Choć przestało padać, Kealoha był cały mokry, ale zdawał się tym w ogóle nie przejmować. Wszedł, robiąc wrażenie nieco oszołomionego.

- Widzę, że jak już wchodzicie w śledztwo, to na dobre - powiedział po chwili.
- To nie tak, jak pan myśli... - zaczęłam tłumaczyć.
- To znaczy, że nie wprowadziliście się do bungalowu tej zamordowanej kobiety?

- Oczywiście tak, ale nie z powodów, które miałyby cokolwiek wspólnego z morderstwem - wyjaśniłam. - Chodzi o to, że pan Monk nie może spać w hotelu, w którym we wszystkich pokojach ręczniki są zwijane, a tylko w jego pokoju składane. Tymczasem hotel nie mógł wynająć tego bungalowu z powodu morderstwa, a skoro stoi pusty, a wszystkie ręczniki są złożone tutaj w kostkę, no... to się wprowadziliśmy.

Kealoha patrzył na mnie długo.

- Tak pani mówi, jakby rzeczywiście rządził tym jakiś rozsądek.
- W tym jest taki Monkowy rozsądek.
- To zdrowy rozsądek - stwierdził Monk. - Dobrze to wiecie, tylko chcecie się ze mnie ponaigrawać.

- Co nowego, poruczniku? - Zmieniłam temat.

- Mam trochę nowinek o Roxanne Shaw - powiedział Kealoha. - Pracuje jako stylistka w salonie fryzjerskim w Cleveland. Miałam dziwne przeczucie i kazałam też sprawdzić transakcje kart kredytowych Helen Gruber. Przez ostatnie parę lat regularnie odwiedzała Różę dwa razy w tygodniu.

- Różę?! - Spojrzałam znacząco na Mońka, ale on zupełnie mnie zignorował.
- To nazwa salonu fryzjerskiego, w którym pracuje Roxanne - wyjaśnił Kealoha.

Róża, z której koleców kapie krew, była przecież obrazem, którym Helen Gruber komunikowała się ze Swiftem - w każdym razie tak utrzymywał. Wciąż byłam nastawiona do niego sceptycznie, ale coraz mniej z każdą jego opowieścią, która się okazywała prawdą.

- Jest więc pewne, że Lance'a i Roxanne coś łączyło, zanim jeszcze przyjechali na Hawaje - powiedział Monk.

- To jeszcze nie czyni z nich morderców - zauważył Kealoha.

- Lance żeni się z bogatymi kobietami, aby po ich śmierci przejąć majątek - powiedziałam. - Mając romans z Roxanne, oszukiwał żonę. Co by było, gdyby Helen się o niej dowiedziała?

- No co? - zapytał Kealoha.

- Rozwiodłaby się i nic mu nie zostawiła. Naprawdę trudno o lepszy motyw - stwierdziłam, sięgając po cały zasób swojego wątego doświadczenia śledczego w sprawach o morderstwo.

- Obarcza go tak mocny motyw zabójstwa, że musiałby być idiotą, gdyby rzeczywiście chciał ją zabić - powiedział Kealoha.

- Albo musiałby mieć doskonałe alibi - dodał Monk.

- I ma - stwierdził Kealoha. - Obecnie skupiamy się na hipotezie, że Helen Gruber zamordował włamywacz, który nie miał zamiaru jej zabić, a tylko ogłuszyć.

- Macie już podejrzanych? - zapytał Monk.

- Jeszcze nie. Zgarniemy wszystkich znanych nam na wyspie opryszków i coś z nich wyciśniemy. Może nasz listonosz zna włamywaczy z rewiru Poipu i ich sypnie, idąc z nami na układ.

- Dlaczego rabuś miały ryzykować włamanie do bungalowu, wiedząc, że ktoś przebywa w środku? - zapytał Monk. - Jeśli zaszedł od strony bocznego ogrodu, to widział panią Gruber w kuchni. Mógł spokojnie odejść.

- Może uznał, że łup jest wart ryzyka?

Monk potrząsnął głową.

- Coś mi tu nie gra.

- Mnie wszystko gra. To moje śledztwo. Jestem panu wdzięczny, panie Monk, za wszelką okazaną pomoc. Bardzo miło było was poznać. - Uścisnął mi rękę, a potem Monkowi. - Dam wam znać, jak to się skończyło. Korzystajcie z reszty wakacji. Aloha\

- Aloha - odpowiedziałam.

Kealoha uśmiechnął się na pożegnanie i wyszedł. Monk zmarszczył mocno brwi i poruszył niezgrabnie ramionami.

- Róża? zaczęłam. - Znowu Swift. Wiedział o salonie fryzjerskim, zanim usłyszał o nim Kealoha.

- Wcale się nie dziwię. Dylan Swift wiedział o Roxanne Shaw długo przed nami i miał więcej czasu, aby dokładnie ją sprawdzić.

- Jakoś nigdy nie pomyślał pan, że Dylan Swift rzeczywiście może się kontaktować ze zmarłymi?

- Jakoś nie. Właściwe okazuje się zwykle to najprostsze i najbardziej oczywiste rozwiązanie.

- W takim razie Lance Vaughan i Roxanne Shaw nie mają nic wspólnego z morderstwem Helen Gruber.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo taki jest najprostszy i najbardziej oczywisty wniosek, wzięwszy pod uwagę ich żelazne alibi. Ale przecież z tym się pan nie zgadza, prawda?

Monk się skrzywił.

- Przestało padać. Chodźmy na spacer.

Nie byłam medium i nie kontaktowałam się z duchami ze świata zmarłych, ale z absolutną pewnością potrafiłam odgadnąć, dokąd Monk zaciągnie mnie na spacer.

Monk idzie na spacer

Oto, czego się nauczyłam o zachodach słońca na Hawajach: Kiedy człowiek myśli, że właśnie zobaczył najpiękniejszy w życiu zachód słońca, złotą kulę opadającą wolno za podpalane, bursztynowe pręgi chmur, to nazajutrz widzi jeszcze piękniejszy zachód słońca; z cudownymi smugami purpury na kobaltowym niebie.

Kiedy wyszliśmy z Monkiem z domu, zapadał zmierzch. Trzeci zachód słońca na Hawajach zaparł mi dech w piersiach równie gwałtownie jak dwa poprzednie. Niebo było różowe. Słońce i żółte chmury zdawały się płynąć po ciemnopurpurowych bałwanach oceanu niczym ławica delfinów, wyskakujących nad wodę, by pochwycić ostatnie tego dnia słoneczne promyki.

Na plaży i na murku wzdłuż Hoonani Road, przed „Ustroniem wielorybnika”, stali turyści i mieszkańcy wyspy, by obserwować zachód słońca i zachować ten widok na wieki - jeśli nie w pamięci, to utrwalony na fotografii lub filmie wideo - dzięki czemu w szarych komórkach zostanie im więcej miejsca na kody do bankomatów i hasła dostępu na witrynach internetowych.

Staliśmy na murku, patrząc na zachód słońca, ale - działałam, że Monk o wiele bardziej zainteresowany jest domkiem Roxanne Shaw, stojącym za naszymi plecami. Jednak żaluzje w jej oknach znowu były spuszczone, co zniweczyło jego szpiegowskie próby.

Kiedy tarcza słońca miała już zniknąć za horyzontem, z hotelu Grand Kiahuna Poipu wybiegł Hawaj - czyk z nagim torsem, dzierżąc wysoko w ręku zapaloną pochodnię. Wbiegł na skały wulkaniczne wrzynające się daleko w zatokę. Z ukrytych głośników, przemyślnie rozstawionych na terenie hotelu, popłynęła hawajska pieśń, śpiewana w rodzimym języku i wygrywana rytmicznie na instrumentach perkusyjnych. Nie miałam zielonego pojęcia, o czym mówi pieśń, ale byłam głęboko przekonana, że o czymś bardziej wzniosłym i duchowym niż Baby One More Time.

Mężczyzna z pochodnią biegł po ostrych i śliskich skałach tak zwinnie, że wydawał się jakąś niezmierną postacią. Zatrzymał się dopiero na samym końcu cypla, zapalił pochodnię zainstalowany tam na stałe znicz, a potem wskoczył w morskie fale. Miał to być symboliczny wyraz wiary, że w tym miejscu dusze zmarłych skaczą do drugiego świata (przyznaję, czytałam o tym w przewodnikach turystycznych).

Jeśli to prawda, to być może decyzja Swifta, by nagrywać swój program w Grand Kiahuna Poipu, była czymś więcej niż tylko posunięciem marketingowym. Skoro faktycznie rozmawia z duchami, to dobrze było umieścić studio nagrań obok wielkich wrót prowadzących do królestwa zmarłych.

Ciemność zapadła bardzo szybko. Miałam ochotę postać dłużej, ale Monk się zaczął niecierpliwie i nie oglądając się na mnie, ruszył w kierunku „Ustronia wieloryb nika”.

Dogoniłam go po krótkiej chwili.

- Co pan taki nerwowy? - zapytałam.

- Morderstwo tak mnie zmienia.

- Wie już pan, że to zrobił Lance?

- Nie.

- Ale coś pan wie, prawda?

- Zawsze coś wiem, ale to nie dlatego. To raczej kwestia tego czegoś, czego brakuje między tym czymś, co już wiem lub uważam, że wiem, a tym czymś, co jeszcze niczym nie jest, ale jestem przekonany, że niebawem czymś będzie.

Przeraziło mnie, że doskonale rozumiałam, o czym Monk mówi. Nie byłam jeszcze pewna, co to mogło znaczyć dla mojego stanu zdrowia psychicznego i fizycznego, ale czułam, że nic dobrego.

Stanęliśmy pod drzwiami Roxanne. Nie było przy nich dzwonka. Wisiała jedynie płytka ceramiczna z wymalowaną prośbą skierowaną do gości, aby przed wejściem do domu zdjęli obuwie i nie zabrudzili dywanów kurzem z drogi.

Monk zapukał do drzwi. Po dłuższej chwili uchyliła je Roxanne Shaw. Miała na sobie biustonosz bikini i dżinsowe szorty.

- Tak? - zapytała.

- Dobry wieczór, pani Shaw. Nazywam się Adrian Monk, a to moja asystentka Natalie Teeger. Prowadzimy z policją śledztwo w sprawie śmierci Helen Gruber.

- Czyjej śmierci? - powiedziała, próbując przybrać jak najbardziej zdziwioną minę.

- Zony pani kochanka, Lance'a Vaughana vel Cur - t!Sa Pottera. Wiemy, że jest u pani w domu. Koło wy - Cleraczki leżą jego sandały.

Kobieta spojrzała na klapki i zanim zdążyła wymyślić jakieś kłamstewko, zza jej pleców wynurzył się Vaughan, bez koszuli, ubrany jedynie w szerokie, hawajskie spodenki.

Oniemiałam. Zazwyczaj muskularni faceci z sze - ściopakiem na brzuchu nie robią na mnie wrażenia, ale ten był wręcz idealny; umięśniony, ale nie za bardzo. Pozostawał w moich oczach nadzwyczaj atrakcyjnym mężczyzną, dopóki się nie odezwał, a niestety musiał się odezwać. I czar prysł.

- To nie tak - powiedział Lance. - Poznaliśmy się podczas rejsu, a rano wpadliśmy na siebie na plaży. Roxanne zaprosiła mnie na kolację. Nie chciałem zostać sam ze swoim bólem. To wszystko.

- Oszczędź sobie tych kłamstw, Lance - powiedziałam. - Wczoraj wieczorem widzieliśmy was razem. Wiemy, że Roxanne jest z Cleveland i że była fryzjerką Helen Gruber w salonie Róża.

- Znali się jeszcze wcześniej. - Te słowa Mońka były skierowane do mnie. - Lance i Roxanne chodzili ze sobą jeszcze jako nastolatki.

- Skąd pan wie? - wyrwało się Roxanne.

- Boże, Roxy, pomyśl, zanim coś powiesz - warknął Lance. - Przecież on strzela.

- Prawdę mówiąc, ani trochę. Historia waszego życia jest wypisana na tatuażach na waszych ciałach. Na lewym nadgarstku ma pan wytatuowany drut kolczasty, który kazał pan sobie zrobić, jak pan powiedział, w wieku osiemnastu lat, ale na nadgarstku prawym już pan go nie ma.

- Och nie, znowu. Tylko nie to - jęknął Lance.

- Pani Shaw ma drut kolczasty wytatuowany nad prawą kostką - ciągnął Monk. - Tatuaże tworzą całość, która ma symbolizować wasze wieczne przywiązanie.

Spojrzałam na prawą kostkę Roxanne Shaw i baczyłam tatuaż - po raz pierwszy. Postanowiłam sobie, że muszę być o wiele, wiele bardziej spostrzegawcza.

Na ścieżce za nami pojawiła się para młodych ludzi zmierzająca do sąsiedniego domku. W obu rękach dźwigali torby z zakupami. Byli mniej więcej w tym samym wieku co Lance i Roxanne. Ubrani byli w jedwabne hawajskie koszule i szorty.

- Może państwo wejdą - powiedziała do nas Roxanne, otwierając szerzej drzwi i robiąc nam przejście.

Zsunęłam buty i weszłam do środka.

Monk ruszył zaraz za mną, ale Roxanne go zatrzymała.

- Proszę zdjąć obuwie. - Kiwnęła głową w kierunku ceramicznej tabliczki.

- To tylko sugestia - powiedział Monk.

- To wymóg. W mieszkaniu jest biały dywan. Jeśli go pan zabrudzi, będziemy musieli zapłacić za czyszczenie, a niewykluczone, że za wymianę.

- Święta prawda, mogę poświadczyć - odezwała się kobieta z sąsiedniego domku, zrzucając sandały. - U nas są nowiutkie dywany, za które musieli zapłacić poprzedni lokatorzy. Poroznosili piach po całym wnętrzu.

- Nie mam piachu na butach - powiedział Monk.

Mężczyzna postawił torby z zakupami na ziemi i zaczął szukać w kieszeni klucza do domu.

- Owszem, ma pan - powiedział do Monka.

Monk podniósł jedną z nóg i zobaczył na podeszwie czerwony pył z drogi.

- W takim razie wytrę buty - oświadczył i zaczął ścierać buty w matę przed progiem. - Co jak co, ale Ha wycieraniu znam się świetnie.

- To nie wystarczy - stwierdziła Roxanne.

- Wpuszcza pan komary. Niechże pan już ściągnie te buty i wejdzie do środka - zniecierpliwiał się Lance. - Co za problem?

- Ileż w panu jest sprzeczości! - powiedział Monk, wytrwale przeciągając nogą po wycieraczkę. - Upiera się pan przy nieracjonalnym i arbitralnie ustanowionym prawie w kwestii obuwia, ale nie ma pan oporów, żeby się oddawać pospolitemu cudzołóstwu.

Para przy sąsiednich drzwiach spojrzała ciekawie na Lance'a i Roxanne

- Lubią się wymieniać? - zapytała kobieta.

- Nie wiadomo, jak to z nimi jest - odpowiedział Monk, nie przerywając wycierania butów. - Ona wybiera dla niego starsze kobiety, a on z nimi sypia. Nie wiem, czy sama sypia w pobliżu czy nie, ale nie sądzę.

- Może wreszcie wejdzie pan do środka - jęknęła płaczliwym głosem, mocno speszona Roxanne.

- Widzą państwo tatuaż na jej piersi? - zapytał Monk, niemal biegnąc w miejscu po macie; sąsiedzi wychylili ciekawie głowy i spojrzeli na tatuaż. - Serce symbolizuje miłość do Lance'a, a rozpostarte skrzydła to jej przyzwolenie na to, by miał romans.

- Super - stwierdził mężczyzna.

- A wy? - zapytała kobieta, przenosząc wzrok z Monka na mnie i z powrotem.

- My? - odezwałam się. - My nie mamy z tym nic do czynienia.

- Tylko prowadzimy u nich dochodzenie - powiedział Monk, kiwając głową w kierunku Lance'a i Roxanne.

Powoli zaczął sapać z wysiłku od tego wycierania butów.

Kobieta przytaknęła ze zrozumieniem głową.

- Wszystko jasne. Też mielibyśmy ochotę na dochodzenie... u nich.

Monk się uśmiechnął i odwrócił w moją stronę.

- Widzisz? Nie ja jeden to robię w wakacje.

- Wakacje to najlepszy czas na takie rzeczy. - Mężczyzna puścił do mnie oko i otworzył kluczem drzwi. - Kiedy skończycie już w czwórkę swoje sprawy, zapraszamy na drinka. Długo nie kładziemy się spać.

Weszli do domku i zamknęli za sobą drzwi.

- Co za mili ludzie - powiedział Monk. - Rzeczywiście, moglibyśmy później do nich wpaść i porozmawiać o śledztwie.

Być może Monk jest genialnym detektywem, ale bywają chwile, kiedy kompletnie nie rozumie, o co chodzi. Zepchnęłam go z wycieraczki, podniosłam ją i położyłam przed nim na dywanie w środku domu.

- Niech pan wejdzie i stanie na tym - powiedziałam, wskazując na wycieraczkę.

Był to raczej rozkaz niż sugestia.

Monk chyba to wyczuł. Zrobił susa na matę, uważając, by nie dotknąć dywanu. Ze złością zatrzasnęłam za nim drzwi.

- Dobra, o co tu, do diaska, chodzi? - zapytałam.

- Oto, co się stało - powiedział Monk i znowu zaczął wycierać buty. - Lance i Roxanne zakochali się i tworzyli miłą parę, dopóki nie zapanowała nad nimi chciwość. Jakoś poznali Elizabeth Dahl, zamożną wdowę, której Lance wpadł w oko. Dostrzegli wówczas szansę, aby z oczarowania starszej pani wyciągnąć pokaźne pieniądze.

- Może pan już przestać wycierać buty - powieślałam. - Już pan jest w środku. Pewnie nic już panu 1116 zostało z podeszew.

- Och! - Przestał wycierać buty, podniósł wreszcie głowę, poruszył niezgrabnie ramionami i mówił dalej: - Roxanne się zgodziła, aby Lance wziął ślub z panią Dahl, ale pod warunkiem że będzie miała udział w zyskach i że nadal będą się skrycie spotykać

- W pana ustach brzmi to jak tani kicz.

- A nie jest tak? - zapytałam z niedowierzaniem. - Mam wrażenie, że to słowo wymyślono tylko po to, żeby człowiek mógł opisać was dwoje.

- Lizzie dobrze wiedziała, na czym polegał ten układ - odparł Lance.

- Łatwo panu mówić, kiedy ona już nie żyje - stwierdził Monk.

- To nawet był pomysł Lizzie - powiedziała Roxanne. - To ona do nas przysłała i złożyła propozycję. Jeśli podzielę się z nią Lance'em, to ona podzieli się z nami pieniędzmi. Liz dostała tyle, ile chciała. Dzieliła się ze mną ciałem i miłością Lance'a.

- A wy dostaliście za to pieniądze - stwierdziłam.

- Nie było w tym nic bezdusznego - powiedziała Roxanne. - Liz czuła się szczęśliwa.

- Wszyscy byliśmy szczęśliwi - wtrącił Lance. - Żadnych urazów, żadnych wstrętów.

- Dopóki nie umarła i dopóki pieniądze, która wam zostawiła, nie okazały się niewystarczające na ułożenie sobie życia - stwierdził Monk. - Wtedy zaczęliście się rozglądać za kolejną panią, z którą moglibyście wejść w lukratywny układ.

Monk zrobił krok w ich kierunku, ale Roxanne pogroziła mu palcem, jakby był niesfornym dzieckiem. Monk posłusznie wycofał się na swoją wysepkę.

- Przeprowadziliście się do Seattle - ciągnął - gdzie nikt was nie znał i gdzie spokojnie mogliście szukać dla Lance'a nowej zamożnej dobrodziejki chętnej do ożenku. Wasze zawody, osobistego trenera i sty - listki, dawały wam możliwość poznania i sprawdzenia wielu ewentualnych kandydatek. Jak choćby Beatrice Woodman, która zanim stała się klientką Lan - ce'a, a niebawem jego żoną, była z pewnością jedną z klientek salonu fryzjerskiego.

- Wcale tak nie było. Nikogo nie wyszukiwaliśmy. To one mnie szukały - zaprzeczył Lance. - Beatrice była pełną życia, inteligentną kobietą, ale bardzo samotną, dlatego tęskniła do towarzystwa i dawnych namiętności. Wiedziałem, że w sercu znajdę dość miejsca i dla niej, i dla Roxanne. Nauczyła mnie tego Lizzie, a ja czułem, że postępując w ten sposób, oddaję hołd jej pamięci i tamtej szczególnej więzi, która nas łączyła.

- Kiedy jednak Beatrice Woodman zmarła, natychmiast przeprowadziliście się do Cleveland, gdzie znaleźliście kolejną wdówkę do uwodzenia - powiedział Monk. - Cały scenariusz powtórzyliście od początku.

- Proszę, proszę. On jest zatem zawodowym chłopcem do towarzystwa, który mieszka z klientką, a ona jego alfonsem - powiedziałam. - Cóż za romantyczna historia.

- Roxanne to miłość mojego życia - powiedział Lance, otaczając ją władczo ręką w pasie.

- Mimo to żenisz się dla pieniędzy z innymi kobietami - stwierdziłam i spojrzałam z ukosa na Roxanne. - Co też można widzieć w takim łajdaku?

- Współczucie dla innych - odpowiedziała Roxanne. - Serce.

- Święte słowa, kochanie, na które ty również zasługujesz - powiedział Lance. - Roxy pragnie, by starsze kobiety u schyłku życia miały jeszcze okazję doświadczyć radości i namiętności. Uczuć, które ona dzieli ze mną w każdej chwili, a których one nie zaznały. To akt bezinteresownej dobrej woli i za to ją kocham.

- Nie, kochanie, to nie ja, to ty się poświęcasz - powiedziała Roxanne. - I za to ciebie kocham.

Myślałam, że zaraz zwymiotuję. Roxanne pocałowała Lance'a w policzek, a potem spojrzała Monkowi w oczy.

- Jeśli chce pan wiedzieć, to jest aniołowski. -

- Chyba anioł śmierci - odparł Monk.

- Nie mam nic wspólnego z ich śmiercią - zapewnił Lance. - Mam za to wiele wspólnego ze szczęściem, jakiego moje żony zaznały, zanim zeszły z tego świata.

- Wątpię, by Helen Gruber się z tym zgodziła - powiedział Monk.

- Nie zabiłem jej - oświadczył Lance.

- Pan miał największy motyw - zauważył Monk.

- Roxanne jest druga na tej liście - dodałam.

- Kiedy Helen została zamordowana, oboje pływaliśmy katamaranem u brzegów Na Pali - powiedział Lance. - Nie było możliwości, byśmy mogli to zrobić, i dobrze o tym wiecie.

Miałam wrażenie, że Vaughan jest bardzo dumny ze swojego alibi.

- Czy Helen wiedziała, że przywiózł pan na Hawaje swoją ptaszynę i razem się tu zabawiacie?

- Oczywiście - zapewnił Lance. - Helen wszystko wiedziała o Roxanne.

- Wiemy, że pan kłamie - powiedziałam.

- Naprawdę? Skąd?

Bo Helen nam powiedziała, chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język.

- Bo wasza historia to dyrdymały - rzuciłam. - Jeździecie z miasta do miasta, uwodzicie starsze, samotne kobiety, czyścicie im konta bankowe i uważacie, że robicie to z dobrego serca.

- Porucznik Kealoha będzie chciał zamienić z wami parę słów - powiedział Monk. - Na waszym miejscu nie zaczynałbym jeszcze szukać kolejnego miasta i kolejnej starszej pani z dużymi pieniędzmi.

- Nikt bardziej ode mnie nie pragnie, by ująć mordercę Helen Gruber - stwierdził Lance. - Zostaniemy tu, dopóki policja go nie złapie.

Miałam już tak dość tych dwojga, że nie mogłam wytrzymać ani chwili dłużej.

- Zgłoszę was chyba do Fundacji Nobla - rzuciłam, otworzyłam drzwi, wyszłam z domu i zatrzymałam się na ścieżce, by zaczekać na Mońka.

Monk zszedł z wycieraczki, stanął butem na dywanie i podniósł stopę.

- Widzicie? - powiedział. - Wcale nie brudzę.

Odwrócił się, przeszedł spokojnie dwa kroki do progu, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Wierzy pan tym ludziom? - zapytałam, kiedy dołączył do mnie i ruszyliśmy w stronę hotelu.

- Ani jednemu ich słowu, poza tym, że uwodzą starsze kobiety i okradają je z pieniędzy.

- Do zabicia Helen Gruber musieli kogoś nająć - wyraziłam przypuszczenie.

- Nie sądzę - odpowiedział Monk.

- Więc jak tego dokonali? Nie ma wątpliwości, że w chwili zbrodni znajdowali się na katamaranie.

Monk zatrzymał się nagle, odwrócił i spojrzał jeszcze raz na domek.

- Może powinniśmy porozmawiać z tymi drugimi detektywami?

- Jakimi drugimi detektywami?

- Z sąsiadami Lance'a i Roxanne - powiedział

Monk. - Mówili, że chętnie poświęcają wakacje na dochodzenia. Mogliby rzucić nowe światło na nasze śledztwo.

- Nie wątpię. Ale to nie są detektywi. To są swin - gersi.

- Och, ja całkiem nieźle tańczę swinga.

- Panie Monk, oni uprawiają seks z innymi parami. Właśnie to mieli na myśli w rozmowie. Upodobali sobie zupełnie inny rodzaj, że tak powiem, wspólnego dochodzenia.

Monk się skrzywił, jakby rozgryzł coś bardzo kwaśnego, i pomaszerował sztywno do hotelu.

- Co ta wyspa robi z ludzi - powiedział.

- Raczej to balsamiczne powietrze.

Myśl o swingującej parze przypomniała mi o czymś ciekawym, na co zwróciłam uwagę w czasie naszej rozmowy u Roxanne, a co potem umknęło mi w złości na Mońka i jego brudne buty.

Powstrzymałam uśmiech cisnący mi się usta.

- Co pan myśli o piersiach Roxanne?

- Nie zauważam tego rodzaju rzeczy.

- Jednak zauważył pan jej wytatuowane serce ze skrzydłami, więc musiał pan spojrzeć na biust.

- Widziałem tatuaż, ale zamknąłem się na wszystko inne - powiedział. - Wciąż jestem zamknięty.

- Rozumiem. Jak pan sądzi, czy ma naturalne piersi?

- Nie.

- Skąd pan wie?

- Mają nienaturalny kształt, a pod pachami Roxanne są drobniutkie blizny.

- Skoro wszystko to pan zauważył, to konkretnie na co się pan zamknął?

- Na całą resztę.

- Czyli na co?

- Nie wiem - odpowiedział. - Przecież się na to zamykam.

- Nic nie rozumiem - powiedziałam. - Odwraca pan oczy od każdej kobiety w bikini, ale Roxanne obejrzał pan sobie dokładnie od stóp do głów.

- Szukałem tropu - stwierdził Monk. - To inne patrzenie od tamtego patrzenia.

Boże, miej mnie w swojej opiece, bo zrozumiałam dokładnie, co Monk miał na myśli. Szukając rzeczy, które mogą nie pasować mu do całości, tak jak powinny, Monk widział tylko drobne detale - piksele, a nie pełen obraz, na który się one składają.

To właśnie czyniło z niego Mońka. To właśnie czyniło z niego genialnego detektywa.

Całe jego życie podporządkowane było organizacji, symetrii i ładowi. Zagadka kryminalna z natury rzeczy jest nieładem. Do każdego nie wyjaśnionego morderstwa podchodził tak jak do życia: stawiał każdy dowód i każdy fakt na właściwym miejscu, przywracał porządek, a w konsekwencji rozwiązywał tajemnicę zbrodni.

- Ale pan zawsze tak na wszystko patrzy - powiedziałam. - Więc po co odwracać wzrok?

Monk wzruszył ramionami.

- Taki już jestem.

Trudno mi się było z tym nie zgodzić.

- Jest pan skomplikowanym człowiekiem i nikt pana nie zrozumie, poza pana kobietą.

Monk przytaknął.

- To cały ja. W obliczu niebezpieczeństwa nie chowam głowy w piasek.

- Monk - powiedziałam. - Po prostu Adrian Monk.

- Właśnie.

213

212

Monk podziwia widoki

Położyłam się wcześniej spać, zapadając się w pluszowe wygodny łóżka wartego pięć tysięcy dolarów za dobę. Nie mam pojęcia, czy łóżko rzeczywiście było wygodniejsze od tego w pokoju hotelowym. Nie potrafię powiedzieć, czy sprężyny w materacu były ze złota lub czy tapi - cerka miała wsad z puchu rzadkiej peruwiańskiej gęsi, ale doszłam do wniosku, że nie wystawialiby takiego rachunku wyłącznie za ładny widok z okna i duży metraż.

Przez cały czas śnił mi się Mitch, a sen był jak film, w którym w przyśpieszonym tempie pokazują się wszystkie nasze domowe taśmy wideo. To sen, który nieraz już miałam i zawsze budziłam się we łzach. Jednak tego poranka obudziłam się pełna wewnętrznego spokoju, być może dzięki poczuciu, że Mitch również zaznaje spokoju.

Zawdzięczałam to Dylanowi Swiftowi. Nie wiedziałam, czy rzeczywiście był w kontakcie z Mitchem. Jednak pomógł mi stłumić gniew i poczucie winy, jakie nosiłam w sobie od tamtego pamiętnego dnia, kiedy do moich drzwi zastukał oficer marynarki wojennej z wiadomością o śmierci męża. Zastanawiałam się, czy Swift nie byłby w stanie dokonać tego samego w wypadku Mońka, osiągając w ten sposób to, czego nie dawały lata terapii.

Wiedziałam, że Monk nigdy nie przestanie próbować wyjaśnić morderstwa Trudy i nikt tego od niego nie oczekuje, a już ja najmniej. Ale być może wysłuchanie Trudy za pośrednictwem Swifta zdjęłoby z Mońka odrobinę poczucia winy i pomogłoby mu przyjąć do wiadomości, że nie jest niczym złym żyć dalej, a nawet zakochać się w innej kobiecie.

Oczywiście oznaczałoby to, że na jakiś czas Monk musiałby się wyzbyć podejrzeń względem Dylana Swifta. Sęk bowiem w tym, że nie miało najmniejszego znaczenia, czy

Swift jest medium czy nie. Już samo udawanie, że Swift nim jest, może pozwolić Monkowi uporać się ze swoimi skomplikowanymi uczuciami, jakich zaznaje od czasu śmierci Trudy.

Wiedziała jednak, że nie ma sposobu, aby Monk kiedykolwiek zapomniał o nurtujących go złych przeczuciach wobec Swifta. Na pewno nie za chwilę pobożnych życzeń ani nawet, ośmielę się powiedzieć, za autentyczny kontakt z zaświatami.

Kiedy wyszłam wreszcie z łóżka, za oknem było szaro i mżył deszczyk. Ale wciąż owiewało mnie przyjemne ciepło, a powietrze pachniało czystością i świeżością. Czułam się naładowana energią, odprężona i gotowa zacząć nowy dzień.

Monk stał na krześle w salonie, patrzył to na jeden wentylator sufitowy, to na drugi i co jakiś czas zerkał na zegarek.

- Dzień dobry - powiedziałam.

- Niezbyt dobry - odpowiedział.

Przeszłam do kuchni. Wieczorem poprzedniego dnia ustawiłam timer w ekspresie do kawy i oto czekał na mnie dzbanuszek świeżej kawy kona. Jej aromat był intensywny i bardzo kuszący.

- Bo wie pan, że Lance i Roxanne zabili Helen Gruber, ale nie potrafi pan im tego udowodnić?

- Nie, to nie to - odpowiedział Monk.

- To dobrze - powiedziałam. Nalałam sobie filiżankę kawy i usiadłam przy kuchennym stole.

- Jak możesz siedzieć i nic nie robić w obliczu katastrofy.

- Rozkosz totalnej obojętności - odpowiedziałam.

Kawa była cudowna. Postanowiłam, że zabiorę do

San Francisco kilogram ziarnistej kawy marki Kona. Może nawet całą skrzynkę.

- Nic nie słyszysz? Nic nie widzisz?

- Co takiego? Deszcz? Pogoda się pewnie poprawi, ale nawet jeśli nie, to w końcu jesteśmy na Hawajach, gdzie jest pięknie nawet wówczas, kiedy nie świeci słońce.

- Nie, nie o to chodzi - powiedział Monk. - Chodzi o sufitowe wentylatory.

Spojrzałam w górę.

- Przecież działają, prawda?

- Z różną szybkością - stwierdził Monk. - Obserwowałem je przez całą noc.

- Całą noc? - zapytałam zdziwiona. - W ogóle pan nie spał?

- Jak mogłem spać? Cały czas słyszałem różnicę w wysokości ich tonów.

- Nie - powiedziałam. - To po prostu niemożliwe.

- Koniecznie potrzebny mi stoper do pomiaru obrotów - stwierdził Monk. - Zabrałaś ze sobą stoper?

- Niestety nie.

- Ja też nie, aż wierzyć się nie chce. Tak to jest, jak człowiek się śpieszy z pakowaniem i zapomina zabrać najbardziej podstawowe rzeczy.

Wstałam i nalałam Monkowi filiżankę kawy.

- Jestem pewna, że obsługa hotelowa naprawi wentylatory. Niech pan usiądzie i napije się kawy, dobrze? To kawa z ziaren kona, hodowanych na tutejszych plantacjach. Będzie panu smakowała.

- A jeśli obsługa nie będzie wiedziała, jak to naprawić? Będą chcieli przenieść nas z powrotem do hotelu, w którym się roi od zwiniętych ręczników.

- Roi się?

- To nie wygląda dobrze. - Monk zszedł z krzesła i usiadł przy stole naprzeciwko mnie.

- Wczoraj jakoś panu nie przeszkadzały.

- Wczoraj były sprawne. - Monk wypił łyk kawy.

- Nie sądzi pan, że na tych wentylatorach wyładowuje pan swoje frustracje?

- Jakie frustracje?

- Bo nie potrafi pan udowodnić, że Lance i Roxanne zabili panią Gruber.

- Jeszcze to udowodnię - oświadczył Monk, podnosząc bezwiednie wzrok na wentylatory. - Słyszysz?

- Jak?

- Nic nie mów i nadstaw ucha.

- Mówię o morderstwie - powiedziałam. - Jak pan udowodni, że oni to zrobili? Nawet policja zostawiła już Lance'a i Roxanne w spokoju.

- To samo przyjdzie. Nie myślę o niczym innym. - Monk wstał i wskazał na sufit. - Popatrz tylko. Trzeci wentylator wykonuje co najmniej jeden obrót mniej na minutę niż ten pierwszy, a ten piąty... och, o tym nawet nie ma co mówić.

Odstawiłam filiżankę na bok.

- Wie pan, co zrobimy? - powiedziałam. - Zamówimy sobie śniadanie, potem pojedziemy oglądać widoki, a w tym czasie obsługa naprawi wentylatory.

- To precyzyjnie działające urządzenia, Natalie. Nie sądzę, aby obsługa hotelowa podołała takiemu zadaniu. Nie wiedzieli nawet, jak należy składać ręczniki. Chyba powinienem zostać i mieć nad nimi pieczę.

- Pojedzie pan ze mną, panie Monk - uparłam się. - Potrzebna panu zmiana pejzażu. To panu dobrze zrobi.

- Nie jestem wielkim fanem pejzaży.

- Chce pan wyjaśnić sprawę morderstwa czy nie? Pan musi się skupić, a tutaj, gapiąc się na te wentylatory, nie jest pan w stanie tego zrobić.

Monk westchnął.

- Możemy przy okazji rozejrzeć się za jakimś stoperem?

- Jasne - zgodziłam się. - Wygląda na to, że bez stopera nie damy sobie rady.

- W takim razie zgoda.

Kiedy jedliśmy śniadanie, deszcz przestał siąpić. Jednak niebo wciąż było zaciągnięte, a chmury przesłaniały słońce, choć w niczym nie łagodziły wiszącego w powietrzu gorąca. Kiedy szliśmy na parking, wręcz czułam, jak paruje asfalt.

Poszłam na miejsce, gdzie, jak mi się zdawało, poprzedniego dnia zaparkowałam mustanga, ale auta nie było. Na wielkim parkingu stało tyle podobnych do siebie samochodów, że nie było łatwo odnaleźć ten właściwy. Spojrzałam na breloczek kluczyka w rękę i zobaczyłam, że jest w nim przycisk do uruchomienia samochodowego systemu alarmowego.

Wyciągnęłam przed siebie rękę z breloczkiem i wcisnęłam kilka razy guzik. Ale żaden alarm się nie odezwał. Powtórzyłam próbę, mierząc breloczkiem w różnych kierunkach.

- Co robisz? - zapytał Monk.

- Próbuję zlokalizować samochód - odpowiedziałam. - Zapomniałam, gdzie go wczoraj zostawiłam.

- Wcale nie zapomniałaś - powiedział Monk. - Stał tutaj. W piątym rzędzie, na jedenastym miejscu od lewej strony, koło samochodu Briana, a ten wciąż tutaj stoi. Pamiętam jego numer identyfikacyjny.

- W takim razie gdzie jest nasz samochód?

- Ktoś go w nocy ukradł. Monk przykucnął i uważnie obejrzał asfalt wokół forda 500, samochodu, który stał teraz na naszym miejscu. - Pod tym samochodem asfalt jest suchy, a to znaczy, że zaparkował tu, zanim spadł deszcz. Zaczęło padać o drugiej jedenastej w nocy.

- Po oględzinach asfaltu potrafi pan określić, o której zaczął padać deszcz?

Monk potrząsnął głową.

- Nie spałem w nocy.

- Racja. Zapomniałam.

Wyjęłam telefon i zadzwoniłam do porucznika Kealohy. Przyjechał po dziesięciu minutach z wyraźnym rozbawieniem na twarzy.

- Wygląda na to, że przestępstwa się was trzymają jak rzep psiego ogona - stwierdził.

- Nie mnie. - Kiwnęłam głową w kierunku Mońka. - Jego.

- Nie miejcie do siebie pretensji. To zdarza się tutaj każdego dnia. Odnajdziemy samochód.

- Skąd ta pewność? - zapytał Monk.

- Gdzie mogą go schować? Mieszkamy na wyspie, braachu. Prawie wszystko, co tu mamy, od samochodów po mleko, trzeba na wyspę przywieźć samolotem albo statkiem. Dzisiaj przywozi się nawet cukier. Pewnie jakieś dzieciaki pożyczyły autko na Przejazdkę.

- A jeśli to nie dzieciaki? - zapytałam.

Kealoha wzruszył ramionami.

- W takim razie samochód będzie rozebrany na części, ale nawet wtedy znajdziemy to, co z niego zostanie. Niewiele tu miejsc, gdzie można by ukryć samochód.

- Potrzebny nam będzie policyjny raport dla wypożyczalni - powiedziałam. - I byłoby dobrze, gdyby ktoś nas tam podwiózł.

- Mam nadzieję, że wykupiliście ubezpieczenie.

Kiedy w biurze wypożyczalni Global wypełniałam stos formularzy, Monk przeszedł na drugą stronę, do agencji EconoRides, by wybrać następnego samochód, który „dopiero co zjechał ze statku”. Choć nie była to w żadnej mierze nasza wina, to byłam pewna, że Global nie zechce wypożyczyć nam drugiego samochodu, skoro właśnie straciliśmy nowiutkie auto. Nie myliłam się.

W wypożyczalni EconoRides Monkowi udało się znaleźć mustanga kabriolet, który przypląnął tym samym statkiem, co nasz poprzedni, i który miał na liczniku tylko sześć przejechanych kilometrów - prawie tyle, ile wynosiła odległość z Nawiliwili Harbor do biura wypożyczalni.

Znowu wypełniłam górę formularzy i dopilnowałam, by zakreślić wszystkie proponowane w polisie ubezpieczenia. Przemilczałam jednak informację, że poprzedni wynajmowany przez nas samochód został nam skradziony.

Kiedy wreszcie wyjechaliśmy na drogę, słońce zaczynało wychodzić zza chmur. Otworzyłam dach i skierowałam się na północ, na Makana Peak, który w filmie South Pacific grał mityczną górę Bali Hai.

Chciałam zobaczyć te idylliczne plaże, które ciągnęły się pod osławionym szczytem.

Monk milczał pogrążony w myślach, więc włączyłam radio i poszukałam stacji nadającej jakąś spokojną muzykę, w której głównie rozbrzmiewało hawajskie ukulele.

Po prawej stronie mijaliśmy połyskującą, niebieską taflę oceanu. Po lewej góry porośnięte bujnym lasem deszczowym. Wiatr niósł za nami hawajską muzykę z naszego radia. Powietrze przepełniały cudowne wonie tysięcy tropikalnych kwiatów. Całkowicie zatopiłam się w świecie Kauai. Na całe dwie minuty, dopóki Monk się nie odezwał.

- Musimy zdobyć stoper.

- Zdobędziemy - odpowiedziałam, na próżno już próbując odzyskać poczucie zapomnienia się w innym świecie; wyglądało to trochę tak, jakby próbować błyskawicznie zasnąć, chcąc wrócić do snu, z którego zostało się raptownie wyrwanym. - Niech pan zażywa świeżego powietrza. Niech pan podziwia cudowne widoki. Kto wie, kiedy pan tu wróci, i czy w ogóle.

- Ten stoper musimy mieć jak najszybciej.

- Po co ten pośpiech?

- Moglibyśmy zatrzymać się w hotelu i zostawić stoper pracownikom, którzy będą naprawiać wentylatory; w przeciwnym razie niedokładnie zsynchronizują obroty.

- Hotel stoi w zupełnie przeciwnym kierunku. Nie pojedziemy taki kawał drogi z powrotem tylko po to, żeby zostawić w recepcji stoper. Niech się pan zrelaksuje. Jeśli obroty wentylatorów nie będą zsynchronizowane, jeszcze raz wezwiemy obsługę.

- A jeśli będą już po godzinach pracy i wrócą do domu?

221

- To wyłączymy wentylatory - powiedziałam. - Wtedy wszystkie utrzymają jedno tempo; kompletny bezruch. I nie będzie problemu.

W ostatniej chwili dostrzegłam drogowskaz na wodospady Wailua i o mały włos nie minęłam zjazdu. Skręciłam w lewo tak gwałtownie, że aż nami rzuciło, i wjechałam w wąską drogę, gęsto usianą wybojami. Droga wiała się ku górą, wśród pól zarośniętych ogromnymi chwastami.

Tłukliśmy się po dziurach przez dobre dwadzieścia minut, aż zobaczyliśmy rzędy samochodów zaparkowanych po obu stronach drogi w rudawym błocie. Droga kończyła się ślepo grząskim nawrotem, przy którym stało kilkadziesiąt turystów, odwróconych do nas plecami.

Jakiś Hawajczyk w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym sprzedawał z platformy półciężarówki pokrojone ananasy i rozłupane kokosy. Ciął owoce małym toporkiem i serwował je turystom na gazetach. Koguty, gdacząc i piejąc, uskakiwały ludziom spod stóp.

Zawróciłam i znalazłam wkrótce wolne miejsce na drodze, przodem w kierunku szosy, którą tu dojechaliśmy. Wysiedliśmy z samochodu i przyłączyliśmy się do turystów stłoczonych przy płotku sięgającym piersi, za którym rozciągała się wspaniała panorama wodospadów Wailua i przepaścistego, soczyście zielonego kanionu.

Musieliśmy się wspinać na palce i wyciągać wysoko szyje, aby ponad ścianą chwastów za płotem ujrzeć bliźniacze wodospady - woda spadała trzydzieści metrów w dół, do ciemnego stawu, z którego brała początek rzeczka płynąca dalej przez gęsty gaj. W oddali ginęły w całunie lekkiej mgły postrzępione grzbiety górskie. Krajobraz był przepiękny; powiedziałam

Monkowi, że dzięki serialowi Fantasy Island przywykł już chyba do takich pejzaży.

- Jeśli odjąć koguty, chwasty i wyboje - stwierdził.

- Oczywiście.

- Nic dziwnego, że tamta wyspa nazywała się Fantazja. Rzeczywistość jest o wiele bardziej przygnębiająca.

- Wydaje mi się, że w tym krajobrazie nie tkniętym ludzką ręką jest coś nadzwyczaj ujmującego - powiedziałam. - Gdyby ten punkt widokowy znajdował się w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi, parking byłby wyasfaltowany, znaki wskazywałyby, gdzie pstrykać najlepsze fotki, a zamiast faceta rozłupującego kokosy toporkiem stałby sklep z pamiątkami, w którym można byłoby kupić hot doga.

- Właśnie - zauważył Monk. - Jedźmy tam.

Monk był prawdziwym zbiorem sprzeczności. Potrafił bez wahania wejść na zbryzgane krwią miejsce zbrodni i dokonać oględzin rozkładających się zwłok, ale na widok paru dzikich kogutów i kałuży błota puszczały mu nerwy.

Wróciliśmy na szosę i przejechaliśmy przez rozchwierutany most nad malowniczą rzeczką Wailua. Po lewej stronie mijaliśmy opuszczony i niszczący hotel Coco Palms, którego kryte strzechą bungalowy, zdewastowane przez huragan Iniki w dziewięćdziesiątym drugim roku, stały opuszczone na skraju gaju palmowego, nad złocistą plażą, gdzie wartka Wailua wpadała do morza. Ośrodek był prawdziwym symbolem Hawajów, ikoną stylu tiki, sięgającym wstecz w zupełnie inną erę. Patrząc na budynek, w uszach słyszałam Elvise Presleya śpiewającego Blue Hawaii.

^B223 im l i U

Prawdę mówiąc, faktycznie go słyszałam. W radio. To już było zbyt doskonałe.

Kiedy zjechaliśmy z mostu, szosa Kuhio stała się główną uliczką Wailua, wałęsającego się miasteczka ze sklepikami w westernowym stylu i małutkimi, handlowymi galeriami.

Kiszki grały mi marsza, więc zatrzymałam się przed restauracją Namura Saimin, o której przeczytałam w przewodniku.

- Co tu robimy? - zapytał Monk.

- Zjemy lunch. Serwują tu podobno najlepsze saimin na całych Hawajach - wyjaśniłam, wysiadając z samochodu, nim Monk zdąży zaproponować.

Monk zlustrował przybytek podejrzliwym wzrokiem.

- Co to jest saimin?

- Coś w rodzaju zupy. Makaron, gotowane jajka, chińska kapusta, zielona cebula, wieprzowina, groszek, kluseczki wonton i mielonka, podane w rosole z suszonych krewetek. Niebo w gębie. Pieką tutaj też wyborne ciasta.

- Ciekawe, czy mają gekona w jadłospisie.

- Jeśli nie w jadłospisie - odpowiedziałam z uśmiechem - to z pewnością na ścianach.

Otworzyliśmy lekkie drzwi z siatką i weszliśmy do środka. Nie było tu stołów, lecz niski kontuar z małutkimi stołeczkami, zaprojektowany chyba z myślą

o hawajskich skrzatach Menehunach.

Restauracja była wypełniona miejscowymi, którzy siorbiąc głośno, wyjadali saimin z potężnych misek. Spostrzegłam dwa puste stołki. Rzuciłam się ku nim

I usiadłam na jednym w pośpiechu, żeby ktoś nagle nie wszedł i nie sprzątnął nam sprzed nosa wolnych miejsc. Tak szybko do nich podbiegłam, że otarłam sobie kolana, próbując wcisnąć je pod kontuar.

Monk stanął obok mnie, za pustym stołkiem.

- Niech pan siada, panie Monk - powiedziałam.

- Prędeż piekło zamarznie. - Wzdrygnął się na całym ciele. - Zresztą wtedy prawdopodobnie również nie.

- Dlaczego? - zapytałam. - Na stołku nic nie ma, a kontuar wydaje mi się nadzwyczaj czysty.

Skinął głową w kierunku ściany. Spodziewałam się ujrzeć tam gekona skradającego się po wyblakłym drewnie, ale zamiast niego zobaczyłam tabliczkę z napisem: PROSIMY NIE PRZYKLEJAĆ POD KONTUAR GUM DO ŻUCIA.

- Nie ma powodu do obaw - zapewniłam go. - Jakoś nie przykleiła mi się do kolan żadna guma. - Odwróciłam się do siedzącego po mojej drugiej stronie Hawajczyka. - Panu się przykleiła guma do kolan?

Hawajczyk potrząsnął głową i z mlaśnięciem wciągnął do ust makaron.

- Widzi pan? Czysto.

Odwróciłam się z powrotem do Mońka i zobaczyłam, jak wbija spojrzenie w siedzącą obok jakąś Ha - wajkę. Za każdym kolejnym siorbnięciem pluła po kontuarze kropelkami rosółu, w miejscu, gdzie miał usiąść Monk.

Wkrótce wyczuła, że Monk patrzy na nią wzrokiem pełnym dezaprobaty. Odwróciła do niego głowę, a Monk bez słowa pokazał gest ocierania ust serwetką. Kobieta, najwyraźniej urażona, pochyliła się z powrotem nad zupą i zaczęła jeszcze głośniejsze siorbać.

Szybko do mnie dotarło, że nic z tego nie będzie.

- W porządku, panie Monk. Wygrał pan. - Westchnęłam i wstałam ze stołka. - Znajdziemy inne miejsce na lunch.

Mieliśmy już wychodzić, kiedy w witrynie przy kasie spostrzegłam wystawione na sprzedaż ciasto liliko'i. Skoro nie mogę nic zjeść na miejscu, to przynajmniej wezmę kawałek sławnego deseru na wynos.

- Niech pan zaczeka - powiedziałam, kiedy dotarliśmy do drzwi. - Kupię kawałek ciasta.

- Nie możesz kupić kawałka ciasta - stwierdził Monk.

- Oczywiście, że mogę - odpowiedziałam, wskazując menu na drzwiach. - Sprzedają również w kawałkach.

- Ale jeśli kupisz jeden kawałek, to ciasto już nie będzie w całości - tłumaczył Monk. - Całe się zmarnuje.

- Nie zmarnuje się. Sprzedadzą resztę kawałków z tego samego ciasta.

- Kto chciałby kupić kawałek ciasta, które zostało napoczęte?

- Przecież się nie wgrzęzę w to ciasto. Wytnę mój kawałek i potem go sobie zjem. W ogóle nie wejdę w kontakt fizyczny z pozostałą częścią ciasta.

- Jednak świętość ciasta zostanie naruszona.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Świętość ciasta?!

- Należy ją uszanować. Powinnaś kupić całe ciasto. Tak się powinno postępować.

- Co ja zrobię z całym ciastem?

- Zabierzesz je do domu i wsadzisz do lodówki.

- Lodówka w moim pokoju jest mała i zapełniona... - zamilkłam; zapomniałam, że mieszkamy już w bungalowie. - Świetny pomysł, panie Monk. Chyba nie dotarło do mnie jeszcze, że się przeprowadziliśmy. Mamy tam do zapełnienia dużą, pustą lodówkę-

Skinęłam na kelnerkę, kobietę w takim wieku, że mogłaby chyba być moją prababcią, i zamówiłam ciasto. Zapakowała je starannie w pudełko. Kiedy sięgałam do torebki po pieniądze, na twarzy Mońka zobaczyłam ten znany mi, charakterystyczny wyraz.

Wyraz pełnego zadowolenia, absolutnej pewności siebie i słodkiego zwycięstwa.

Nie wiedziałam, jak to się stało, ale wiedziałam z całą pewnością, że się już stało. Oglądanie widoków, jak na razie, dobiegło końca, a dla mnie zaczyna się czas zażywania uroków wakacji.

Monk rozwiązał zagadkę śmierci Helen Gruber.

19

Monk i ciasto

Pojechaliśmy prosto na posterunek w Lihue zobaczyć się z porucznikiem Kealohą. Monk przekonał go, aby przesłuchał pokojówki i jak najszybciej wysłał do bungalowu zespół patologów, którzy mieliby dokładnie zbadać pewne, przeoczone wcześniej miejsce.

Kealoha zaczął bronić patologów, ale niepotrzebnie. Za takie przeoczenie nikt by ich nie winił. Przypominałoby to trochę szukanie odcisków palców w szybie kominowym - nie byłoby najmniejszego powodu, aby to robić, gdyby nie pewność, że mordercą jest Święty Mikołaj.

Czekaliśmy z Kealohą na posterunku, podczas gdy jego ludzie wykonywali zalecenia Mońka. Umierałam z głodu, więc Kealoha podzielił się ze mną swoim musubi i porcją li hing mui. Monk stanowczo podziękował. Musubi to kawałek mielonki na plastrze ryżu, owinięty suszonymi i sprasowanymi wodorostami. Nawet nie było złe. Jednak li hing mui, suszony i solony owoc, ciężko było mi przełknąć. Chciałam być uprzejma, więc łyknęłam je w całości, z uśmiechem na ustach, a nawet poprosiłam o drugi kawałek.

Postanowiłam się odwdziżyć i poczęstować Ke - alohę ciastem, ale Monk nie pozwolił. Powiedział, że ciasto będzie mu potrzebne.

Znudzona i spragniona czegoś słodkiego, co zabiłoby cierpki smak li hing mui, zostawiłam ich samych i przeszłam ulicą do pobliskiego kramu, gdzie serwowano wyborne lody shave, w sześćdziesięciu smakach, od guawy po piwo korzenne.

Lody shave przypominają lody snokone, tyle że zamiast lodu kruszonego używa się do nich lodowego pyłu, uzyskanego przez ścieranie nożem bryły lodowej. Sprzedawca nałożył mi kulkę takiego lodowego puchu na porcję lodów kremowych o smaku orzechów makadamii i polał wszystko syropem owocowym.

Zimny deser w okamgnieniu orzeźwił mój umysł i dał mi cukrowego kopa. Poczułam się, jakby przywróciło mnie do życia uderzenie elektrod defibrylatora. Lody shave są słodkie i

prawdziwie ożywcze, ale powinno się je podawać z oficjalnym ostrzeżeniem ministra zdrowia.

Kiedy wróciłam na posterunek, Kealoha promieniał ze szczęścia. Pod moją nieobecność Monk zdążył wyjaśnić dwa włamania i zaginięcie jakiejś osoby. Co ważniejsze jednak, z bungalowu wrócił zespół patologów. Kiedy zapytałam, co znaleźli, Monk nie chciał mi powiedzieć.

- To ci zepsuje niespodziankę - stwierdził tylko.

Kealoha pojechał odnaleźć Lance'a Vaughana i Roxanne Shaw. Miał ich przywieźć do bungalowu, gdzie mieliśmy się wszyscy spotkać i gdzie wreszcie miała być rozwiązana zagadka śmierci Helen Gruber.

Monk był tak pochłonięty sprawą, że po przyjeździe nawet nie spojrzał na wentylatory i zupełnie zapomniał, że nie udało nam się kupić stopera. Miałam więc słuszną, sądząc, że wyładowuje na wentylatorach swoje frustracje. Chyba że rzeczywiście zostały zsynchronizowane przez pracowników hotelu, ale nie chciało mi się w to wierzyć.

Monk nie pozwolił mi schować ciasta do lodówki, więc położyłam je na stole w kuchni. Wiedziałam, że w ten sposób przygotowuje rekwizyty i scenografię do finałowego podsumowania - to moment, którym Monk żyje przez całe śledztwo. Szczerze mówiąc, ja też lubię tę chwilę, choć zazwyczaj jestem bardziej jej przygodnym widzem niż uczestnikiem.

Nie musieliśmy czekać długo. Krótco po naszym przyjeździe do bungalowu wkroczył Kealoha, a obok niego szli Lance i Roxanne. Za nimi jak cień kroczyli dwaj umundurowani policjanci, co parze młodych ludzi musiało dać wiele do myślenia.

Najwyraźniej nie oni jedni potrafili przewidzieć, co szykuje najbliższa przyszłość. Po chwili bowiem w drzwiach pojawił się Dylan Swift.

- Hola, hola, braachu - powstrzymał go Kealoha. - Kim pan jest?

- Dylan Swift - odpowiedział takim tonem, jakby zapytano go, co to jest ta wielka, żółta, ognista tarcza wysoko na niebie.

- Pan wybaczy, to ma cokolwiek wyjaśnić?

- Pomagam panu Monkowi w śledztwie - powiedział Swift.

- To nieprawda - zaproponował Monk.

- Właśnie że prawda - powiedziałam, a Monk posłał mi gniewne spojrzenie.

Nie obchodziło mnie, czy Swift był oszustem czy nie; pomógł mi i pomyślałam sobie, że zasłużył, aby zobaczyć Monka w akcji.

- Ja pana znam - odezwała się Roxanne. - Pan jest tym facetem, który rozmawia z duchami, prawda? Czytałam pana książkę. Duchowy przewodnik po lepszym seksie: sekrety zza grobu.

- On to napisał? - Lance zerknął na Swifta, a potem spojrział na Roxanne. - To tam przeczytałaś o...

Przytaknęła szybko.

- Uhm, uhm.

Kiedy tym razem Lance spojrział na Swifta, patrzył na niego z wyrazem bliskim pobożnej czci.

- Przybywam tu jako adwokat zmarłych - oznajmił Swift. - Aby udzielić im głosu w zdarzeniach, których będziemy dzisiaj świadkami.

- Im? - zapytał Kealoha.

- Kobietom, które kochały Lance'a Vaughana i zmarły w jego objęciach.

- Nikt nie umierał w moich objęciach - zaproponował Lance.

- Chyba że mówimy o tym, co poeci nazywają „małą śmiercią” - wtrąciła Roxanne. - Tego zjawiska doznaję w jego ramionach codziennie, a bywa, że dwa razy dziennie.

Monk niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

- Będziecie rozprawiać w nieskończoność czy chcecie wreszcie usłyszeć, jak Lance zamordował swoją żonę?

- Nie zabiłem żony, dobrze pan wie - obruszył się Lance. - To niemożliwe. Kiedy Helen została zamordowana, nurkowałem przy brzegach Na Pali.

- Niezupełnie - powiedział Monk.

- Widział mnie tam z tuzin świadków, potwierdza to nawet nagranie wideo.

- Oczywiście, nie ma wątpliwości, że w środę rano znajdował się pan na katamaranie i dopilnował, by widziało tam pana jak najwięcej osób. Problem w tym, że nie wtedy zamordowano Helen Gruber. Zginęła dzień wcześniej.

- Patolog z medycyny sądowej stwierdził, że zmarła dwie godziny przed znalezieniem ciała - wtrącił Kealoha.

- Został wystrychnięty na dudka, podobnie jak ja, mimo że już pierwszego dnia wszystkie ślady były przede mną na wyciągnięcie ręki. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki Natalie nie kupiła dzisiaj w czasie lunchu ciasta liliko'i.

Monk wskazał rękę ciasto na stole.

- Oto, co tutaj zaszło - ciągnął. - We wtorek wieczorem Lance uderzył Helen orzechem kokosowym w głowę i utopił ją w jacuzzi. Następnie opróżnił lodówkę z ciast i

ananasów, które pani Gruber przyniosła do domu, wyjął wszystkie półki i wcisnął ją do wnętrza, aby ciało zachowało świeżość. Dopiero nad ranem przeniósł je do jacuzzi, aby odtajało i aby wprowadzić w błąd patologa, który miał ustalić rzeczywisty czas zgonu.

- Nie zrobiłem tego - bronił się Lance. - Nie mógłbym zabić własnej żony i wcisnąć jej do lodówki. To odrażające.

- Chłód i ciasna przestrzeń. Chodziło o lodówkę - odezwał się Swift, patrząc na Mońka. - O tym właśnie usiłowała nam powiedzieć pani Gruber. Zrozumiał pan jej komunikat, który panu przekazałem, i wyjaśnił zagadkę.

- To pan powiedział Monkowi o lodówce? - zdziwił się Kealoha. - Wydawało mi się, że na właściwy ślad naprowadziło go ciasto liliko'i.

- Bo to prawda - zapewnił Monk. - Nie słuchałem niczego, co ten krętacz mi naopowiadał.

- Być może gdyby pan słuchał, już parę dni temu wyjaśniłby pan zagadkę morderstwa Helen Gruber - powiedział Swift. - Dobrze chociaż, że jej słowa zapadły panu w podświadomość, a dzisiaj zdał pan sobie wreszcie sprawę z ich znaczenia.

- Zdałem sobie sprawę zupełnie z czegoś innego. Pokojówki mówiły wcześniej, że Helen uwielbiała ciasto liliko'i i ananasy i że ciągle przynosiła je do domu.

- To również przekazała panu Helen, na swój sposób - wtrącił Swift.

Nie mylił się. Dobrze pamiętałam.

Monk zignorował go i ciągnął dalej od miejsca, w którym Swift wszedł mu w słowo.

- Jednak gdzie są ciasta? W dniu morderstwa lodówka była pusta, jedna z półek założona była tyłem do przodu, a z pojemników na śmieci przed domem zalały psującą się żywnością. Wyjaśnienie jest jedno, Lance wyrzucił ciasta do śmietnika, aby zmieścić w lodówce ciało Helen.

Teraz przypomniałam sobie tamtą woń i Mońka, który poprawiał półkę w lodówce. Nie mylił się. Tamtego ranka wszystkie ślady mieliśmy pod nosem. Ale prawdą było również to, że wszystko, co chcieliśmy wiedzieć, powiedział nam Dylan Swift. Tak więc rozwiązanie mieliśmy na wyciągnięcie ręki w dwójnasób - a mimo to nie dostrzegaliśmy go.

- Wszystko pan zmyśla - powiedział Lance. - To po prostu śmieszne, a poza tym nie wsparte żadnym dowodem i nic dziwnego, bo nic takiego się nie wydarzyło.

Monk odwrócił się do Kealohy.

- Zechce pan poinformować Lance'a, co technicy znaleźli dzisiaj w lodówce?

- Znaleźliśmy włosy Helen Gruber, parę drobnych plamek krwi, ślady chloru i odciski jej stóp na wewnętrznej ścianie.

Dlatego Monk zabronił mi wsadzić ciasto do lodówki. To było niehigieniczne.

Lance potrząsnął głową.

- Nie, pan to wszystko uknuł w jakimś celu. Ja jej nie zabiłem.

Nagle Swift, podrywając wszystkich, wydał z siebie jakiś agonalny jęk, padł na kolana i zwiesił ciężko głowę.

Monk warknął wściekle i wyszedł do kuchni.

Położyłam dłoń na ramieniu Dylana Swifta.

- Panie Swift? Co się dzieje?

Kiedy podniósł głowę, z jego oczu toczyły się po policzkach dwie strużki łez.

- Jak mogłeś, Lance? - powiedział jakimś ulotnym, oderwanym od ciała, wyraźnie żeńskim głosem; aż przeszedł mnie zimny dreszcz. - Tak cię kochałam. Dałam ci wszystko, co chciałeś.

Lance patrzył na niego osłupiały, wzrokiem pełnym niedowierzania.

- Helen?!

Roxanne zaczęła łkać jak dziecko. Ja z trudem łapałam oddech. Miałam wrażenie, że znalazłam się raptem na planie filmowym jakiegoś horroru. Kealoha i policjanci zamarli bez słowa. Tylko Monk zdawał się niczego nie zauważać. Chodził sobie po kuchni, jakby nie działo się nic szczególnego.

- Czym sobie zasłużyłam na takie okrucieństwo? - mówił dalej Swift tym samym, delikatnym, niezwykłym głosem.

Lance upadł przed Swiftem na kolana i chwycił go za ramiona.

- Helen, jeśli to ty, powiedz prawdę. Powiedz im, że jestem niewinny.

- Myślałam, że na wieczność zostaniemy razem. Ale po tym, co zrobiłeś, nigdy się tutaj nie połączymy. Pójdiesz wprost do piekła, Lance.

Po tych słowach Dylan Swift omdlał.

- Helen! - krzyknął Lance, potrząsając Swiftem. - Powiedz im!

Policjanci złapali Lance'a z obu stron, postawili go na nogi i zakuli w kajdanki.

- Zabierz go, Dan-0 - powiedział Kealoha. - Zarzut: morderstwo pierwszego stopnia.

- Nie! - wrzasnął Lance, kiedy jeden z policjantów ciągnął go siłą do radiowozu, odczytując mu po drodze jego prawa.

- Zawsze chciałem wypowiedzieć te słowa - stwierdził Kealoha, uśmiechając się do nas szeroko.

Drugi z policjantów odprowadził Roxanne, która chlipała cicho i powtarzała pod nosem, że „to niesprawiedliwe”.

Monk wyszedł z kuchni, trzymając w ręku kilka talerzy, nóż i łyżkę do tortu.

- Czy ktoś ma ochotę na kawałek ciasta? - zapytał.

- Jak może pan myśleć o cieście w takiej chwili - oburzyłam się. - Nie widzi pan, że Swift leży bez przytomności?

Monk rozłożył talerze i sztućce, poszedł do pokoju, a chwilę później wrócił z miarką.

Kealoha wezwał pogotowie przez telefon komórkowy. Ja natomiast podłożyłam Swiftowi poduszkę pod głowę, zmoczyłam ręcznik i delikatnie otarłam mu czoło.

Monk tymczasem mierzył taśmą obwód talerza z ciastem, by móc je pociąć na idealnie równe kawałki.

- Czy rzeczywiście Dylan Swift o wszystkim wiedział? - zapytał Kealoha.

Opowiedziałam mu o komunikatach od Helen Gruber, które Swift nam przekazywał, o tym, jak odkryliśmy później ich znaczenie w kontekście naszej sprawy i jak Monk tłumaczył, że to tylko czyste oszustwo. Kiedy kończyłam, naszych uszu dobiegło z daleka wycie ambulansu, który pędził w kierunku naszego domu na plaży.

- Pańskie objaśnienia tych tak zwanych wizji Dy - lana Swifta trzymają się kupy, panie Monk - stwierdził Kealoha. - Z wyjątkiem jednej rzeczy. Skąd Swift wiedział, że ciało Helen było ukryte w lodówce?

- Nie wiedział - odparł Monk. - Mówił o kostnicy. Miał szczęście, że lodówka odegrała taką rolę w sprawie.

Swift zamrugał raptem i powoli zaczął odzyskiwać przytomność.

- Proszę, proszę, o wilku mowa, a wilk się budzi - powiedział Monk, ostrożnie krojąc ciasto. - Jestem zszokowany.

Swift otworzył oczy. Wydawał się jakiś wystraszony. Próbował się podnieść i usiąść, ale powstrzymałam go delikatnie i ułożyłam mu głowę z powrotem na poduszce.

- Niech pan odpocznie - powiedziałam.

- Co się stało?

- Zaczął pan przemawiać do Lance'a głosem Helen Gruber, a potem pan zasnął - wyjaśniłam. - Lada moment będą sanitariusze.

- Transmitowałam Helen Gruber? - zapytał Swift-

- Zapewne pragnęła przekazać panu parę porad seksualnych do następnej książki - odezwał się kąśliwie Monk. - Niestety, nikt nie robił notatek.

- Nic nie pamiętam. Musiała całkowicie nade mną zapanować.

- Tak to wyglądało - powiedział Kealoha.

- Nigdy wcześniej nie transmitowałem ducha z taką mocą, ale okoliczności są nadzwyczajne - stwierdził Swift. - Znajdujemy się w miejscu, gdzie Helen straciła życie. Był z nami człowiek, który ją zabił. Jej duch jest niezwykle silny. Wyczuwam go jeszcze w tej chwili.

- Czy pańska głowa zaraz zacznie wirować? - Monk położył kawałek ciasta na talerzu.
- Może zacznie pan lewitować? Bardzo chciałbym zobaczyć, jak pan to robi.

Przed otwartymi drzwiami bungalowu zahamował z piskiem ambulans. Chwilę później do środka wbiegło dwóch sanitariuszy, ciągnąc nosze na kółkach.

Monk usiadł przy stole i jak gdyby nigdy nic, zaczął jeść swój kawałek ciasta. Sanitariusze zbadali w tym czasie Swifta, a potem ostrożnie przenieśli go na nosze. Kealoa przyłączył się do Mońka i nałożył sobie ciasto na talerz.

Kiedy Dylan Swift wyjeżdżał na noszach z domu, jeszcze raz spojrzął na Mońka.

- Helen pragnie panu podziękować. One wszystkie pragną panu podziękować. Wreszcie spoczywają w spokoju.

Nawet jeśli Monk go usłyszał, to nie dał tego po sobie poznać.

Szłam przy noszach aż do ambulansu. Kiedy sanitariusze mieli już wsunąć nosze do wnętrza i odjechać do szpitala, chwyciłam Swifta za dłoń i delikatnie ją uściśniłam.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Ja nic nie zrobiłem - odpowiedział. - Jestem tylko posłańcem.

- Przekazał mi pan wiadomość, której bardzo potrzebowałam.

- Mam jeszcze jedną, ale nie dla pani - powiedział Swift, kiedy sanitariusze wsuwali nosze do samochodu. - Niech pani powie Monkowi, że dociera do mnie dziwny obraz, który w jakiś sposób wiąże się właśnie z nim. Ale nie mam pojęcia, jak i co on oznacza. To dłoń z sześcioma palcami.

Po tych słowach jeden z sanitariuszy wszedł do ambulansu i usiadł przy Swifcie, a drugi zatrzasnął drzwi. Po chwili odjechali.

20

Monk spełnia prośbę

Mając za sobą śledztwo w sprawie morderstwa Helen Gruber, nic już nie stało na przeszkodzie, bym wreszcie zaczęła korzystać z uroków, jakimi raczyła nas wyspa. Wskoczyłam w bikini, chwyciłam ręcznik oraz przewodnik turystyczny po Kauai i ruszyłam na plażę, w przelocie rzucając porucznikowi i Monkowi krótkie „do widzenia”.

Najpierw wybrałam się do centrum rekreacji Grand Kiahuna Poipu, gdzie wypożyczyłam sprzęt do snorkowania i kupiłam torebkę pokarmu dla ryb. Przy okazji

zarezerwowałam dla siebie i Mońka bilety na festyn luau, organizowany przez hotel w niedzielny wieczór.

Najlepszym miejscem do snorkowania, jak przeczytałam w przewodniku, była samotna zatoczka tuż za terenami hotelu, naprzeciwko ruin ośrodka domków wczasowych, zdziesiątkowanych przez huragan Iniki.

Ośrodek wybudowano na planie prostokąta bez jednego z dłuższych boków. Zobaczyłam dziedziniec zarośnięty chwastami wielkimi jak drzewa, na nim basen zasypany piachem, obok przerdzewiałe szez - longi, a wszędzie dookoła kloce rozłupanego betonu. Domki stojące nad samym morzem praktycznie zniknęły z powierzchni ziemi; pozostały po nich tylko stalowe szkielety.

Niewielka plaża przed ruinami świeciła pustką; walało się po niej zbyt wiele kamieni i betonowych odłamków, by mogła stanowić atrakcyjne miejsce do opalania. Dno płytkiej i spokojnej wody w zatoczce usiane było wulkanicznymi skałkami, tworzącymi wiele szczelin i zakamarków, wśród których znajdowały sobie kryjówkę tropikalne ryby.

Założyłam sprzęt do nurkowania i idąc powoli tyłem, weszłam do morza. Szłam, dopóki woda nie sięgnęła mi do piersi. Była ciepła i krystalicznie czysta. Od razu zobaczyłam całe mnóstwo wielobarwnych ryb. Zanurkowałam i machając równo płetwami, popłynęłam w kierunku otwartego morza.

Po chwili straciłam poczucie czasu. Miałam wrażenie, że pływam w akwarium z rybkami, które stoi w poczekalni u dentysty mojej córki. Czułam, że za następną mijaną skałą zobaczę monstrualną buzię dzieciaka z aparacikiem na zębach, który patrzy na mnie ciekawie z nosem przyklejonym do szyby.

Wystarczyło, bym rzuciła parę ziaren pokarmu, i natychmiast, nie wiadomo skąd, otaczała mnie ławica ryb, które ocierały się o moją skórę i delikatnie uderzały pyszczkami w maskę.

Nie myślałam o niczym. Pływałam wśród skał, rzucałam pokarm, podziwiałam kolorowe ryby, pływające obok mnie, a w głowie miałam zupełną pustkę.

W pewnym stopniu czułam się jak w terapeutycznym zbiorniku izolacyjnym, który ogranicza doznania zmysłowe. Byłam tylko ja i ryby, i łagodny morski prąd. Tkwiłam pogrążona w głębokim, nurkowym, odprężającym transie, niczym nie niepokojona do chwili, kiedy znowu wypuściłam z ręki trochę karmy i spomiędzy skał, niczym pajac na sprężynie, wystrzelił na wprost mojej twarzy duży węgorz.

Wrzasnęłam i szarpnęłam się ku górze, desperacko szukając oparcia dla stóp. Zakrztusiłam się wodą i rozciąłam sobie lewą nogę o ostrą jak brzytwa krawędź jakiejś skały

wulkanicznej. Dopiero gdy stanęłam na nogi, kaszląc i krwawiąc, z przekrzywioną maską na twarzy, zdałam sobie sprawę, że mam pod sobą ledwie metr wody.

Wyszłam na brzeg, nadal kaszląc i utykając, usiadłam na zmytym falami piasku i zdjęłam pletwy. Kiedy pięciocentymetrowe rozcięcie pod kolanem podmyła morską wodą, po raz pierwszy w życiu poznałam, co znaczy wtarta w ranę sól. Miałam wrażenie, jakby ktoś szorował mnie gąbką zrobioną ze szklanych opilków.

Kiedy się wycierałam, uważając, by nie poplamzić ręcznika krwią, poczułam, jak pieką mnie plecy. Nie mogłam tego widzieć, ale domyśliłam się, że w czasie nurkowania słońce spaliło mi skórę. Ile godzin unosiłam się na wodzie, twarzą do dołu, prażąc plecy w promieniach? To koniec z bikini. Do końca tygodnia pozostaną mi już tylko Tshirty.

Jednak mimo tego dyskomfortu nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy się czułam lepiej i byłam bardziej wypoczęta. Pozbierałam rzeczy i wolnym krokiem ruszyłam w stronę hotelu.

Kiedy wchodziłam do bungalowu przez tylne patio, Monk wyprowadzał od frontu trio pokojówek.

- Do zobaczenia do jutra - żegnał je. - Jeśli będziecie miały jakieś pytania, dzwońcie bez wahania - mówił, machając do nich ręką, a one odchodziły śpiesz - nie ze swoimi wózkami, mopami, odkurzacami i wiaderkami. - Aloha\

Odwrócił się do mnie. Myślałam, że umknie oczami przed moją szokującą nagością, ale on podbiegł do mnie, patrząc z przerażeniem na moją lewą nogę.

- Co ci się stało?

- Nurkowałam i zadrapałam się o skałę. To nic takiego.

- Nic takiego, jeśli nie czeka cię infekcja, gangrena i amputacja.

- Nie jest tak źle, panie Monk.

- Usiądź i połóż nogę na krześle.

Wziął mnie pod ramię i poprowadził do kuchennego stołu. Kiedy siadałam, jego wzrok padł na moje plecy. Usłyszałam głuche sapnięcie. Sądząc po jego reakcji, można by pomyśleć, że mięso odeszło mi od kości i Monk patrzy właśnie na obnażony kręgosłup.

- Trochę się spiekłam na słońcu - powiedziałam. - Każdemu się zdarza.

- Nie prościej było oblać się benzyną i podpalić? - Przysunął krzesło, na które położyłam skaleczoną nogę. - Nie ruszaj się.

Monk pobiegł do pokoju i wrócił po chwili z małą torbą sportową, którą postawił na stole. Przyciągnął krzesło, wyciągnął z torby parę rękawiczek chirurgicznych i włożył je na ręce.

- Co jest w torbie? - zapytałam z ciekawością.

- Nie widziałaś nigdy przyborów do golenia?

Wyciągnął jodynę, maść antyseptyczną, waciki, bandaże, nożyczki, pęsetę, plaster i inne medyczne akcesoria, którymi można by wyposażać niewielki szpital.

- To wszystko przywiózł pan do golenia?

- Zawsze mogę się zaciąć - odpowiedział.

- Albo dostać kulkę w pierś, którą samemu trzeba będzie sobie wyciągnąć.

Monk nasączył wacik jodyną, podniósł go pęsetą i delikatnie obmył ranę. Poczulałam szczypanie, ale nie tak bolesne jak w wypadku słonej wody morskiej.

- Przepraszam. - Monk spojrzał na mnie. - Ale muszę to zrobić.

- Nic nie szkodzi.

Monk jedną ręką podtrzymywał moją nogę, a drugą zajmował się raną. Przyglądałam się z ciekawością, jak ją opatruje. Bardzo mnie poruszył ten przejaw zwykłej troski z jego strony i delikatność. Zawstydzenie z powodu mojej nagości zniknęło, jak ręką odjął. Strach o mnie zdusił w Monku fobie. W każdym razie większość z nich. Z pewnością nadal nie dotknąłby mnie bez rękawiczek.

- Co pan porabiał, kiedy nurkowałam? - zapytałam.

- Pokazywałem pokojówkom, jak odkurzać, myć podłogi i ścierać kurze - odpowiedział Monk. - Świetnie się bawiliśmy.

- Od czasu mojego wyjścia nie robił pan nic innego?

- Jestem na wakacjach, więc daję sobie trochę luzu, lubię czasem poszaleć.

Kiedy skończył opatrywać ranę, za pomocą pęsety włożył zużyte waciki do foliowego woreczka, zamknął go i włożył do drugiego woreczka.

- Odwróć się teraz - powiedział.

- Po co? - zapytałam.

- Żeby ci posmarował plecy.

- Naprawdę pan to robi?

Poszedł do kuchni, urwał długi pas papierowego ręcznika i zaczął go sobie owijać wokół rękawiczki na prawej ręce, aż wyglądał tak, jakby miał na niej kuchenną rękawicę.

- Ugasilałabyś płomień, gdyby paliły mi się włosy na głowie? Rzuciłabyś mi koło ratunkowe, gdybym się topił?

- Oczywiście.

- To zupełnie to samo. - Monk wrócił, wycisnął z tubki krem na moje ramiona i zaczął go wcierać papierowym ręcznikiem.

Doznałam wrażenia, jakby użył lampy lutowniczej. Syknęłam z bólu i odskoczyłam od niego.

- Co się stało? - zapytał.

- Równie dobrze mógłby pan skorzystać z papieru ściernego. Mam bardzo wrażliwą skórę, zwłaszcza gdy jest poparzona. Skoro już chce mi pan posmarować plecy, musi pan to zrobić rękami.

- Chcesz, żebym dotknął twojego ciała?!

- Może pan mieć rękawiczki, jeśli tak panu wygodniej.

Monk wrócił do kuchni i wyjął czysty worek na śmieci. Odwinął z ręki papierowy ręcznik, zmiął go, wcisnął do worka, zamknął dokładnie worek i wrócił na swoje miejsce. Znowu wycisnął trochę kremu na moje ramiona, wziął głęboki oddech i zaczął wsmarować krem w skórę.

W szklanym blacie stołu widziałam odbicie Mońka i grymas obrzydzenia na jego twarzy. Nie dotknęło mnie specjalnie, że przy tej czynności Monk odczuwał wstręt (w każdym razie mam taką nadzieję). Rękawiczki nie mogły go uchronić przed wyczuwaniem między palcami tłustej konsystencji kremu. Bardzo mu się to nie podobało. Ale praca przynosiła efekty. Krem schłodził skórę i szybko złagodził ostre szczypanie, a lekki, niepewny masaż Mońka dostarczał zupełnie miłych wrażeń.

- Jak miło - powiedziałam.

- Przepraszam - zakłopotał się Monk. - Zaraz przestanę.

- Nie, nie, proszę dalej masować. Sądziłam, że chodzi właśnie o to, żebym poczuła się lepiej.

- Ja tylko zapewniam opiekę medyczną.

- Jasne. Właśnie to mam na myśli, znakomita opieka medyczna.

- Cieszę się - powiedział Monk.

Wsmarował jeszcze więcej kremu.

- Jutro zamierzam przez cały dzień zwiedzać wyspę i kupować pamiątki. Może pojedę zobaczyć Spouting Horn i kanion Waimea, a może pojedę w drugą stronę i zobaczę sobie Hanalei - powiedziałam. - Skoro skończył pan śledztwo, powinien się wybrać razem ze mną.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Złapał pan przecież zabójców Helen Gruber - powiedziałam.

- Ale nie złapałem Dylana Swifta.

Odwróciłam się do niego.

- O czym pan mówi?

Monk trzymał ręce daleko od siebie, jakby były pokryte gnojem.

- Mam zamiar zdemaskować nieczne postęпки tego oszusta, bo to jest oszust.

- Proszę, panie Monk, niech pan tego nie robi.

Krzywiąc się, Monk ściągnął zatłuszczoną rękawiczkę, posługując się drugą ręką w rękawiczce.

- To hochsztapler. Dla własnego zysku wykorzystuje innych ludzi i ich ból po stracie bliskich osób.

- Być może. Ale mi to pomogło. Panu również mogłoby pomóc.

- Nie potrzebuję takiej pomocy. - Monk włożył rękawiczkę do worka na śmieci i z torby z przyborami

245 do golenia wyjął nową, czystą rękawiczkę. - On nie rozmawia ze zmarłymi. On cię okpił. Tylko to umie, nabierać ludzi.

Zastanawiałam się, czy wspomnieć Monkowi o tym, co Swift powiedział wczoraj o Trudy, ale pomyślałam, że to tylko wzmocni w Monku postanowienie, by zniszczyć tego człowieka. Nie miałam więc wyboru.

- Niech pan coś dla mnie zrobi, panie Monk - powiedziałam. - Proszę, niech go pan zostawi w spokoju. Niech pan spełni moją prośbę.

Monk patrzył na mnie bardzo długo.

- Dobrze. Ale robię to tylko dla ciebie, nie dla niego.

Dałam mu całusa w czoło.

- Dziękuję panu!

- Czy teraz ty spełniłabyś moją prośbę?

- Oczywiście.

- Mogłabyś nałożyć mi rękawiczkę?

Wzięłam od niego czystą rękawiczkę i naciągnęłam mu ją na lewą dłoń, którą następnie zdjął sobie brudną rękawiczkę z prawej ręki. Wrzucił zabrudzoną kremem rękawiczkę do kolejnego woreczka, potem ostrożnie zdjął z ręki czystą rękawiczkę i również wrzucił ją do worka. Dziwnie było na to wszystko patrzeć. Właściwie sama mogłabym zdjąć mu te rękawiczki, ale szczerze mówiąc, w ogóle nie przyszło mi to do głowy, a on o to nie prosił.

- Codziennie pan przez to przechodzi, kiedy się pan goli?

- Oczywiście - odparł Monk. - Ja wszyscy mężczyźni w Ameryce.

Monk znowu podziwia widoki

Zamówiliśmy obiad do pokoju. Przyniósł go nam osobiście Martin Kamakele, kierownik hotelu. Wcale nie dlatego, byśmy byli VIPami, którym się należy szczególne poważanie. Raczej dlatego, że znowu rozsierdził go Monk, który przez trzy godziny przetrzymał pokojówki, znacznie opóźniając porządki w innych bungalowach i zmuszając kierownictwo hotelu do zapłacenia im nadgodzin.

Kamakele błagał Mońka, żeby więcej nie przeszkadzał pokojówkom w pracy.

Monk się zgodził, ale pod jednym warunkiem: w poniedziałek Kamakele zgromadzi personel odpowiedzialny za czystość w hotelu i pozwoli Monkowi poinstruować wszystkich w dziedzinie historii i teorii sprzątanina, właściwego posługiwania się ścierką do kurzu, mopem, miotłą oraz odkurzaczem. Kamakele, niechętnie, ale się zgodził.

- Podziękuj mi pan później - powiedział Monk.

Obiad zjedliśmy na patio, przyglądając się zachodowi słońca. Potem Monk namówił mnie na partyjkę gry w fistaszki. Ponieważ grałam z pełnym żołądkiem, udało mi się nie zjeść ani jednego orzeszka. Mimo to Monk łatwo mnie pokonał. Dopasowałam co prawda jednego orzeszka do łupiny, ale tylko dlatego, że oszukiwałam. Przy rozłupywaniu zaznaczyłam łupinkę paznokciem, by później łatwiej ją odnaleźć. Nie sądzę, by uszło to uwagi Mońka, ale z litości puścił mi to płazem.

Resztę wieczoru spędziłam nad przewodnikiem turystycznym i mapą, planując, co będziemy robić w niedzielę, i poznając historię najciekawszych miejsc na wyspie.

Z samego rana następnego dnia wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy do kanionu Waimea, który Mark Twain nazwał Wielkim Kanionem Pacyfiku - bo rzeczywiście, jaki inny kanion można by do niego przyrównać? Przychodzi wam jakiś do głowy? Mnie nie. Na pewno jakieś istnieją, ale widocznie nie są tak znane.

Kanion Waimea ma ponad kilometr głębokości, ponad piętnaście kilometrów długości i półtora kilometra szerokości. Żeby do niego dojechać, musieliśmy pokonać blisko sto kilometrów, jadąc krętą drogą przez góry wzdłuż wybrzeża. Wcale mi to nie przeszkadzało, mimo że wrażliwe plecy piekły mnie niemiłosiernie przy zetknięciu z oparciem fotela. Krajobraz był imponujący. Widzieliśmy postrzępione szczyty górskie, bujne łąki, złote plaże i czerwoną rzekę Waimea. Według miejscowej legendy rzeka jest czerwona, ponieważ spływa nią krew Komaliu, córki wodza jakiegoś miejscowego plemienia, którą zamordował u szczytu wodospadu odrzucony przez nią kochanek.

Myślałam, że Monkowi spodoba się ta historia i będzie się spierał, że zabił ją ktoś inny albo że została zamordowana w zupełnie innym miejscu, a jej ciało wrzucono do rzeki.

Jednak Monk nie zwracał uwagi na to, co mówię. Nazbyt był przerażony. Im wyżej wjeżdżaliśmy, tym większe narastało w nim napięcie.

Na pierwszym punkcie widokowym kanionu Waimea Monk nie potrafił nawet wyjść z samochodu. Siedział w środku, obejmując się ramionami, zaciskając mocno powieki, jakby stał nad otchłanią, a nie siedział w samochodzie, zapięty pasem bezpieczeństwa, dobre dziesięć metrów od klifów. Stamtąd, gdzie siedział, nie było nawet widać przepaści.

Wyszłam z samochodu, podeszłam do balustrady i samotnie syciłam oczy pejzażem. W przeciwieństwie do Wielkiego Kanionu, zbocza kanionu Waimea nie były suche i pyliste, lecz gęsto porośnięte zielenią, a po drugiej stronie widoczne były nawet wodospady. Żałuję, ale o kanionie nie mogę wam powiedzieć niczego więcej, bo podziwiałam widok zaledwie przez sześćdziesiąt sekund - wówczas Monk zaczął w panice naciskać klakson.

Było to moje pierwsze i ostatnie spojrzenie na kanion Waimea, jeśli nie liczyć fotografii w przewodniku. Aby nie narażać Monka na hiperwentylację, zawróciłam szybko i zjechałam na równinę, do miasteczka Waimea. Kiedy parkowaliśmy naprzeciw rzędu sklepików, Monk zdążył się uspokoić, choć kolana lekko się pod nim ugięły, kiedy wysiadał z samochodu.

- Chyba mam lęk wysokości - powiedział.

- Byliśmy tam tylko przez parę minut, panie Monk. Pańskie mieszkanie w San Francisco znajduje się na większej wysokości nad poziomem morza niż ten punkt widokowy.

- Wiem. Dlatego w domu staram się nie sięgać na najwyższe półki.

Staliśmy przed sklepem z pamiątkami. Na wystawie wisiały pamiątkowe Tshirty, a otwarte na oścież drzwi przytrzymał obrotowy stojak z pocztówkami.

- Wejść i zobaczę, czy jest coś ciekawego dla Julie - powiedziałam. - Może w tym czasie poukłada pan sobie pocztówki według miejsc geograficznych, rozmiaru i gatunku papieru?

- Też chciałbym jej coś kupić.

Weszliśmy do środka. Półki w sklepiku wypełnione były wszelkiego rodzaju tanimi Tshirtami, strojami kąpielowymi, szortami, kapeluszami, lekkimi szalami i plażowymi ręcznikami. Sprzedawano tu również filmy wideo z krajobrazami wyspy, płyty kompaktowe z hawajską muzyką, biżuterię, kawę kona, chipsy z kolokazji, ciasteczka, orzeszki makadamii, olejki do opalania, okulary przeciwsłoneczne jednorazowego użytku czy figurki tancerzek i tancerzy hula.

Wypatrywałam czegoś szczególnego, czego Julie nigdy nie kupi w San Francisco. Kręciłam się po sklepiku, przyglądając się temu i owemu, kiedy naraz natknęłam się na

ogromny wybór koszulek firmy Red Dirt. Przebierałam je, szukając rozmiaru dla Julie, kiedy podszedł do mnie Monk z jakąś paczuszką w ręku.

- Mam coś dla Julie - powiedział.

Spojrzałam na paczuszkę.

- Pan chce jej kupić patyczki higieniczne do czyszczenia uszu?

- Hawajskie patyczki higieniczne.

- Przecież takie same kupi u siebie - powiedziałam.

- Ale te konkretnie kupuję tutaj.

- Powinien pan kupić jej coś charakterystycznego dla Hawajów, choćby jedną z takich koszulek Red Dirt. Produkuje się je tylko tutaj, na Kauai.

Opowiedziałam Monkowi historię, która się kryła za koszulkami. Była ona nie mniej niezwykła niż same koszulki. Huragan Iniki doszczętnie zniszczył pewną tutejszą fabryczkę T-shirtów, zatapiając całe jej wyposażenie w wodzie i błocie. Jednak coś, co początkowo wyglądało na totalną katastrofę, okazało się mieć swoje plusy. Właściciel zauważył, że nietypowy kolor, na jaki błotna maź zafarbowała koszulki, bardzo mu się podoba. Zamiast więc wyrzucić z magazynów cały zniszczony towar, uruchomił nowy interes; sprzedaż zabrudzonych koszulek.

- Kupujesz dla Julie brudną koszulkę? - zapytał zdumiony Monk.

- Są farbowane. Nikt ich nie moczy w błocie. To chyba różnica, prawda?

- Bynajmniej nie.

- Farbują koszulki w rozmaity sposób. Mają koszulki poplamione kawą, piwem, konopiami, czekoladą, winem. To bardzo fajne.

- To obrzydliwe. Po co to robią? Noszą przez tydzień koszulkę, a potem ją sprzedają?

- To nie są używane koszulki - tłumaczyłam. - Nikt ich nigdy nie nosił.

Nagle Monk zdał sobie sprawę, że farbowane T - - shirty otaczają go z każdej strony. Skurczył się cały w jednej chwili, uważając, by żadną częścią ciała nie otrzeć się o którąś z koszulek, co w tak ciasnym sklepiku wcale nie było łatwe.

- Dlaczego własnej córce chcesz kupować koszulkę zapapraną piwem, potem i wymiocinami?

- Nic nie mówiłam o pocie i wymiocinach. Widzi pan jakieś koszulki z potem albo wymiocinami?

- Prawdopodobnie zachowali je na szczególne okazje - powiedział Monk. - Na ceremonie składania ofiar z ludzi.

- Nie uważa pan, że reaguje trochę przesadnie?

- Mówimy o społeczności, gdzie kupuje się brudne ubrania, a w restauracjach siada się do stołu z jaszczurami. - Monk zniżył głos, nie chcąc, by słyszał nas hawajski właściciel sklepiku. - Trudno wykluczyć kanibalizm.

Zdjęłam z półki dwie koszulki Red Dirt i podniosłam je na wysokość oczu Mońka.

- Która bardziej się panu podoba? Tshirt czy top bez rękawów?

- Zaraz zrobi mi się niedobrze.

Monk cofnął się i ruszył w kierunku drzwi, lawirując ostrożnie między wieszakami, jakby koszulka mogła wyskoczyć i zaatakować go znienacka.

W tej chwili zadzwonił mój telefon komórkowy. Sięgnęłam do torebki i odebrałam połączenie.

- Witaj, Natalie - powitał mnie kapitan Stottle - meyer. - Jak wakacje?

Zerknęłam na Mońka, który stał przed sklepem, głęboko wciągając powietrze.

- Fantastycznie, panie kapitanie. Kanibale deptają nam po piętach, ale jeszcze nas nie zjedli. Monkowi udało się rozwikłać zagadkę pewnego morderstwa.

- Słyszałem - powiedział Stottlemeyer.

- Dzwonił do pana porucznik Kealoha?

- Nie. Czytałem „San Francisco Chronicle”. I jeszcze „USA Today”. I słyszałem w radiu, kiedy jechałem do pracy.

- Ale pan Monk z nikim o tym nie rozmawiał.

- Ale Dylan Swift rozmawiał. Od kiedy Monk pracuje z parapsychologami?

Znowu wyjrzałam na zewnątrz. Monk zaczął układać pocztówki na stojaku przed wejściem. Nie spodoba mu się nowina od Stottlemeyera. Mnie też się nie podobała.

- Wcale z nimi nie współpracuje.

- Słuchając Swifta, w ogóle nie przyszłoby ci to do głowy. Zrobili z nim wywiad jeszcze w ambulatorium, gdzie dochodził do siebie po tym, jak opętały go duchy, które ponoć pomogły Monkowi.

Poczułam się zdradzona, wykorzystana i wściekła na cały świat.

- Co powiedział dziennikarzom porucznik Kea - loha?

- Z tego, co wiem, Kealoha z nikim nie rozmawiał. Kilku jego posterunkowych puściło trochę pary z ust, potwierdzając wersję Swifta. Powiedzieli, że Swift rozmawiał z siłami wyższymi, czy coś w tym stylu. Nic ci o tym nie wiadomo?

- Od naszego przyjazdu nie przeczytaliśmy tu ani jednej gazety i ani razu nie włączyliśmy telewizora.

- Ale byliście przy tym, tak? Czy w tym, co mówi Swift, jest choć krzyńka prawdy?

- Tak i nie - powiedziałam, pokrótce zdając Stot - tlemeyerowi relację z naszych spotkań z Dylanem Swiftem. - Monk uważa, że to żądny sławy, żerujący na ludziach oszust.

- Monk ma rację.

- Tym razem się łudziłam, że może jednak się myli.

- Rozumiem, co czujesz - powiedział kapitan. - Gdyby Monk się mylił od czasu do czasu, moja samoocena uległaby cudownym przemianom.

- W moim przypadku nie chodzi o samoocenę, raczej o spełnienie pewnych bardzo skrytych życzeń.

- W moim wypadku to jedno i to samo.

Podziękowałam kapitanowi za telefon, kupiłam dla

Julie koszulkę Red Dirt oraz naszyjnik z zębów rekina i wyszłam przed sklepik, gdzie Monk wciąż się zajmował pocztówkami.

- Kupiłaś jedną z tych plugawych koszulek, prawda?

- Prosiłam, żeby zapakowali ją w trzy torby i mocno zwiążali. Wrzucę ją do bagażnika i wytrę ręce nawilżoną chusteczką higieniczną.

- Nie obawiasz się, że jeśli Julie pójdzie w tej koszulce do szkoły, ktoś może zawiadomić inspektorów z opieki społecznej?

- Jednak zaryzykuję.

- Poręczę za ciebie przed sądem.

- Dziękuję, będę zobowiązana - powiedziałam.

Włożyłam torbę do bagażnika, wsiedliśmy do samochodu i ruszyłam w drogę powrotną do Poipu.

- Pamiętaj pan, jak poprosiłam, by spełnił pan moją prośbę i nie ścigał Dylana Swifta?

Monk przytaknął.

- To już się nie liczy - powiedziałam. - Niech go pan ściga.

- Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- On sam.

Opowiedziałam Monkowi o rozmowie ze Stottle - meyerem i o tym, że Swift utrzymuje, iż pomógł Monkowi wyjaśnić morderstwo Helen Gruber.

- Jeszcze dzisiaj wieczorem wybiorę się na sesję nagraniową jego programu - zapowiedział Monk. - Zdemaskuję tego aferzystę.

- Dzisiaj jest niedziela, panie Monk. Nie sądzę, by odbywały się jakieś nagrania.

- W takim razie pójdę jutro.

- Martin Kamakele powiedział, że w poniedziałek Swift wraca do San Francisco.

- Więc tam go dopadnę - orzekł Monk.

- Być może nie będzie musiał pan czekać tak długo. Jeszcze tego panu nie powiedziałam, ale wczoraj wieczorem Swift wyjawiał mi, że ma dla pana wiadomość.

- Jaką wiadomość?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, kątem oka spostrzegłam błysk. Odwróciłam głowę w lewo i zobaczyłam ciężarówkę, która przejechała przez skrzyżowanie na czerwonym świetle i sunęła prosto na mnie; jej gigantyczny zderzak połyskiwał niczym obnażone kły.

Nie miałam nawet czasu, żeby wrzasnąć.

Kiedy ciężarówka zahaczyła o przód naszego auta, umieszczona w kierownicy poduszka powietrzna wystrzeliła mi w twarz niczym bokserska rękawica i wszystko zaczęło mi wirować w głowie. Było to tak, jakby oberwać puchową poduszką w czasie jazdy na karuzeli z wirującymi fotelikami.

Kiedy otworzyłam oczy, w uszach mi dzwoniło, zebra bolały mnie w miejscu, gdzie pas wpił się w ciało, a twarz piekła okrutnie, jakby ktoś trzasnął mnie na odlew w oba policzki. Ale żyłam i kolejne części mojego ciała z wolna dawały mi odczuć, że wszystko jest w porządku.

Monk poderwał głowę znad rozdętej poduszki powietrznej pasażera, jakby ktoś nagle wyrwał go ze snu. Wydawał się oszołomiony, ale nie poszkodowany.

Spojrzeliliśmy na siebie bez słowa, a potem na zbitą przednią szybę.

Samochód obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i staliśmy w kierunku, z którego przyjechaliśmy. Przód był kompletnie wgnieciony, a ciężarówka, która nas zahaczyła, zniknęła jak kamfóra. Ze sklepów i restauracji zaczęli wychodzić zaciekawieni ludzie.

- Myślę, że starczy nam na dzisiaj podziwiania widoków - powiedział Monk.

Monk i Dylan Swift

Na chodniku zgromadziła się grupka turystów i miejscowych; zajadali lody shave i przyglądali się, jak dwóch facetów wciąga naszego rozbitego mustanga na lawetę, która miała go przewieźć z powrotem do Lihue. Ulicą przejeżdżało tak mało samochodów, że porucznik Kealoha mógł wykonywać dwa zadania służbowe; przesłuchiwać nas na skrzyżowaniu i kierować ruchem.

- Więc jest pani pewna, że miała zielone światło? - pytał.

- Zdecydowanie - odpowiedziałam. - Zresztą gdyby wina leżała po naszej stronie, kierowca ciężarówki chyba by się zatrzymał, prawda?

Kealoha wzruszył ramionami.

- Może prowadził bez prawa jazdy, może nie miał obowiązkowego ubezpieczenia i wolał uniknąć większych kłopotów. Niech pani powie coś więcej.

- To się stało bardzo szybko. Zdążyłam tylko zauważyć potężne zderzaki, takie, jakie pan ma przy radiowozie, potem pamiętam tylko, jak gapię się w rozdętą poduszkę powietrzną.

Kealoha przeniósł wzrok na Mońka, który przypatrywał się uważnie kawałkom potłuczonego szkła i śladom opon na ulicy.

- A pan coś widział?

- To był brązowy pikap z zabrudzoną tablicą rejestracyjną, ale zauważyłem na niej literę „N” i cyfrę siedem. Przedni zderzak był lekko wgnieciony, a lewy reflektor z przodu zbity, więc auto miało już za sobą kolizję. Kierowca był biały, miał ponad trzydzieści lat, ważył blisko sto kilo, włosy przefarbował na blond w stylu surferów, ponadto miał gęstą kozią bródkę i srebrny kolczyk w lewym uchu. Przednia szyba była zabrudzona martwym robactwem, głównie jakimiś motylami, niestety nie potrafię powiedzieć jakiego gatunku.

Kealoha patrzył na niego osłupiały.

- Pan to wszystko widział?

- Tylko kątem oka.

- Zaraz zarządzę poszukiwanie samochodu. Na takiej wysepce sprowadza się to do zawiadomienia kilku kolegów i poproszenia, aby mieli oczy szeroko otwarte.

Monk przykucnął nad jednym ze śladów opon.

- Dziwne. Wcale nie zwolnił, choć musiał nas widzieć na skrzyżowaniu.

- Dlatego w was uderzył - stwierdził Kealoha.

- Można by się spodziewać, że próbując uniknąć zderzenia, wcisnął z całych sił hamulce. Ale nie. On pędził wprost na nas i nie robił nic.

- Może się śpieszył - zauważył Kealoha. - Albo może ktoś go ścigał.

- Nie było innych samochodów - wtrąciłam. - Na pewno byśmy je zauważyli.

Monk wydał się bardzo zdziwiony.

- Nic już nie rozumiem - powiedział.

Kealoha zamknął notatnik.

- Na pewno nie chcecie, żebym zawiózł was do szpitala? Sprawdzilibyście, czy wszystkie kości macie całe.

Oboje potrząsnęliśmy głowami, ale wzmianka o szpitalu przypomniała mi o Dylanie Swifcie.

- Odzywał się do pana Dylan Swift?

- Nie, ale odzywali się dziennikarze, którym Swift ciągle coś nadaje - odparł Kealoha.
- Wszystkim odpowiadałem, że nie udzielam komentarzy, i nakazałem tym idiotom, moim podwładnym, żeby trzymali język za zębami. Do was też wydzwaniali?

- Żaden dziennikarz się nie odezwał. Mogę się tylko domyślać, że centrala telefoniczna w hotelu nie miała informacji o naszej przeprowadzce do bungalowu Helen Gruber. Swift z pewnością też nie wspomniał o tym dziennikarzom. Nie chce, byśmy skonfrontowali jego wersję.

- Lance też by z nimi nie rozmawiał. Wynajął su - perdrogiego adwokata z Los Angeles, specjalistę od spraw kryminalnych, który jest teraz jego oficjalnym przedstawicielem - powiedział Kealoha. - Przylatuje dzisiaj po południu. Roxanne na razie puściliśmy wolno. Mamy podstawy, aby oskarżyć Lance'a, ale przeciwko pani Shaw nie mamy absolutnie nic. Nawet jeśli miała coś wspólnego z morderstwem, to Lance milczy na ten temat jak grób.

- Gdzie jest teraz Swift? - zapytał Monk.

- Myślę, że w swoim bungalowie. Nie zatrzymali go długo w szpitalu Wilcox Memoriał; nie dolegało mu nic, czego nie wykurowałyby zwykle egzorcyzmy.

- Albo więzienie - dodał Monk.

Kealoha wysadził nas przed wejściem do hotelu Grand Kiahuna Poipu. Kiedy wyszliśmy z samochodu, opuścił okno.

- Kiedy wracacie do Frisco? - zapytał.

- We wtorek - odpowiedziałam. - Dlaczego?

- Zastanawiam się, czy nie ściągnąć więcej policjantów na służbę i czy zasadniczo nie zmienić grafiku dyżurów. Odkąd przyjechaliście na Kauai, gwałtownie wzrosła tu przestępczość.

- Może powinien nas pan zamknąć.

- Przyszła mi już taka myśl do głowy. - Kealoha wyszczerzył w uśmiechu zęby i odjechał

Odwróciłam się i zobaczyłam, że Monk jest już w holu i czyta „Honolulu Advertiser”. Na tytułowej stronie dziennika widniało zdjęcie Dylana Swifta.

Podeszłam do Mońka i zaglądając mu przez ramię, zaczęłam czytać razem z nim artykuł.

LIHUE - Czy zamordowana kobieta wyjaśniła zza grobu zagadkę własnego zabójstwa? Oślawione medium, Dylan Swift, twierdzi, że tak się właśnie stało.

Swift, znany na całym świecie parapsycholog i autor wielu bestsellerów, twierdzi, że potrafi rozmawiać ze zmarłymi. Większość odcinków swojego nadawanego w całym kraju programu nagrywa w hotelu Grand Kiahuna Poipu, gdzie w minioną środę w jacuzzi jednego z bungalowów znaleziono ciało niejakiej Helen Gruber, przebywającej na wakacjach mieszkanki Cleveland, najwyraźniej ofiary nieszczęśliwego wypadku.

Wkrótce Dylan Swift zaczął odbierać od Helen „wiadomości”, dobitnie sugerujące, że padła ona ofiarą morderstwa. Natychmiast podzielił się nimi z Adrianem Monkiem, znanym detektywem z San Francisco, jednym z gości hotelowych, który wspomagał miejscową policję w śledztwie.

Nasze źródła w Departamencie Policji Kauai potwierdzają, że na podstawie informacji Swifta Mon - kowi, wspólnie z hawajskimi śledczymi, udało się postawić zarzut zabójstwa mężowi Helen Gruber, Lance'owi Vaughanowi.

Według naszych informatorów ostatecznych dowodów w sprawie dostarczył właśnie Swift, który w sobotę na miejscu zbrodni, podczas dramatycznej konfrontacji z mężem Helen, transmitował z zaświatów jej głos i słowa. Vaughan został natychmiast aresztowany pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia.

Według niepotwierdzonych informacji Lance Vaughan miał romans z panią Roxanne Shaw, również mieszkanką Cleveland, która także przyjechała wypoczywać na wyspę. Po przesłuchaniu i zwolnieniu pani Shaw policja nie postawiła jej żadnych zarzutów. Ona sama odmówiła wszelkich komentarzy.

Dylan Swift został przewieziony do szpitala Wilcox Memoriał, gdzie w ambulatorium przeszedł szczegółowe badania lekarskie w związku z nie - sprecyzowanym urazem, jakiego doznał po swojej „transmisji”.

„Bez głosu Helen, który nas prowadził”, mówił dziennikarzom Swift, „zagadka jej śmierci nigdy nie zostałaby wyjaśniona. Cieszę się, że miałem swój niewielki udział we wspólnym wysiłku, by sprawiedliwości stało się zadość”.

Monk nie zadał sobie trudu, by przeczytać artykuł do końca. Uważnie złożył gazetę i odłożył ją na stół.

- Jaką wiadomość miał mi do przekazania Swift?
- Widział rękę z sześcioma palcami.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami i zmrużył oczy. Oznaczało to, że głęboko się zastanawia nad faktami i próbuje ułożyć je w całość, zobaczyć, jak do siebie pasują... Lub jak nie pasują.

- Kto wie o tym człowieku? - zapytałam.

- Ja, kapitan Stottlemeyer, porucznik Disher i ty - odpowiedział Monk. - I ten, kto zabił moją żonę.

Monk przeszedł szybkim krokiem przez hol, potem przez teren kąpieliska i wyszedł prosto na bungalow, który stał naprzeciwko naszego. Kilka razy mocno zapukał do drzwi. Otworzył je Swift; w rękę trzymał torebkę z lodem.

- Co za miła niespodzianka - powiedział i zrobił krok do tyłu, by wpuścić nas do środka.

Rozkład jego bungalowu był dokładnie taki sam jak naszego, jednak meble były tu znacznie droższe i jakby bardziej męskie; ze skóry i ciemnego drewna koa. W wystroju wnętrza brakowało motywów tropikalnej roślinności, za to dużo więcej było obrazów marynistycznych, przedstawiających żaglowce na wzburzonym morzu.

- Przyszliśmy zapytać, jak się pan czuje - zaczął Monk.

- Oparzyłem się przy śniadaniu - powiedział Swift, pokazując okropny pęcherz pod torebką z lodem. - Poza tym czuję się znakomicie. Poddanie się mocom duchowym powoduje ból głowy i pewną dezorientację, ale zazwyczaj nie pozostawia trwałych urazów.

- Miałem na myśli gadulstwo, które uprawiał pan przed dziennikarzami - powiedział Monk. - Dziw bierze, że nie zdarł pan sobie gardła.

- Im bardziej mogę zainteresować ludzi życiem po życiu, tym lepiej będą przygotowani na spotkanie ze śmiercią i na ból po stracie bliskiej osoby.

Dawno już nie słyszałam takich komunałów i tak mnie to zdenerwowało, że nie wytrzymałam.

- Pan próbuje zbić kapitał na śmierci pani Gruber i wypromować swoją osobę, swoje książki, seminaria i program telewizyjny. To obrzydliwe.

- Sądziłem, że trochę lepiej mnie znasz, Natalie.

- Ja też tak sądziłam, dopóki nie przeczytałam w gazetach, co pan wygaduje.

- To nie ja zawiadomiłem media, lecz ktoś ze szpitala lub policji. Ja tylko starałem się szczerze odpowiadać na pytania.

- Może odpowie pan również na parę moich pytań? - zapytał Monk.

- Oczywiście.

- Natalie powiedziała, że ma pan dla mnie wiadomość.

Zdawało się, że Swift jakby się odprężył. Kiwnął potakująco głową, usiadł i wskazał nam kanapę naprzeciwko siebie, na której usiedliśmy.

- Miałem cichą nadzieję, że pan o to zapyta. Krótco po tym, kiedy zetknąłem się z panem po raz pierwszy, doznałem niezwyklej wizji dłoni z sześcioma palcami. Myślałem

potem, że symbolizowało to może coś, co może mieć związek z morderstwem Helen. Jednak wczoraj wieczorem, kiedy sprawa Helen Gruber została zamknięta, znowu zobaczyłem tę dłoń i wiedziałem już, że rzecz dotyczy pana. Bardzo silnie wyczuwam literę T. Czy ktoś panu bliski nosi imię, które się zaczyna na literę T?

- Moja żona, Trudy.

- Czy ona zmarła?

Monk przytaknął.

- Została zamordowana. Bomba w samochodzie.

Zastanawiało mnie, dlaczego Monk podjął grę i podsuwa Swiftowi dalsze informacje. Chodziło mu o to, by pociągnąć go za język, czy też nie potrafił się oprzeć własnej ciekawości, pragnieniu, by jeszcze raz usłyszeć Trudy, nawet jeśli miałby to być głos nieprawdziwy?

- Wyczuwam wielką frustrację, olbrzymią niepewność. Są pytania, na które Trudy musi poznać odpowiedź. Dopóki nie będzie ich znać, nie dostąpi prawdziwego spokoju.

- Ja również. Zawsze tak z nami było - powiedział Monk. - Zawsze czuliśmy to samo. Jakbyśmy byli jedną osobą, a nie dwiema.

- To miłość, panie Monk, najpotężniejsza siła wszechświata. Wiąże nas nawet po śmierci.

Byłam zaskoczona otwartością Mońka, nie spodziewałam się, że tak wiele wyzna człowiekowi, któremu nie ufa. To nie była tylko gra; Monk naprawdę się otworzył. Czy była to cena, jaką musiał zapłacić za zdemaskowanie Swifta, czy też miał nadzieję, że pozna jakąś większą prawdę?

- Ona musi wiedzieć, co się stało - powiedział Swift. - Musi wiedzieć, dlaczego zginęła.

- Tego sam nie wiem - odpowiedział Monk smutnym głosem. - Miałem nadzieję, że Trudy mi to powie.

- Jest coś, co chciałaby panu przekazać, co być może mógłby pan wykorzystać, by uwolnić siebie i żonę od nurtujących was pytań.

- Proszę mi o tym powiedzieć.

- Były inne śmierci. Kobiet. Wielu kobiet. Ale nie w San Francisco. Wyczuwam wiele strachu, wiele bólu. Widzę garbusa, który dźwiga na barkach figurę Chrystusa.

- Corcovado - wyrwało mi się.

Monk i Swift spojrzeli na mnie.

- To znaczy „garbus” - wyjaśniłam. - To góra w Rio de Janeiro, na której szczycie stoi gigantyczny posąg Chrystusa Zbawiciela. Widać go niemal z każdego punktu w mieście.

- Rio de Janeiro. Tak. Teraz widzę posąg, jego rozłożone ręce. - Swift stęknął. - Jedna z jego dłoni ma sześć palców.

- Nie, nie ma - zaprzeczyłam.

- To, co widzę, nie jest dosłowne - powiedział Swift. - To metafora, pewnego rodzaju symbol, który kryje znaczenie. Wydaje mi się, że Trudy usiłuje nam przekazać wiadomość, iż mężczyzna, którego pan poszukuje, przebywa w Brazylii.

Monk wstał z kanapy.

- Dziękuję.

Dylan Swift także wstał. Ja również.

- Powodzenia, panie Monk. Mam nadzieję, że znajdzie pan odpowiedzi na swoje pytania.

Spojrzałam Swiftowi w oczy.

- Czy jutro przeczytamy o naszej rozmowie w gazetach?

- Pozostanie ona tylko między nami - odpowiedział Swift. - Macie moje słowo.

Odprowadził nas do drzwi. Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, szepnęłam do Mońka:

- Dobrze się pan czuje, panie Monk?

- Skąd to pytanie?

- Swift dotknął mnóstwa pana bolesnych uczuć.

- One nigdy nie kryją się głęboko - odpowiedział Monk.

- Jestem po prostu zdumiona, że odpowiadał pan na wszystkie jego pytania.

- Nie powiedziałem mu nic, czego sam nie mógłby się dowiedzieć - stwierdził Monk. -

Albo czego już się nie dowiedział.

- Powiedział mu pan o swoich uczuciach.

- Tylko tyle, ile każdy mógłby się u mnie spodziewać po zamordowaniu Trudy.

- Ale wszystko, co pan powiedział, było prawdą.

- To łatwiejsze niż kłamstwo.

Doszliśmy do naszego bungalowu. Otworzyłam kluczem drzwi i weszliśmy do środka.

- Co pan sądzi o tym, co powiedział Swift?

- Zastanawiam się, dlaczego chce, żebym najbliższym samolotem poleciał do Brazylii.

- To proste. Doskonale wie, że jest pan na niego wściekły za wykorzystanie pana osoby do własnej promocji - odpowiedziałam. - Boi się, że pan go zdemaskuje.

- Och, na pewno to zrobię - powiedział Monk. - Zastanawia mnie tylko, czy to jedyny powód, dla którego chce, abym wyjechał.

- To mało?

Monk wzruszył ramionami i spojrzał na wentylatory na suficie.

- Jak ci się wydaje, poruszają się z równą szybkością?

23

Monk idzie na festyn luau

Zamknięty ogród luau oświetlały pochodnie rozmieszczone na jego obwodzie oraz świece, które ustawiono na długich matach z palmowych liści lauhali rozpostartych na trawie niczym podłogowe słomianki. Na każdej macie leżał duży stroik upleciony z miejscowych kwiatów, paproci i liści ti. Młodziutkie Hawajki stawiały na matach misy z kalabasy - pełne słodkich ziemniaków, poi, owoców tropikalnych i jakiegoś mięsa. Dziewczęta miały na szyi lei, a nad kostkami stóp bransolety z muszelek. Ubrane były w spódniczki z trawy i biustonosze z przepołowionych łupin kokosa.

Na scenie stała kapela Hawajczyków z gołymi torsami, w sukniach z trawy i maile lei na głowach, którzy grali i śpiewali po hawajsku. Nie wiem, o czym mówiła pieśń, ale była powolna i usypiająca; taki muzyczny odpowiednik wylegiwania się w hamaku i kołysania na lekkiej bryzie.

Znajdowaliśmy się wśród setki innych gości hotelowych, prowadzonych na miejsca przez hostessę, kolejną Hawajkę w trawiastej spódniczce i kokosowym biustonoszu, która sadzała ich w luźnym kręgu przed kopcem piasku usypanym przy samej scenie.

Monk skoncentrował całą uwagę na matach i stawianych przez Hawajki miskach z jedzeniem.

- Gdzie stoły i krzesła? - zapytał.

- Nie ma - odpowiedziałam.

- Gdzie zatem będziemy jedli?

- Potrawy podaje się na matach.

- To znaczy, że za każdym razem, gdy zechcemy coś ugryźć, będziemy musieli się schylać? Kompletnie bez sensu.

- Będziemy siedzieć na ziemi, panie Monk.

Spojrzał mi głęboko w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy żartuję, czy mówię poważnie.

- Ty będziesz siedzieć na ziemi - powiedział w końcu dobitnie. - Ja będę stał.

- W porządku.

- Nie widzę sztućców.

- Na pewno zaraz przyniosą.

Hostessa wkroczyła na środek kręgu. Miała długie, krucze włosy i brzuch tak płaski jak maty, na których mieliśmy spożywać posiłek. Odruchowo dotknęłam własnego brzucha i spostrzegłam, że to samo robią wszystkie kobiety powyżej osiemnastego roku życia.

- Witamy państwa w Grand Kiahuna Poipu - powiedziała hostessa. - Nazywam się Kiki i będę państwa przewodnikiem po luau i po historii Hawajów, którą opowiemy w naszym tańcu i pieśniach.

Potem zaczęła wyjaśniać, że święto luau obchodzili już pradawni Hawajczycy, chcąc w ten sposób uczcić najważniejsze wydarzenia i komunikować się z bogami. Jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu nazywano to święto aha'ainas; wówczas to podczas jednej ze świątecznych uroczystości pewien europejski gość przez Pomyłkę wziął nazwę luau, posiłku z mleka kokosowego, kolokazji i kurczaka, za ogólną nazwę całego święta. I tak już zostało.

Monk podniósł rękę, a ja natychmiast przypomniałam sobie chwilę, kiedy ostatni raz stałam w tym sa-

267

266 mym ogrodzie - czyli podczas ślubu Candace. Pocieszałam się w myślach, że cokolwiek by dzisiaj Monk wywinął, to nie będzie w stanie narobić mi większego wstydu niż wtedy.

Cóż za naiwność.

- Wybacz, że przerywam, Kiki - powiedział. - Skoro o posiłkach mowa, doszła moich uszu głupia plotka, że podczas jedzenia będziemy siedzieć na ziemi.

- To prawda, proszę pana. To tradycyjne luau. Usiądzie pan przy macie z liści lauhali i podamy panu autentyczne hawajskie potrawy, jak na przykład poke. - Wskazała ręką miskę z mięsem i dodała: - Czyli surową marynowaną rybę.

- Surową...? - Monk aż się zachłysnął, wymawiając to słowo.

Kiki się uśmiechnęła.

- Zapewniam, że jest wyborna. Choć muszę przyznać, że dzisiejszego wieczoru nie wszystko będzie autentyczne. Gdyby nasze luau odbywało się w tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym roku, kiedy na wyspy przyplłynął kapitan Cook, mielibyśmy tutaj hawajskich kapłanów, którzy przeżuliby dla pana mięso przed spożyciem.

Monk rzucił mi osłupiałe spojrzenie, bardzo podobne do tego, które widziałam u niego w sklepie z Tshir - tami, jakby chciał mi powiedzieć: „A nie mówiłem?” Odwrócił się z powrotem do Kiki.

- Gdzie są sztucce?

- Podobnie jak w czasach wystawnych i radosnych luau, którymi cieszyli się król Kamehameha II i jego czcigodni goście, będziecie państwo jedli rękami - wyjaśniła Kiki. - Co szczególnie się przyda przy jedzeniu naszego osławionego dwupalcowego poi.

- Całe szczęście, że się na to przygotowałem - szepnął do mnie Monk, sięgając do kieszeni i wyjmując zamykany woreczek foliowy, w którym znajdował się komplet sztucców.

- Przyniósł pan sztucce z bungalowu?

Monk potrząsnął głową.

- Przywiozłem z domu.

Do stojącej w kręgu Kiki dołączyli dwaj Hawajczy - cy w tradycyjnych strojach, czyli właściwie bez żadnego stroju. Obaj mieli w rękach łopaty.

- Głównym daniem dzisiejszego wieczoru będzie świniak kalua, który już od dziewięciu godzin zapieka się w naszym palenisku imu. - Kiki wskazała na kopiec za swoimi plecami.

- Ona pokazuje na ziemię - zauważył Monk.

- Tak, panie Monk. Wiem.

Obaj Hawajczycy zaczęli rozkopywać górę piachu, a Kiki opowiadała dalej. Po chwili z rozgrzanego piasku podniósł się dym, a mężczyźni zlali się gorącym potem.

- W dziurze, wykopanej na głębokość dwóch metrów, wyłożonej liśćmi bananowca, układa się rozgrzane kamienie. Świniak zostaje posolony, złożony w dziurze, znowu obłożony liśćmi bananowca dla utrzymania ciepła i zagrzebany w piasku.

- Zagrzebany? - powiedział głośno Monk, wychodząc na środek kręgu i zwracając się do pozostałych turystów. - Mamy jeść coś, co zagrzebali w ziemi? Czy im się wydaje, że jesteśmy prostymi dzikusami?

- Panie Monk, proszę... - Wciągnęłam go z powrotem między ludzi. - Niech pan nie robi scen.

- Poczekajcie tylko, jak usłyszy o tym Departament Zdrowia - powiedział do Kiki. - Natychmiast zamkną to miejsce.

- Robimy tak od stuleci - powiedziała z rozbawieniem Kiki; uśmiech na jej twarzy nie gasł ani na chwilę.

- Ale tylko do dzisiaj. Poinformuję o tym, kogo trzeba, moja pani.

- Ależ zapewniam pana, jeśli chodzi o świniaka kalua, nie ma najmniejszych powodów do obaw.

W tym momencie jakaś kobieta w tłumie krzyknęła przeraźliwie. Odwróciliśmy się w jej kierunku i zobaczyliśmy, jak starsza pani cofa się krok po kroku, a szerokie ze strachu oczy ma utkwione w imię za plecami Kiki. Wszyscy podążyli za jej wzrokiem.

Obaj Hawajczycy, z oczami równie szeroko otwartymi jak u starszej pani, rzucili łopaty i przerażeni zaczęli się odsuwać od dziury, z której wykopali ludzką rękę - powykręcaną i upieczoną do czerwoności, sterczącą sztywno spod dymiącego piasku.

Poczułam w piersiach nieracjonalne ukłucie strachu i instynktowny odruch, by uciec jak najdalej. Najwyraźniej nie byłam w tym odosobniona. Przerażeni goście zaczęli w panice wybiegać z ogrodu, ale Monk stał w miejscu i wcale nie wyglądał na przejętego. Prawdę mówiąc, nie wydawał się nawet zaskoczony.

Spojrzał na mnie i westchnął ciężko.

- Mówiłem ci, że to kanibale.

Trzeba oddać porucznikowi, że ani trochę nie poczuł się urażony sugestią Mońka, że Hawajczycy to kanibale.

- Doprawdy, nie sądzę, by ktoś tu żywił zamiary podania tego człowieka w charakterze potrawy - powiedział Kealoha. - Gdyby tak było, zdjęliby z niego ubranie i czymś przyprawili. Tak tu w każdym razie robimy, kiedy zjadamy ludzi.

Policja ogrodziła ogród żółtą taśmą ostrzegawczą, a technicy policyjni wykopywali denata, starając się naruszyć wokół ciała jak najmniej piasku, by zachować dla patologa ewentualne dowody w sprawie.

Widać było, że martwy mężczyzna ma na sobie drogie hawajskie ubranie, jednak jego spieczona twarz była nie do poznania. Według medyka sądowego pierwsze zebrane dowody wskazują, że ofiara została zabita uderzeniem w głowę tępym narzędziem.

Jeden z techników wy dostał z kieszeni ofiary portfel i przyniósł go w plastikowym woreczku do Kealohy.

- Nazywa się Martin Kamakele - powiedział policjant.

- To kierownik hotelu - wtrącił Monk.

- Na jednej z łopat znaleźliśmy zaschniętą krew i tkanki mózgu - mówił dalej technik policyjny. - Można w ciemno założyć, że łopata była narzędziem zbrodni.

- Dziękuję. - Kealoha westchnął i spojrzał na Mońka. - W ciągu jednego tygodnia dwa morderstwa w tym samym hotelu. Cholerny zbieg okoliczności.

- To nie zbieg okoliczności - zaprzeczył Monk.

- Myśli pan, że to morderstwo ma związek ze sprawą Helen Gruber?

- Nie może być inaczej - odpowiedział Monk.

- W jaki sposób? - zapytałam. - Lance zabił Helen dla pieniędzy. Cóż wspólnego mógł z tym mieć Kamakele?

- Nie wiem.

- Polecę, żeby zatrzymano Roxanne i dowieziono ją na przesłuchanie - powiedział Kealoha. - Ale zdziwiłbym się, gdyby to ona zrobiła. Jeden z moich ludzi obserwuje ją przez cały dzień.

- Podejrzewał pan, że może coś zrobić? - zapytałam.

Kealoha wzruszył ramionami.

- Doszedłem do wniosku, że nie zaszkodzi mieć ją na oku. Ale z pewnością nie miałem na myśli tego, że mogłaby rozkwaśnić komuś głowę łopata.

- To nie było morderstwo z premedytacją - powiedział Monk. - Popołniono je w nagłym przypływie gniewu.

- Skąd pan wie? - zapytał Kealoha.

- Prosiak został zagrzebany dziewięć godzin temu, a ciało spoczywało na nim. Do zabójstwa doszło więc za dnia. Zabójca nie przyniósł ze sobą narzędzia zbrodni, lecz użył to, co znalazł pod ręką, co prawdopodobnie leżało po prostu na ziemi. Nie próbował też pozbyć się ciała, a tylko ukryć je na pewien czas, aby opóźnić jego odnalezienie. Kto w taki sposób zaplanowałby morderstwo?

- Nikt - zgodził się Kealoha.

- Jednak Lance tak zaplanował - wtrąciłam. - Wszystko miało wyglądać tak, jakby Helen została zamordowana za dnia przez kogoś, kto uderzył ją orzechem kokosowym.

- Uważa więc pani, że Kamakele został wczoraj wieczorem zabity, potem wcisnięty do jakiejś lodówki i zakopany dzisiaj rano, żeby zabójca miał niepodważalne alibi?

- Nie. Zauważam tylko podobieństwa - odpowiedziałam. - Dwa morderstwa w świetle dnia, dwa razy zabójca znajduje coś na ziemi i wali tym w głowę swoją ofiarę. Po prostu wydaje mi się to dość dziwne, i tyle.

Monk podniósł głowę i spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem, jakby nagle zauważył, że zamiast dwóch, mam trzy dziurki w nosie.

- Co? Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

- Bo właśnie rozwiązałaś połowę zagadki - powiedział Monk. - Teraz pozostaje mi odgadnąć drugą połowę i morderca wpadnie nam w ręce.

Monk wysła list

Wciąż się zastanawiałam, co Monk miał na myśli, mówiąc, że rozwiązałam połowę zagadki. Nie miałam pojęcia, o co mogło mu chodzić. Jedną z rzeczy, które najbardziej mnie

irytują w Monk, poza tymi zupełnie oczywistymi, jest to, że potrafi rzucić takie stwierdzenie, a potem nic nikomu nie wyjaśnia.

Postawiwszy tak godną uwagi tezę, Monk się odwrócił i wyszedł z ogrodu, zbyt zatopiony w myślach, by powiedzieć choćby krótkie „do widzenia”.

Było to frustrujące dla mnie, ale jeszcze bardziej dla Kealohy, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego Monk pozostawia go w niepewności.

- Specjalnie mnie tak torturuje, prawda? - zapytał mnie.

- Każdemu to robi - uspokoiłam go. - Nie powie, kto jest zabójcą, dopóki nie będzie wiedział, jak to udowodnić.

- Niechby chociaż podzielił się z nami informacją, kogo podejrzewa, to może moglibyśmy mu pomóc.

- To może być ta połowa, której nie zna.

- W takim razie będę musiał brnąć dalej zwykłą drogą, jakby Mońka tu nie było. Sprawdź, czy Martin Kamakele miał wrogów, i dowiem się, co robiła dzisiaj Roxanne Shaw.

- Proszę dać nam znać, dobrze?

Kealoha kiwnął głową, a ja ruszyłam do bungalowu. Widok upieczonego trupa odebrał mi apetyt na obiad i nabrałam wątpliwości, czy w ogóle jeszcze będę w stanie przełknąć mięso.

Kiedy dotarłam do domu, Monk siedział przy stole w kuchni i samotnie grał w fistaszki, rozłupując orzeszki i składając je na nowo.

Nie przeszkadzałam mu. Doszłam do wniosku, że gra zapewne pomaga mu zebrać myśli. Popływałam więc trochę w basenie, potem zadzwoniłam do Julie, żeby sprawdzić, co nowego w domu, a w końcu wyszłam z sypialni powiedzieć Monkowi dobranoc.

Siedział w salonie, w ciemności, z twarzą zwróconą w kierunku patio, i wsłuchiwał się w szum morskich fal. Plecy miał wyprostowane jak struna i wpatrywał się w ciemność, jakby na coś patrzył.

- O czym pan myśli? - zapytałam.

- Kiedy urodziła się Trudy, babcia zrobiła jej na drutach żółty wełniany kocyk. Trudy była nim opatulana jako niemowlę. Wgryzała się w jego narożniki, kiedy wyrzynały się jej ząbki. Jako dziecko nie potrafiła bez kocyka zasnąć, tak się do niego przyzwyczaiła.

- Uspokajacz. Każde dziecko ma coś takiego. Ja miałam pluszowego lisa, którego nazywałam liskiem.

- Trudy mówiła na kocyk „Nockanočka”. W miarę jak podrasła, kocyk coraz bardziej się wycierał i strzępił. Rodzice próbowali ją odzwyczaić od niego i namówili babcie,

żeby zrobiła jej identyczny kocyk, ale mniejszy, taki, który mogłaby nosić w kieszeni. Jednak Trudy go nie zaaprobowała. Nic nie mogło zastąpić jej „Noćkinočki”.

- Kiedy w końcu się z nim rozstała? - zapytałam.

- Nigdy - odpowiedział Monk. - Spała ze swoją „Noćkąnoćką” wtedy, kiedy ją poznałem, i przez wszystkie lata naszego małżeństwa. Pochowałem Trudy razem z jej kocykiem, żeby zawsze było jej ciepło i dobrze.

- Dlaczego teraz pan o tym myśli?

- Bo wciąż tak myślę o Trudy. Ona jest moją „Noćkąnoćką”. - Monk westchnął głęboko, ale nie ze smutkiem, raczej z ulgą. - Nigdy nie mówiłem nikomu ani o kocyku, ani o tym, że pochowałem go z Trudy.

- Cieszę się, że mnie pan to powiedział. - Położyłam mu rękę na ramieniu i uścisnęłam je delikatnie. - Dobranoc, panie Monk.

- Dobranoc, Natalie.

Poszłam do łóżka, zostawiając Mońka samego z jego wspomnieniami i marzeniami.

Rano nie wiedziałam, czego oczekiwać. Został nam tylko jeden dzień pobytu na Hawajach i miałam nadzieję spędzić go na wypoczynku. Ale wiedziałam, że Monk nie spocznie, dopóki nie wykryje zabójcy Ka - makele i nie zdemaskuje Dylana Swifta jako oszusta, a to oznaczało tyle, że ja również nie zaznam spokoju.

Znalazłam Mońka przy stoliku w kuchni, gdzie z wielką pieczołowitością składał na pół list, napisany jego pismem, równie idealnym jak pismo maszynowe. Po chwili wsadził list do wewnętrznej kieszeni.

- Dzień dobry, Natalie. Dobrze spałaś?

- Jak zahibernowana. A pan?

- Ja pisałem list - powiedział Monk.

Napisanie własnego nazwiska na rachunku karty kredytowej zajęło Monkowi dwadzieścia minut, nie miałam więc wątpliwości, że napisanie listu zajęło mu większość nocy.

- Do kogo?

- Do kapitana Stottlemeyera - odpowiedział Monk.

- To miło - powiedziałam. - Na pewno to doceni.

- Chciałbym się zatrzymać w drodze na śniadanie i poświadczyć autorstwo listu przed notariuszem. Chyba jest wśród personelu jakiś notariusz, prawda?

- Nie wiem - odparłam. - Jestem jednak pewna, że wystarczy nakleić znaczek na kopertę, nic więcej nie potrzeba.

- Wolałbym jednak znaczek stemplowany - powiedział i ruszyliśmy do drzwi.

- Jakie plany na dzisiaj? - zapytałam.

- Cieszyć się Hawajami - odpowiedział.

- A co ze śledztwem w sprawie morderstwa?

- W połowie jest wyjaśnione.

- A co z drugą połową?

Zbył mnie machnięciem ręki.

- Przyjdzie czas i na drugą połowę.

Byłam zdumiona. Nigdy dotąd nie podchodził do śledztwa tak beztrosko.

- A Swift? - zapytałam. - Już nie ma pan zamiaru go demaskować?

- Przyjdzie czas i na niego.

Nie miałam bynajmniej zamiaru namawiać go do zagłębiania się w kolejną sprawę, jednak była to w Mon - ku tak radykalna odmiana, że wzbudziła we mnie niepokój.

- Jak może pan traktować te sprawy z takim lekkim sercem?

- O to przecież chodzi na wakacjach, prawda? Spróbuj, sama zobaczysz.

- Chyba nie zażył pan swojej pigułki?

- Po co? Zresztą, zachowuję ją na lot powrotny do domu.

Postanowiłam więcej nie kwestionować swojego szczęścia i cieszyć się dniem całą duszą.

W drodze do restauracji zatrzymaliśmy się w recepcji, gdzie powitał nas Tetsuo. Cały personel, jak mówił, wciąż był pogrążony w szoku po tym, co się stało ich szefowi, Martinowi Kamakele. Krążyły nawet pogłoski o całkowitym zaprzestaniu organizowania w hotelu festynu luau.

- Myślę, że to znakomity pomysł - powiedział Monk. - Potem powinniście się zastanowić nad tym, by składać ręczniki, zamiast je zwijać. Barbarzyństwu raz na zawsze trzeba powiedzieć stanowcze „nie”.

Monk zapytał, czy wśród hotelowego personelu znajdzie notariusza. Okazało się, że owszem, i był to sam Tetsuo. W czasie więc, gdy Monk i Tetsuo przeszli do biura, by poświadczyć list, ja poszłam do bufetu na śniadanie. Po drodze zerknęłam na frontowe drzwi i zobaczyłam, jak Dylan Swift wsiada przed hotelem do limuzyny, która miała go zawieźć, jak się domyślałam, na lotnisko. Uśmiechnął się z daleka i pokiwał do mnie krótko ręką. Odwzajemniłam pozdrowienie lekkim skinieniem głowy.

Łatwo się wymykał. Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy, jak blisko była chwila, by cała jego kariera legła w gruzach. Wyjeżdżając do San Francisco i usuwając się w cień, zyskiwał szansę, że Monk kompletnie o nim zapomni.

Monk był w tak dobrym humorze, że nawet nie pouczał mnie ani personelu w restauracji o potwornościach stołowania się w ogólnodostępnym bufecie. Z drugiej strony, w porównaniu z nieudanym luau z poprzedniego wieczoru, bufet wydał się zapewne - nie Monkowi - czymś nad wyraz higienicznym - w każdym razie krokiem we właściwym kierunku.

Monk pałaszował swoje płatki Chex z mlekiem, a ja pozwoliłam sobie na hawajskie śniadanie złożone z kiwi, ananasa, naleśników z orzechami makada - mii, polanych syropem kokosowym, i filiżanki wyborowej kawy kona.

Po śniadaniu wróciliśmy do bungalowu, gdzie włożyłam bikini. Plecy miałam co prawda spalone słońcem, ale przód nie, więc posmarowałam się mleczkiem do opalania i ułożyłam wygodnie na słońcu.

Monk nie mógł się doczekać pokojówek. Gdy tylko się pojawiły, zaraz zapędził je do salonu na seminarium dotyczące podstawowych zasad utrzymywania czystości w domu. Po śmierci Kamakele nie było nikogo, kto broniłby Monkowi zaprzątania uwagi pokojówek i zabierania im czasu. Monk zaczął od teorii odkurzania.

- W strategii skutecznego odkurzania wyróżniamy trzy etapy - perorował. - Rozpoznanie. Planowanie. Działanie. Należy więc rozpoznać teren, sporządzić mapę działań ofensywnych i przystąpić do odkurzania, niezłomnie trzymając się nakreślonego planu, bez względu na nieprzewidziane przeszkody, które mogą się po drodze pojawić. Pozwolą panie, że zademonstruję...

Przez następne czterdzieści pięć minut potrafiłam nie zwracać na niego uwagi, dopóki nie zaczęło się rzeczywiste odkurzanie i hałas nie wykurzył mnie z bungalowu. Włożyłam Tshirt i wyszłam na spacer.

Nogi poniosły mnie w okolice „Ustronia wielo - rybnika” i nie mogłam się oprzeć pokusie, by spojrzeć na domek Roxanne Shaw. Była na miejscu, siedziała na lanai i patrzyła na ocean. Jej sąsiedzi również siedzieli na lanai i wygrzewali się w słońcu. Ciekawe, czy para swingersów już ją zaprosiła na urocze „dwie na jednego”.

Szłam dalej nadmorskim bulwarem, zatrzymując się raz i drugi, aby spojrzeć na pływające między skałami morskie żółwie, którym jakimś cudem udawało się uniknąć zgniecenia przez silne fale.

Ulica zakręcała łukiem w kierunku Koloa Landing, miejsca, w którym rzeka uchodziła do oceanu. Do roku 1900 był to główny port statków wielorybni - czych i handlu morskiego

na Kauai. Przybrzeżne wody portu, pełne wodorostów i mułu, były popularne wśród pletwonurków i amatorów snorkowania. Tam, gdzie niegdyś wznosiły się doki i magazyny, dzisiaj stał walący się domek wczasowy, zbudowany z kamieni wulkanicznych, a po przeciwnej stronie skromny kompleks apartamentów tulący się do skalistego cypla.

Szłam dalej, przez betonowy most nad rzeczka, na północ, mniej więcej w kierunku Spouting Horn, cudu natury, będącego czymś w rodzaju gejzera. W zwykłych kłapkach nie miałam jednak zamiaru zejść aż tak daleko. Idąc wzdłuż szarpanej linii brzegowej, mijałam wiele domów, hotelików i apartamentów. Nie było tu plaży, ale ten brak kompensowały inne dobrodziejstwa przyrody - widoki, które zdawały się ciągnąć daleko w morze, ku nieskończoności, i fantastyczny spektakl wysokich fal, rozbijających się z hukiem o skały, w eksplozji obłoków oceanicznego pyłu.

Doszłam do Prince Kuhio Park, spojrzałam na zadbane trawniki, mulisty staw z rybami i zbudowane z kamieni wulkanicznych, dobrze zachowane fundamenty ruin świątyni Ho'ai Heiau. W tym parku urodził się książę Jonah Kuhio Kalaniana'ole, ostatni z dziedziców hawajskiego tronu królewskiego, który zmarł w 1922 roku. Próbowałam sobie wyobrazić, jak to miejsce wyglądało sto lat temu, kiedy książę się urodził, ale nastrój psuł sąsiadujący z parkiem szpetny ośrodek wypoczynkowy i surferzy popijający głośno piwo na swoich lanai.

Ruszyłam z powrotem tą samą drogą, tym razem idąc dużo wolniej. Energia, która przywiodła mnie tak daleko, całkowicie wygasła. Było mi gorąco, czułam zmęczenie, piekły mnie plecy i bolały stopy.

Naprzeciw „Ustronia wielorybnika” na murze przy drodze siedziała Roxanne Shaw - przodem do mnie. Odniosłam wrażenie, że czekała na mnie.

Podeszłam i usiadłam obok niej. Na narożniku ulicy dostrzegłam nieoznakowany samochód policyjny; jakiś spocony detektyw w jaskrawej koszuli hawajskiej nawet nie starał się ukryć tego, że uważnie nas obserwuje.

- De facto siedzę w areszcie domowym - powiedziała Roxanne z goryczą w głosie.

Założę się, że po raz pierwszy w życiu użyła w rozmowie wyrażenia „de facto”.

- Mogło być gorzej - powiedziałam - Mogła pani dzielić teraz celę ze swoim kochankiem.

- On nie zrobił nic złego.

- Jasne, pan Niewinny. Nie zabija kobiet, po prostu żeni się z nimi dla pieniędzy i czeka, aż umrą.

- Może nie jesteśmy doskonałymi ludźmi - powiedziała. - Ale na pewno nie złymi. Starsze panie też coś z tego miały. Myśli pani, że nie cieszyło ich posiadanie dla siebie chłopczyka, adoratora i zabawki w jednej osobie?

- Już to przerabialiśmy. Chyba nie czekała tu pani na mnie, żeby mi opowiedzieć o waszych humanitarnych odruchach.

- Monk się myli. Lance nie zamordował Helen Gruber. Nie ukartował tego w tak przemyślny sposób, by stworzyć sobie alibi. Nie jest aż tak inteligentny.

- Po raz pierwszy powiedziała pani coś, w co byłabym skłonna uwierzyć. Może to pani była mózgiem?

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Ja daję sobie radę dzięki temu, że mam czym oddychać i na czym usiąść, a nie dzięki intelektowi.

- Och, świetnie. Niech pani to powie ławie przysięgłych - sarknęłam. - Na pewno wywrze to na nich wrażenie. Tylko niech pani nie zapomni pokazać trochę dekoltu, żeby dobrze sprzedać całą myśl.

- Pani musi nam pomóc - powiedziała błagalnym tonem.

- Niech mi pani poda choć jeden powód. Może na początek niech pani powie, kto zabił Martina Kama - kele.

Roxanne wzruszyła ramionami.

- Do wczoraj, kiedy przyjechała do mnie policja, żeby znowu mnie przesłuchać, nie miałam nawet pojęcia, kto to jest. Wiem tylko tyle, że w dniu przyjazdu Lance'a i Helen Kamakele przyniósł im szampana.

Wstałam.

- Na pani miejscu zaczęłabym się rozglądać za jakimś starym prykiem do żeniaczki i młodym ogier - kiem do zabawy na boku.

- Nie jestem dziwką.

- Racja. To przecież pani kochanek nią jest. Pani jest jego alfonsem, który ma czym oddychać i na czym usiąść.

Odwrociłam się do niej plecami i odeszłam. Kiedy doszłam do bungalowu, pokojówek już nie było, a Monk wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- Dobrze pan się bawił? - zapytałam.

280

281

Przytaknął.

- Mam poczucie, że wnoszę coś naprawdę ważnego w życie tych ludzi, we właściwy sobie skromny sposób. Coś, co roznieci płomień rewolucji kulturalnej, który się przetoczy przez ten zacofany kraj i wprowadzi go wreszcie w erę nowoczesności.

- Hawaje nie są jakimś tam krajem, panie Monk. To część Stanów Zjednoczonych.

- Jesteś pewna?

- Owszem.

- Kiedy ciebie nie było, dzwonił Kealoha. Dowiedział się, że Kamakele nałogowo obstawiał walki kogutów i był zadłużony po uszy. Według wstępnej hipotezy Kealohy, Martin Kamakele zginął, bo nie spłacał długów lichwiarskim rekinom.

- Wierzy pan, że tak było?

- Martwy człowiek na pewno długów nie spłaci. Więcej byłby wart żywy.

- Zatem kwestia hazardu nie jest drugą połową zagadki, o której pan wspominał?

Monk potrząsnął głową.

- Powie mi pan, co nią jest?

- Dowiesz się, kiedy wyjaśnię całą sprawę - odpowiedział.

- Dlaczego nie teraz? Na co pan czeka?

- Na odpowiedni moment.

- Kiedy on nastąpi?

- Kiedy wyjaśnię całą sprawę.

Monk zauważyła plamę

Chociaż mieliśmy do dyspozycji własny basen, nie chciałam przesiedzieć reszty popołudnia w bungalowie. Chciałam poczuć energię, którą się czerpie z przebywania w tłumie, chciałam poczuć radość patrzenia na ludzi.

Posmarowałam się jeszcze jedną warstwą mleczka do opalania, chwyciłam w locie jedną z książek, które ze sobą przywiozłam, i wyszłam na przechadzkę po hotelowym kąpielisku. W drzwiach zobaczyłam, jak Monk ostrożnie zdejmuje ze ściany jakiś obraz.

- Pokojówki dopiero co wyszły, panie Monk - powiedziałam.

- One tylko sprzątały - odparł. - Ja muszę wyprostować co nieco.

Z doświadczenia wiedziałam, że to, co mówi, rozumie w jak najbardziej dosłownym sensie.

- Jutro wyjeżdżamy. Czy naprawdę ostatni dzień na Hawajach zamierza pan spędzić zamknięty w bungalowie, sprawdzając, czy wszystkie obrazy i ryciny wiszą prosto, symetrycznie i wyśrodkowane względem siebie?

- Chyba wolno mi trochę się rozerwać, prawda?

- Nie lepiej wyjść na słońce i trochę się opalić?

- Popatrz tylko na swoje plecy.

- Panie Monk, to Hawaje, jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Wielu ludzi uważa, że to raj na ziemi.

- Zapewne nic nie wiedzą o gadach pełzających po ścianach restauracji, brudnych koszulkach i ludziach, którzy ekshumują z ziemi martwe prosiaki i rozrywają je gołymi rękami.

Zadzwoił telefon. Ponieważ stałam tuż przy nim, podniosłam słuchawkę. Dzwonił Kealoha. Na parkingu centrum handlowego Kukio Grove w Lihue policja odnalazła nasz skradziony samochód. Przekazałam tę wiadomość Monkowi.

- Muszę go zobaczyć - stwierdził Monk.

Kealoha usłyszał przez telefon jego głos.

- Tak myślałem - powiedział. - Przed waszym bungalowem stoi radiowóz, który was tu przywiezie.

Dla Kauai Kukio Grove to początek końca; śmiertelny nowotwór, który toczy wyspę i zaczyna już mieć przerzuty. Takie centrum handlowe - pod gołym niebem, z jednej strony zamknięte wielkim sklepem z odzieżą Macj[^]s, a z drugiej hipermarketem Kmart - można zobaczyć w każdym miejscu, jak Ameryka długa i szeroka. Nie sposób było znaleźć w nim nic, co w jakikolwiek sposób odnosiłoby się do lokalnej kultury i środowiska. Z upływem lat galeria rozbudowała się promienistymi kręgami kolejnych fransyz i pudełkowatych marketów - jednolitych i pozbawionych wyrazu. Burger King i Borders. Home Depot i Wal -
- Mart. Cieszyłam się, że mam okazję ujrzeć wyspę, zanim się stanie przedmieściem Los Angeles.

Mustang stał zaparkowany w najdalszym narożniku parkingu, bliżej ulicy niż galerii. Jedynym obecnym policjantem, poza Kealohą, był kierowca radiowozu, który nas podwiózł. Nie przypominało to miejsca przestępstwa.

- Samochód zauważyła ochrona centrum handlowego, ponieważ ktoś zaparkował go w środku nocy - tłumaczył Kealoha. - Kiedy zawiadomili nas, żebyśmy zarejestrowali i odholowali auto, sprawdziliśmy numer rejestracyjny i okazało się, że jest kradzione.

Monk obszedł mustanga, przyglądając mu się z każdej strony i pod różnymi kątami, jakby był to meteor z kosmosu, a nie zwykły samochód. Dla mnie auto w niczym się nie różniło od każdego innego mustanga na wyspie. Nie potrafiłabym nawet powiedzieć, czy wypożyczyliśmy rzeczywiście ten egzemplarz.

- Tak, to na pewno nasz samochód - oświadczył Monk.

- Mówiłem przecież, że sprawdziliśmy numer rejestracyjny - przypomniał Kealoha.
- Tablice mógł ktoś podmienić. Ale nikt ich nie podmieniał. Zapamiętałem numer identyfikacyjny nadwozia.

- Naprawdę?! - zdziwił się Kealoha. - Po co uczył się go pan na pamięć?
- To przecież pierwsza rzecz, jaką człowiek robi po wypożyczeniu samochodu - odpowiedział Monk. - Tak jak po wynajęciu pokoju w hotelu zapamiętuje numer. Każde dziecko to wie.

- Hm, chyba za rzadko podróżuję - stwierdził Kealoha.
- Jeśli chce pan zostać dobrym śledczym, powinien pan być trochę bardziej obyty - dodał Monk.

- Jak na przykład pan? - wtrąciłam z przekąsem.
- Nie stawiamy panu porucznikowi celu, który jest dla niego całkowicie nieosiągalny - powiedział

284

285

Monk. - Ludzie usiłują dopiąć tylko takich celów, które wydają im się możliwe do zrealizowania.

- Dobrze wiedzieć - powiedziałam.
- W takim razie mogę przestać marzyć o tym, że kiedyś zostanę dżokejem - mruknął Kealoha i wskazał ręką na samochód. - Mustang nie został okradziony, przypuszczam więc, że jakieś dzieciaki chciały sobie urządzić wesołą przejażdżkę na koszt haoleow.

Monk przysunął twarz do szyby po stronie kierowcy, najbliżej jak mógł, jednak nie dotykając jej nosem.

- Siedzenia są zaplamione - oświadczył po chwili. - Wcześniej plam nie było.
- Kiedy złapiemy dzieciaki - zapowiedział Kealoha - postawimy im zarzut kradzieży, a na dodatek każemy im wyczyścić cały samochód.

- Gdzieś już widziałem te plamy - mówił dalej Monk. - W samochodzie, który wypożyczał Brian.

- Wcale się nie dziwię - powiedziałam. - Jestem pewna, że niejeden samochód ma zaplamioną tapicerkę.

- Nie, nie rozumiesz - zaproponował Monk. - To są plamy Briana.
- Co to za jeden ten flejtuch Brian? - zainteresował się Kealoha. - Miał jakiś powód, żeby ukraść wam samochód?

Wyjaśniłam porucznikowi, że na Kauai przyjechaliliśmy na ślub mojej przyjaciółki Candace, że ślub się nie odbył, że Brian to jej niedoszły mąż i ówok jakich mało, że samochód który wypożyczył, został zdewastowany i że Brian dawno już opuścił wyspę.

- Nic nie rozumiem - stwierdził Kealoha.

- Ja również - pocieszyłam go. - Jakim cudem te plamy miałyby być plamami z samochodu Briana?

Oboje spojrzeliśmy na Mońka.

A Monk spojrział na nas.

- Musimy wypożyczyć nowy samochód - powiedział w końcu.

Wcale się nie kwapił, by cokolwiek wyjaśniać. Uparł się, abyśmy go zawieźli do najbliższej wypożyczalni samochodów, najlepiej takiej, w której dotychczas jeszcze nie wypożyczaliśmy auta.

Tłumaczyłam, że zostało nam tylko jedno popołudnie na wyspie i niedorzecznością byłoby teraz wynajmowanie kolejnego samochodu. Ale Mońka to nie obchodziło.

Kealoha podwiózł nas do biura AutoPlanet, jedynej dużej wypożyczalni, gdzie jeszcze nas nie znano. Czekał potem na nas cierpliwie, kiedy Monk poddał jednego z pracowników gehennie wyszukania kabrioletu, który byłby najbliższy ideałowi fabrycznej nówki.

Znowu skończyło się na mustangu, identycznym z tymi, które mieliśmy wcześniej.

- Dokąd teraz, panie Monk? - zapytałam, kiedy podpisaliśmy wszystkie formularze i wykupiliśmy pełne ubezpieczenie.

- Na posterunek policji - polecił Monk.

- Nie musiał pan do tego wynajmować samochodu - zauważył Kealoha. - Mógłbym was podrzucić. Po co chce pan jechać na posterunek?

- Po nóż - odpowiedział Monk. - Najostrzejszy, jaki macie.

Pojechaliśmy na posterunek i zaparkowaliśmy na policyjnym parkingu. Kealoha wszedł do budynku, a po chwili wyszedł z niego, trzymając w ręku jeden z takich potwornych noży, jakie nosił przy sobie Rambo. Miałam wrażenie, że na sam jego widok można się zaciąć, taki był ostry.

- Odebraliśmy go pijanemu marynarzowi w Ka - paa - wyjaśnił Kealoha, wręczając nam nóż, gdy wy. siadaliśmy z auta. - Nigdy się już po niego nie zgłosił.

- Czymś takim mógłby ściąć drzewo - stwierdził - łam.

- Powiedział, że używał go do krajania jabłek.

Monk zwrócił się do mnie po chusteczkę, którą mu podałam.

- Jeśli dobrze pamiętacie, w samochodzie Briana ktoś zbił przednią szybę i rozdarł dach. - Monk wziął nóż od Kealohy i nie przestając mówić, dokładnie wytarł chusteczką rękojeść. - Kiedy samochód wrócił z warsztatu naprawczego, miał nie tylko wprawioną szybę i wymieniony dach, ale nawet siedzenia były nowe.

- No owszem - powiedziałam. - I co z tego?

- Jednak dywaniki wciąż były brudne. Wtedy wydawało mi się to dziwne. Teraz już nie.

Oddał mi brudną chusteczkę, otworzył drzwi po stronie kierowcy i nagle ciął ostrzem noża w tapicer - kę siedzenia.

- Panie Monk! - krzyknęłam. - Co się z panem dzieje? Tak nie wolno!

Monk spojrzał na mnie.

- Przecież wykupiłaś ubezpieczenie, prawda?

- Ale polisa nie obejmuje czegoś takiego!

Monk wzruszył ramionami i dalej ciął poduszki, jak gdyby nikt nic nie powiedział.

- To pana sposób na pozbycie się brudnych plam?! - zapytałam, nie kryjąc wzburzenia.

Po chwili wtrącił się Kealoha.

- Właściwie też chciałbym wiedzieć, bo z formalnego punktu widzenia, jestem naocznym świadkiem przestępstwa.

- Samochód wypożyczony przez Briana był nowiutki, zjechał wprost ze statku - zaczął mówić Monk, nie przerywając rozcinania siedzenia. - Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy do wypożyczalni, jakaś para zwracała nowiutkiego mustanga uszkodzonego w wypadku. Następnego dnia ktoś ukradł naszego mustanga.

- Wiem, to wszystko jest jasne - przerwałam. - Natomiast nie pojmuję, dlaczego drze pan siedzenie na kawałki.

Na chwilę przestał dziabnąć nożem i spojrzał na swoje dzieło. Podarł już tapicerkę na strzępy, odsłaniając wyściółkę i sprężyny. Porwane, drobne kawałki gąbki walały się po podłodze samochodu.

- Kiedy ukradziono samochód, wynajęliśmy drugiego nowiutkiego mustanga. Kilka godzin później ktoś nas staranował na ulicy. - Monk przeszedł na drugą stronę auta.

- Jesteście naznaczeni jakimś fatum - stwierdził Kealoha. - Albo, jeśli wolno mi powiedzieć, trochę zwariowani.

- To niewykлучzone. - Monk otworzył drzwi od strony pasażera i znowu zaczął ciąć siedzenie; zachowywał się przy tym tak, jakby było to najnormalniejsze zajęcie na świecie. -

Jednak nie dlatego ukradziono nam pierwszego mustanga i nie dlatego w drugiego wjechała ciężarówka. Wszystkie kolizje, kradzieże i akty wandalizmu łączy coś innego: każdy z tych samochodów dopiero co zjechał ze statku.

Monk się wyprostował i uśmiechnął. Poznałam ten uśmiech. Pojawia się na jego twarzy wówczas, kiedy wszystko w jego głowie zaczyna do siebie pasować i zostaje przywrócony porządek - jak choćby wtedy, gdy w sklepie spożywczym układa na półce wyroby mleczarskie według terminu ważności. Albo kiedy udaje mu się wyjaśnić zagadkę morderstwa.

Obeszliśmy z Kealohą samochód i zajrzeliśmy do środka. Oparcie siedzenia pasażera było całkowicie rozerwane. Monk rozciął winylowy materiał i podbicie, a naszym oczom ukazały się ciasno upakowane we wnętrzu siedzenia torebki z białym proszkiem.

Coś mi mówiło, że nie jest to cukier puder.

- Doszedłem do przekonania, że musi chodzić o narkotyki - powiedział Monk. - Jak sądzę, łatwo pan stwierdzi, że liczba kradzieży samochodów i wypadków drogowych wzrasta gwałtownie krótko po tym, jak na wyspę dociera kolejna dostawa nowych aut dla wypożyczalni.

- Skąd pan wiedział, że do przemytu narkotyków używano samochodów? - zapytał Kealoha.

- Nie wiedziałem, dopóki w naszym skradzionym samochodzie nie zauważyłem zaplamionego siedzenia z samochodu Briana. Przypomniałem sobie wtedy pańskie słowa, że w zasadzie wszystko, od samochodów po fistaszki, trzeba przywieźć na wyspę. Uznałem, że ta prawda musi się odnosić również do towarów pochodzących z przestępstwa.

- Szmuglowali kokainę na wyspę, ukrywając ją w siedzeniach samochodów dla wypożyczalni - dedu - kował dalej Kealoha. - Muszą więc mieć tam wtyczki, a dzięki temu informacje, kto wypożycza nowe auta i kiedy one zjeżdżają z placu. Później dewastują je, rozbijają albo kradną, byle wydostać ukryty w nich towar.

- W skradzionym mustangu były siedzenia z auta Briana. Ponieważ wszystkie siedzenia wyglądają tak samo, szajka po prostu je podmienia - wyjaśniał Monk. - Opróżnione siedzenia Briana umieścili w samochodzie, który przyjechał z nowym ładunkiem.

- Dlaczego po prostu nie włamywali się do samochodów stojących na placu wypożyczalni? - zapytałam. - Po co czekali, aż ktoś je wypożyczy?

- By uniknąć schwymania na gorącym uczynku i nie zwracać na siebie uwagi - odpowiedział Monk. - Place są monitorowane przez kamery i praktycznie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kręcą się przy nich jacyś ludzie. Zresztą nie tylko dlatego; gdyby w

taki sam sposób włamywano się do każdego nowego samochodu, szybko komuś by to podpadło. Jeśli jednak dochodzi do rozmaitych stłuczek, wypadków, kradzieży wypożyczanych samochodów na drogach całej wyspy, czyli do czegoś, co normalnie się zdarza każdego dnia, to ani wypożyczalnia, ani policja nigdy nie powiązałyby tych faktów.

- Ma rację - stwierdził Kealoha. - Co więcej, w Ka - paa jest warsztat, który przyjmuje do naprawy zdecydowaną większość wypożyczanych samochodów.

Przypomniałam sobie, że wspomniał nam o nim pracownik z wypożyczalni Grand Kiahuna Poipu. Teraz wszystko było jasne.

Monk oddał nóż porucznikowi.

- Coś mi mówi, że naprawa samochodów nie jest podstawową działalnością gospodarczą tego warsztatu.

- Ciekawe, od ilu lat trwa pod naszym nosem ten proceder. - Kealoha pokręcił głową z niedowierzaniem. - Jeszcze dziś zrobimy nalot na warsztat. Chce pan przy tym być?

Monk zerknął w moją stronę.

- Raczej nie. To nasz ostatni wieczór na Hawajach, a nalot na handlarzy narkotyków nie wydaje się najlepszym sposobem na jego spędzenie.

Uśmiechnęłam się do Mońka.

- Dziękuję.

Monk wzruszył lekko ramionami.

- Będzie mi tu pana brakowało, panie Monk. Diabeł z pana, nie detektyw - powiedział Kealoha. - Jak to możliwe, że nie pracuje pan już w policji w San Francisco?

- Różnice w myśleniu kreatywnym - pośpieszyłam z wyjaśnieniem.

- Powinien pan się przeprowadzić do nas - rzucił Kealoha. - Etat ma pan w kieszeni.

- Naprawdę? - wyrwało mi się.

- Mając pana Mońka, moglibyśmy zwolnić połowę policjantów - stwierdził Kealoha. - Zarobiliśmy fortunę, oszczędzając na sile roboczej, nie mówiąc o tym, że przestępczość na wyspie spadłaby o połowę.

Monk po swoim poruszył niezdarnie całym ciałem.

- Oferta jest bardzo kusząca, ale raczej spasuję - powiedział w końcu.

- Pan wybaczy na chwilę. - Odciągnęłam Mońka kilka kroków dalej, żeby Kealoha nie mógł nas słyszeć. - Panie Monk, pan powinien bardzo poważnie rozważyć tę propozycję. Przecież ta oferta to pańskie marzenie. Nie chce pan już odznaki policyjnej?

- Jakoś nie uśmiecha mi się funkcja szeryfa w piekle - odpowiedział Monk.

- A jeśli ja również się tu przeprowadzę?

- Zrobiłabyś to dla mnie?

- Dla siebie i dla Julie. Jeśli ktoś miałby mi płacić za mieszkanie na Hawajach, weszłabym w to natychmiast. To byłaby przygoda w raj.

- Naprawdę zamieszkałabyś w miejscu, gdzie twoja córka musiałaby nosić zabłocone koszulki i jeść prosto z ziemi? - pytał Monk. - Żartujesz sobie ze mnie, tak? Nigdy nie naraziłbym ciebie i Julie na takie potworności tylko po to, żebym znowu mógł zostać policjantem.

- To żadne potworności, to...

- To bardzo miło z twojej strony, Natalie - przerwał mi Monk. - Jestem wzruszony, ale doprawdy, rozejrzyj się dookoła i sama zobacz, jak tu wygląda.

Zanim zdążyłam cokolwiek mu odpowiedzieć, odwrócił się w kierunku Kealohy.

- To miła propozycja, panie poruczniku. Ale moje życie jest w San Francisco.

- Cóż, mam przynajmniej nadzieję, że niebawem znowu nas pan odwiedzi - odpowiedział Kealoha.

- Z całą pewnością - odpowiedział Monk, a potem dodał do siebie szeptem, który tylko ja usłyszałam: - Kiedy psy zaczną korzystać z toalet publicznych.

26

Monk wraca do domu

Zjedliśmy obiad w restauracji Royal Hawaiian. Potem Monk wrócił do bungalowu, by dokończyć prostowanie i środkowanie przedmiotów należących do jego wystroju, a ja poszłam do baru na plaży, by jeszcze raz spróbować tutejszych tropikalnych drinków.

Bar oświetlały zapalone pochodnie i księżycowa luna. Grała kapela, tancerki tańczyły hula, a znad morza wiała ciepła bryza. Drinki smakowały słodko i łagodnie i była ich wielka obfitość. Najlepsze było to, że nikt się mnie nie czepiał, bo zdecydowaną większość gości stanowiły pary.

Tęskniłam za Julie, ale gdybym mogła, chętnie zostałabym jeszcze tydzień. Od dnia naszego przyjazdu działo się tak wiele rzeczy, że trudno było znaleźć czas na spenetrowanie wyspy czy nacieszenie się luksusami hotelu. Mimo to czułam się wypoczęta o wiele bardziej niż w dniu przyjazdu. Tego wieczoru nocne powietrze, muzyka i drinki mogłyby mnie samoistnie ukołysać do snu. Po godzinie spędzonej przy barze wróciłam więc do bungalowu i rozanielona położyłam się spać.

W ostatni dzień naszego pobytu na wyspie wczesnym rankiem obudziło mnie głośne pluskanie w basenie. Ponieważ byłam jedynym gościem w bungalowie, który pływał, doszłam do wniosku, że albo jakaś foka znalazła dojście do naszego ogródka, albo jakiś intruz

postanowił sobie popływać w naszym basenie. Włożyłam szlafrok i bosą wyszłam zobaczyć, co się dzieje.

Ze zdumieniem zobaczyłam Mońka, który w zupełnie przyzwoitym stylu płynął przez środek basenu na plecach. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się z daleka.

- Wskakuj, zobaczysz, że cię prześcignę! - zawołał.

Po raz pierwszy widziałam Mońka bez koszuli. Jeśli był świadom, że patrzę na jego nagi tors, to zdawał się w ogóle nie wstydzić.

- Za dwie godziny się wyprowadzamy, panie Monk - powiedziałam. - Czy nie musi się pan spakować?

- Cóż to za trudność? Wrzucasz ciuchy do walizki, ziuup, zamykasz zamek i po krzyku.

Wreszcie zrozumiałam. Monk był na haju. Musiał już zażyć dawkę dioxynlu, swojego specyfiku przeciw zaburzeniom obsesyjnokompulsywnym.

- Jesteś głodna? - zapytał.

- Nie wiem, dopiero wstałam z łóżka - odpowiedziałam.

- Ja umieram z głodu. - Monk wyszedł z basenu. - Za pięć minut otwierają bufet.

Pośpieszmy się, bo będzie kolejka.

Rozejrzał się i spostrzegł, że nie ma ze sobą ręcznika.

- Niech pan poczeka - powiedziałam. - Zaraz przyniosę panu ręcznik.

- Daj spokój - odparł, ruszając w kierunku salonu.

- Zachłapie pan mieszkanie.

Monk machnął ręką.

- To tylko woda, nie kwas. Wyschnie w ciągu pięciu minut. Powinnaś się wreszcie nauczyć, kotku, jak się wyluzować.

Miał szczęście, że nie trzymałam w ręku niczego ciężkiego.

Wzięłam natrysk, ubrałam się i spakowałam walizki. Kiedy wyszłam z sypialni, Monk już na mnie czekał - gotowy do wyjścia, ubrany w świeżo wyprane rzeczy do golfa, a przed drzwiami stały jego walizki.

Zostawiliśmy bagaże w recepcji i poszliśmy do bufetu. Utworzyła się tam już krótka kolejka, ale szybko się posuwała do przodu. Monk chwycił talerz i napełnił go po brzegi jajecznicą, białym ryżem, kielbaskami, opiekаныmi ziemniakami, bekonem, szynką, melonem i ananasem, mieszając to wszystko ze sobą.

- Nie musi pan nakładać wszystkich potraw naraz - powiedziałam, kiedy przyszedł do stołu. - Może pan wracać po dokładkę, ile razy się panu podoba.

- Bombowo - stwierdził Monk.

Odstawił talerz i zawrócił do bufetu po kolejny, który napełnił omletem, ciastkami, grubymi i cienkimi naleśnikami, wędzoną rybą, drożdżowymi rogalikami i płatkami zbożowymi z orzechami i winogronami.

- Jest pan pewien, że tyle panu wystarczy? - zapytałam.

- Mam dobrą przemianę materii.

- Jeśli pan to wszystko zje, będzie mógł pan spokojnie zapaść w sen zimowy.

Monk delektował się śniadaniem, biorąc po kolei do ust każdą z potraw - jakby skakał po kanałach, tyle że nie telewizyjnych, a żywieniowych. W ogóle się nie przejmował, że lososia z solanki miesza z płatkami, a naleśniki z jakimś ciastem. Zapił to wszystko czterema filiżankami kawy kona, zaprawiając kofeiną swój pobudzony dioxynlem umysł.

Oglądanie tego rzadkiego spektaklu tak mnie wciągnęło, że niemal zapomniałam zjeść własne, skromne śniadanie, na które składały się naleśniki, kawałek ananasa i jogurt.

Skończyliśmy jeść i mieliśmy już przejść z powrotem do recepcji, by wymeldować się z hotelu, kiedy dziarskim krokiem podszedł do naszego stołu porucznik Kealoha.

- Miałem nadzieję, że złapię was jeszcze przed wyjazdem - powiedział na powitanie.

- Nie chcę być niegrzeczna - powiedziałam - ale czy nie żegnaliśmy się już dwa razy?

- Chciałem osobiście przekazać dobre wieści. Wczoraj wieczorem weszliśmy do warsztatu samochodowego. Stała tam ciężarówka, która uderzyła w was na drodze, i był mężczyzna z kozią bródką, o którym pan wspomniał. Znaleźliśmy też kokainę wartości miliona dolarów.

- Świetnie! - krzyknął Monk, wznosząc do góry pięść w geście triumfu i tańcząc wokół stołu.

Kealoha wybałuszył na niego oczy.

- To jeszcze nie wszystko - mówił po chwili dalej. - Na polu za warsztatem odkryliśmy plantację marihuany. To największe aresztowanie w historii Kauai związane z handlem narkotykami. Na posterunku krążą słuchy, że dostanę awans na kapitana.

- Przybij piątkę! - Monk podniósł rękę, Kealoha uderzył w nią dłonią, Monk odwzajemnił uderzenie. - Zasłużyłeś sobie, człowieku.

- Może zrobiliby mnie komendantem, gdybym wyjaśnił morderstwo Martina Kamakele.

- Szkoda, że nie mogę ci pomóc, braachu, ale nasz

Monk naprawdę nie wie, kto go zabił. Masz ochotę na coś z bufetu?

- Nie, dziękuję.

- Nałożę sobie trochę więcej i zjesz z mojego talerza. Nikt nie zauważy.
- Naprawdę nie jestem głodny - zapewnił Kea - Ioha.
- Zmienisz zdanie, jak zobaczysz żarełko.

Monk wstał, popędził do bufetu i nałożył sobie pełen talerz bekonu.

Kealoha spojrzał na mnie.

- Brał coś?

Przytaknęłam.

- Miłej podróży - powiedział Kealoha i odszedł.

Nie będę was torturować szczegółami powrotu do domu. Być może usłyszenie tego nie byłoby dla was torturą, ale przypomnianie sobie tego wszystkiego od początku byłoby torturą dla mnie. Horror zaczął się już przy bramce bezpieczeństwa, kiedy Monk musiał wyciągać wszystkie bekony i ciastka, którymi przy śniadaniu wypchał sobie kieszenie. Od tej chwili sprawy toczyły się już tylko gorzej i przynosiły mi coraz więcej wstydu. Powiem tylko tyle, że pan Adrian Monk nie jest już mile widzianym pasażerem w liniach lotniczych Hawaiian Airlines.

Po pięciu godzinach wspólnego lotu z ulgą i radością stanęłam w progu domu. Julie bardzo się spodobała zabłocona koszulka Red Dirt, choć mama patrzyła na nią z nie mniejszym niesmakiem niż Monk.

Mama wiedziała już, co się stało podczas ślubu Candace. Najwyraźniej wieść rozniosła się lotem błyskawicy wśród wyższych sfer Monterey i San Francisco. Tak było mi żal Candace.

- Kiedy się wreszcie nauczysz, żeby nie zabierać Monka na wesela? - prawiała matka.
- Wolałabyś, żeby Candace wyszła za żonatego mężczyznę?
- Jestem pewna, że sytuacja sama by się wyjaśniła, bez rozgłosu, a Candace zachowałaby twarz.

- Chodzi ci o to, że małżeństwo Candace skończyłoby się równie katastrofalnie, jeśli nie gorzej, ale przynajmniej nikt by się o tym nie dowiedział, tak?

- Jej rodzice mogą nie wracać z safari - stwierdziła mama.

Wieczorem Julie zrobiła mi mały pokaz mody, ubierając się po kolei we wszystkie rzeczy, które mama kupiła jej pod moją nieobecność. Kiedy pokaz dobiegł końca, byłam tak wyczerpana, że powieki same mi opadały. Dałam Julie i mamie buziaka na dobranoc i poszłam do łóżka.

O dziewiątej rano raptownie wyrwał mnie ze snu dzwonek telefonu. Sięgając po słuchawkę, straciłam z szafki telefon i niemal spadłam z łóżka, próbując go podnieść.

- Co jest? - rzuciłam w złości do słuchawki.

- Gdzie jesteś? - usłyszałam Mońka.

- O ile wiem, w domu. Przecież tutaj pan zadzwonił. Też mi detektyw. - Kiedy jestem zmęczona i niewyspana, potrafię być zgryźliwa.

- Dlaczego nie ma cię tutaj?

- To pierwszy dzień po powrocie - odparłam. - Należy mi się chyba trochę wolnego, prawda?

- Dopiero co wróciłaś z tygodniowych wakacji na Hawajach. Ile ci jeszcze trzeba wypoczynku?

- Muszę dojść do siebie po podróży - powiedziałam.

- Cały czas siedziałaś w fotelu. Jakoś nie widzę w tym nic męczącego.

Pohamowałam się w ostatniej chwili. Miałam bardzo trudną pracę, ale nie chciałam jej tracić.

- Wpadnę około południa - powiedziałam.

- To za późno. Jesteś mi potrzebna natychmiast. Mam do zrobienia coś bardzo ważnego.

- Już ma pan jakąś sprawę?

- Oczywiście - odpowiedział Monk. - Muszę zdemaskować Dylana Swifta.

- Nie może go pan zdemaskować jutro?

- Dzisiaj o jedenastej nagrywa program w hotelu Belmont. Muszę tam być - wyjaśnił Monk. - I jest jeszcze zagadka morderstwa Martina Kamakele.

- Cóż może pan tutaj zrobić w tej sprawie?

- Mogę ją ostatecznie wyjaśnić - odparł Monk. - Nawet dzisiaj, jeśli tylko uda ci się wyjść z łóżka.

Mgła pełzająca nisko nad San Francisco połykała budynki dzielnicy finansowej, zamazując najwyższe piętra i przesłaniając słońce, przez co ulice pozostawały pogrążone w zimnie, szarości i powiewach wiatru.

Jednak mieszkańcy San Francisco, podobnie jak ja, przywykli do takich poranków i nigdy nie tracą nadziei, że przed końcem dnia mgłę rozgoni wiatr znad Pacyfiku albo przepali ją słońce. A jeśli nie, to palicho. Mgła przydaje miastu - a tym samym wszystkim, którzy w nim mieszkają - charakteru. A dla mieszkańców San Francisco charakter znaczy coś więcej niż słoneczne światło.

Hotel Belmont miał w sobie mnóstwo charakteru. Był to jeden z najstarszych budynków miasta, perełka architektury wikotriańskiej w samym sercu Union Square. Był

częścią San Francisco w takim samym stopniu jak most Golden Gate, przystań Fisherman's Wharf, stare tramwaje i poranna mgła.

W naszą ostatnią rocznicę ślubu, krótko przed wysłaniem Mitcha za granicę, zostawiliśmy Julie u moich rodziców w Monterey i w pokoju na dziewiętnastym piętrze hotelu Belmont spędziliśmy z Mitchem cudowną noc. Pokój był usytuowany w „starej wieży”, tej z 1920 roku, nie w tej nowej, zbudowanej w latach siedemdziesiątych, która, jak się wydaje, wcale nie jest taka nowa, jeśli nie porówna się jej ze starą.

Z łóżka wychodziliśmy z Mitchem tylko po to, żeby zobaczyć widok z okna - srebrzący się kawałek mostu Bay Bridge, który lśnił między drapaczami chmur dzielnicy finansowej. W ogóle nie zasnęliśmy. Przytulaliśmy się do siebie i wsłuchiwalismy w muzykę ulicy: dzwonki tramwajów, tyradę ulicznego kaznodziei w rytmie rapu, zawodzenie policyjnych syren, dźwięki jakiejś ustnej harmonijki, klaksony samochodów próbujących wydrzeć się z korka na Powell Street, bębnienie i wrzawę wyznawców Hare Krys - na, którzy maszerowali Geary Street.

To wspomnienie chowam w sobie jak skarb. Z tego powodu bardzo niechętnie szłam z Monkiem do hotelu Belmont na spotkanie z Dylanem Swiftem.

Potrafię zrozumieć, że moje obawy mogą wzbudzić wasze zdziwienie. Ale za sprawą tamtej nocy spędzonej z Mitchem hotel Belmont pozostaje miejscem, które niesie dla mnie pewien ładunek emocjonalny. Jeśli znajdę się tam razem ze Swiftem i jeśli Swift rzeczywiście rozmawia ze zmarłymi, to mogłam być pewna, że znowu usłyszę głos Mitcha. Doszłam do wniosku, że tak jak Grand Kiahuna Poipu (z racji samego położenia w miejscu, z którego dusze zmarłych skaczą do swojego świata), mogło się stać dla Swifta progiem w zaświaty, tak dla mnie i Mitcha hotel Belmont będzie aż trząskął, naładowany parapsychiczną energią.

Na Hawajach znalazłam ukojenie bólu po stracie Mitcha. Jednak czułam, że był to kruchy spokój. Kolejna wiadomość od Mitcha, prawdziwa czy nie, mogłaby tym spokojem wstrząsnąć. Nic więc dziwnego, że kiedy zbliżaliśmy się do sali balowej, w której Swift miał kręcić swój program, czułam się bardzo niepewnie.

Monk był za to podniecony jak dziecko, które wchodzi do Disneylandu - choć trzeba go doskonale znać, by ten stan uniesienia rozpoznać. Dla postronnego obserwatora Monk pozostawał spięty jak zawsze. Ja jednak tę intensywność widziałam w jego oczach, drobnym zaokrągleniu kąćków ust i w sposobie, w jaki nerwowo poruszał ramionami.

Przy wejściu stała gigantyczna kolejka chętnych do udziału w programie. Setki osób zapelniały hol w szlaku wytyczonym linami, wijącym się w korytarzu kilkakrotnym

zygzakiem. Mimo tego porządku kolejka ciągnęła się bez końca i ginęła gdzieś za zakrętem korytarza.

- Nigdy nie wejdziemy - powiedziałam zrezygnowana.

- Poczekaj - rzucił Monk.

Podszedł na czoło kolejki i zamienił kilka słów ze stojącym tam muskularnym bramkarzem. Ochroniarz powiedział coś do radiotelefonu, poczekał chwilę na odpowiedź, a potem skinął na Mońka, by wszedł do sali. Monk szybko machnął do mnie ręką.

- Co pan mu powiedział? - zapytałam, kiedy przeprowadzono nas przed kolejkę i zaproszono do wnętrza, które błyskawicznie zapełniało się ludźmi.

- Powiedziałem, że nazywam się Adrian Monk i że pan Swift byłby bardzo niezadowolony, gdyby się dowiedział, że przyszliśmy tutaj, ale zawrócono nas od drzwi. Ochroniarz sprawdził, czy nie mówię bzdur. Najwyraźniej miałem rację.

Przed sceną stało w półokręgu kilka małych trybun, z których każda miała po trzy rzędy ławek. Salę zalewało oślepiającym blaskiem ostre światło potężnych reflektorów filmowych, zamontowanych na rusztowaniach, które stały rozstawione nad sceną i trybunami. W każdym narożniku znajdowały się kamery mocowane na wysięgnikach. Na rusztowaniach wisiało też parę telebimów, tak że mogliśmy oglądać siebie w telewizji.

- Panie Monk - powiedziałam - Dylan Swift mógł pana wpuścić tylko z jednego powodu; chce pana wykorzystać.

- Wiem - odpowiedział Monk, szukając na widowni dwóch wolnych miejsc.

- Tu jest w swoim żywiole. Będzie panował nad wydarzeniami. Na ogólnokrajowej antenie wyjawi pańskie najskrytsze tajemnice i lęki.

- Na to liczę - odpowiedział Monk.

- Albo moje - dodałam, ujawniając swoje prawdziwe obawy.

- Na to mu nie pozwolę, Natalie - obiecał Monk.

- Pan nie będzie miał wpływu na to, co się stanie, panie Monk. To program Dylana Swifta.

Monk się uśmiechnął enigmatycznie.

- Nie dzisiaj.

Monk rozmawia ze zmarłymi

Wypatrzyliśmy dwa wolne miejsca w pierwszym rzędzie, obok dwóch jakże znajomych twarzy; kapitana Stottlemeyera i porucznika Dishera, którzy od dawna siedzieli na widowni i na nas czekali. Stottleme - yer był w podłym humorze i jakiś nieswój, za to Di - sher miał oczy szeroko otwarte i tryskał energią.

- Co tu robicie? - zapytałam, siadając z Monkiem obok nich.

- Zapytaj Mońka - sarknął Stottlemeyer. - To on się uparł, żebyśmy przyszli na te idiotyzmy.

- Będzie super - gorączkował się Disher. - Ten facet, Swift, potrafi rozmawiać ze zmarłymi.

- Nie, nie potrafi - zaproponował Stottlemeyer. - Bo martwi nie mówią. Chcesz wiedzieć, dlaczego nie mówią? Bo są martwi!

- Chciałbym przedstawić pana, kapitanie, mojemu wujowi Morty'emu - oświadczył Disher.

- Też tu przyszedł?

- Umarł dziesięć lat temu - odpowiedział Disher. - Jeśli jednak Swift potrafi się komunikować z drugą stroną, to gwarantuję, że wuj Morty pierwszy chwyci za słuchawkę.

Stottlemeyer jęknął ciężko.

- Do diabła, Monk, oby powód, dla którego nas tu ściągnąłeś, nie był błahy.

- Masz mój list? - zapytał Monk.

Stottlemeyer poklepał się po kieszeni na piersi.

- Mam w kieszeni. Nieotwarty i nieprzeczytany, jak prosiłeś. Będę mógł sobie pójść, jeśli teraz ci go oddam?

Kiedy Stottlemeyer mówił, drzwi wejściowe się zamknęły, a na scenę wkroczyła asystentka dyrektora, młoda kobieta z zestawem słuchawkowym na głowie.

- Dzień dobry państwu, nazywam się Abigail Donovan, jestem pierwszą asystentką dyrektora i chciałabym gorąco państwu podziękować za to, że zechcieliście tu przybyć i stać się częścią programu Dylana Swifta!

Na sali zerwały się oklaski. Nie wiem dlaczego, ale przyłączyliśmy się do nich - bo chyba tak trzeba. Donovan uśmiechnęła się zadowolona z efektu.

- To wspaniale, uwielbiamy entuzjastyczną widownię. Państwa pozytywna energia jest bardzo, bardzo ważna dla naszego programu. Wiemy, że przyszli tu państwo, by porozmawiać z bliskimi, którzy odeszli. Jeśli jednak jest inaczej, to proszę, by zwolnili państwo miejsce dla jednej z setek innych osób, które czekają na zewnątrz, wciąż licząc na wstęp do środka.

Monk szepnął do mnie:

- Musi być pewna, że Swift ma przed sobą widownię umotywowaną i chętną do współpracy, ludzi, którzy go wspomogą, kiedy pod pozorem rozmowy ze zmarłymi zaczniesz z nich wyciągać informacje.

- Proszę pamiętać, że to dialog między państwem a bliskimi, których nie ma, z Dylanem Swiftem między wami - mówiła dalej asystentka. - Pan Swift będzie potrzebował waszej pomocy, by właściwie zinterpretować wiadomości, które wam przekazuje. Proszę więc o śmiałość.

- Innymi słowy, jeśli Swift się pomyli, podpowiedzcie mu właściwą odpowiedź - szepnęła Monk do Stottle - meyera. - To widownia wykonuje całą robotę, nie Swift.

- Najłatwiej nabić w butelkę tego naiwniaka, który sam chce się dać w nią nabić - odparł szeptem Stot - tlemeyer.

- W czasie nagrywania programu w każdej chwili mogą się państwo znaleźć w obiektywie kamery - ciągnęła Abigail Donovan. - Chcemy, aby wasi przyjaciele w domach widzieli, że się dobrze bawicie. Reagujcie więc na to, co mówi pan Swift.

- W ten sposób Swift będzie wiedział, czy w swojej zgadywance trafił w dziesiątkę - szepnęła do mnie Monk.

- Program jest nagrywany na żywo na taśmę, będziemy więc kręcić w czasie rzeczywistym z przerwami na reklamę.

Nie słuchałam już dalszych technicznych objaśnień asystentki, zaprzętnięta znaczeniem jej słów „na żywo na taśmę”, co wydawało się sobie przeczyć.

Kiedy zeszła ze sceny, z kilku rozstawionych głośników popłynął motyw muzyczny programu, a na telebimach pojawiły się napisy początkowe. Składały się na nie krótkie ujęcia Dylana Swifta, rozmawiającego z ludźmi, którzy albo byli zadziwieni jego mocą, albo oszołomieni łkali z radości.

Gdy tylko napisy dobiegły końca, spomiędzy dwóch trybun wyłonił się sam Dylan Swift i wskoczył na scenę z uśmiechem na opalonej twarzy.

- Witajcie, moi przyjaciele!

Na widowni wybuchła szalona owacja, mnóstwo osób wstało z miejsc. Wielkie wyczekiwanie i podniecenie wyczuwałam równie cieleśnie jak fale ciepła płynące z telewizyjnych reflektorów.

Swift zaczął lustrować wzrokiem trybuny, zatrzymując na ułamek sekundy spojrzenie na mnie i na Monku - byłam pewna, że zauważył naszą obecność na sali.

- To, co się dzisiaj tutaj wydarzy lub nie, zależy głównie od państwa. Moja zdolność komunikowania się z waszymi bliskimi po tamtej stronie wymaga waszej współpracy, otwartości i autentycznej chęci otrzymania wiadomości. Nie znam waszych bliskich tak dobrze jak wy i nie zawsze potrafię zrozumieć, co mają wam do przekazania. Od was zależy, jak te wiadomości zinterpretujecie.

- Mówiąc inaczej - szepnął Monk do Stottleme - yera - jeśli ze zgadywanki wyjdzie kłapa, to nie dlatego, że Swift jest oszustem, ale dlatego, że nie chcesz z nim współpracować.

- Już teraz mam ochotę go aresztować - stwierdził Stottlemeyer.

Swift zamknął oczy i wyciągnął przed siebie ręce, unosząc dłonie, jakby ogrzewał je nad ogniskiem.

- Wyczuwam kolor niebieski i literę „M\

Disher poderwał w górę rękę.

- Ja! Ja!

Stottlemeyer szarpnął Dishera za rękaw, ale było za późno. Swift zdążył otworzyć oczy i szedł już w naszym kierunku.

- Jak się pan nazywa?

Disher wstał.

- Randy Disher.

- Skąd pan wie, że to pana wzywa jakiś duch?

- Ponieważ mój wuj, Morty, lubił łowić ryby w jeziorze Loon - odpowiedział Disher. - A jego ulubionym kolorem był niebieski.

- Tak, teraz go widzę - powiedział Swift. - To starszy mężczyzna, niezbyt gruby, ale również nie za chudy.

- To on! Miał brzusek od piwka. - Disher odwrócił się do Stottlemeyera: - Czy to nie zdumiewające?

- Mam na to tylko jedno słowo - burknął Stottle - meyer.

- Widzę na tym jeziorze miejsce szczególne. Jego ulubione miejsce do łowienia ryb, o którym nigdy nikomu nie wspominał - mówił Swift. - Wiesz, o którym miejscu mówię, to jego tajemnica, prawda?

- W zatoczce, koło doków pływackich naprzeciwko czerwonych domków?

- No i po tajemnicy... - mruknął Stottlemeyer.

- Właśnie. Wuj chciałby ci powiedzieć, że jego duch wciąż tam przebywa i ryby wciąż tam biorą. - Swift położył dłoń na ramieniu Dishera. - Jeśli chcesz być blisko niego, pojedź tam i rzuć kotwicę naprzeciw czerwonych domków, a będziesz przy nim na pewno.

Disher przytaknął zachłyśnięty ze wzruszenia, a potem spojrzał w sufit.

- Kocham cię, wuju Morty.

- On też pana kocha - powiedział Swift, odwrócił się i zobaczył Mońka.

- Dzień dobry, panie Swift - przywitał go Monk.

- Panie i panowie, oto Adrian Monk, wielki detektyw - powiedział Dylan Swift. - Jeśli oglądaliście wczoraj mój wywiad z Larrym Kingiem, to zapewne wiecie, że razem z Adrianem kontaktowaliśmy się z duchem zamordowanej kobiety, dzięki czemu wykryliśmy zabójcę i doprowadziliśmy go przed wymiar sprawiedliwości. Całą historię będziecie mogli przeczytać w mojej następnej książce.

Na widowni rozległy się ochy i achy. Zauważyłam, że Swift zwraca się do Mońka po imieniu, czego nawet ja nie miałam śmiałości czynić. Zupełnie jakby od lat byli dobrymi kumplami. Najdłużej przyjacielem Mońka był Stottlemeyer, lecz również nie mówił do niego „Adrianie”. To, że Swift zdecydował się na taką poufalość, musiało Mońka szczególnie drażnić. Jeśli jednak tak było, to nie dał tego po sobie poznać.

Swift uśmiechnął się do niego ciepło.

- Dobrze cię widzieć, stary przyjacielu. Jak się miewasz?

- Nie najlepiej - odpowiedział Monk.

- Chodzi o twoją żonę Trudy?

Monk przytaknął.

Stottlemeyer wbił w Mońka tępe spojrzenie, wyraźnie zaskoczony, że jego przyjaciel ujawnia tak osobiste sprawy przed kamerami telewizji - i że w ogóle je ujawnia.

Swift podniósł oczy na dalsze rzędy trybun.

- Zona Adriana została zamordowana kilka lat temu, a zagadki jej morderstwa nigdy nie wyjaśniono. Powinniście państwo wiedzieć, że udało mi się już przekazać Adrianowi pewne wiadomości od Trudy, ale potem nie nawiązaliśmy już z nią kontaktu. - Swift znowu się zwrócił do Mońka. - Prawda, Adrianie?

- Jak najbardziej - przyznał Monk. - Przyszedłem tutaj, bo jestem pewien, że Trudy ma mi jeszcze coś do powiedzenia. Czuję to.

- Oczywiście, że czujesz, Adrianie. Twoja więź z żoną jest nadzwyczaj silna. To, co czujesz, to jej usilne próby skomunikowania się z tobą. Trudy już do ciebie dotarła, ale tobie brakuje naturalnego daru, by dostrzec coś więcej niż tylko niejasne przeczucie, które pchnęło cię do ponownego spotkania ze mną. Trudy chciała, żebyś się ze mną dzisiaj zobaczył, bo rzeczywiście ma ci jeszcze coś do przekazania.

309

308

Na widowni zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a ludzie z wytężoną uwagą spoglądali na Swifta i Mońka.

- Ja ten dar jednak posiadam. Wyczuwam jej troskę o ciebie. Trudy wie, że cierpisz. Pragnie, byś zaznał spokoju.

Swift zamknął oczy i zaczął drżeć na całym ciele. W sali zapanowała przejmująca cisza, jakby ludzie wstrzymali oddech w pełnym napięciu oczekiwaniu na objawienie, którego byli więcej niż pewni.

Po chwili drzenie ustało i Swift otworzył oczy. Napotkał uważne spojrzenie Mońka i przemówił wprost do niego, jakby znajdowali się w sali zupełnie sami.

- Coś wyczuwam, Adrianie. To jakiś przedmiot. Czuję, że jest miękki i daje jej ciepło. Jakby była tym opatulona. Czy wiesz, co to może być?

Monk potrząsnął głową.

- Pomóż mi, Adrianie. To dla Trudy coś bardzo ważnego. Coś, co miała przez całe życie i ma nawet teraz, w swoim życiu po życiu. Wyczuwam literkę N, bardzo intensywnie - mówił Swift. - Wyczuwam ją tak intensywnie, że zdaje się, że są ich dwie. Tak, to zdecydowanie dwie literki N. I widzę nocne niebo. Co ten obraz może oznaczać?

Poczułam na plecach zimny dreszcz. Znałam odpowiedź na to pytanie. I byłam pewna, że Monk też ją zna. Zastygłam z wrażenia.

- To jej „Noćkanoćka” - powiedział Monk. - Tak nazywała swój kocyk.

Stottlemeyer i Disher spojrzeli na siebie wzrokiem pełnym szczerego zdumienia. Byłam pewna, że na mojej twarzy malowała się dokładnie taka sama mina. Od tamtego wieczoru na Hawajach Monk z nikim się nie dzielił tym wspomnieniem. Swift mógł o nim wiedzieć tylko z jednego źródła.

- Tak, to „Noćkanoćka” - powiedział Swift. - Wyczuwam ten kocyk owinięty wokół niej, gdy była niemowlęciem, wyczuwam, jak gryzie jego narożniki pierwszymi, wyrzynającymi się ząbkami. Nie potrafiła bez niego zasnąć także wtedy, gdy była już dorosła. Więc pochowałeś kocyk razem z nią, prawda Adrianie?

Monk przytaknął.

- Żeby już zawsze czuła jego kojące ciepło.

Ludzie na widowni tak bardzo się wzruszyli, że niektórzy zaczęli ronić łzy. Szczerze mówiąc, mnie też zwilgotniały oczy.

- To był dobry pomysł, Adrianie - mówił dalej Swift. - W jej wiecznym śnie bowiem kocyk nadal ogrzewa ją i chroni. Opatula ją tak samo jak wtedy, gdy była niemowlęciem.

Twarz Mońka rozjaśnił uśmiech, ale nie był to uśmiech szczęścia. Było to uśmiech triumfu.

- Właśnie pomógł mi pan wyjaśnić kolejne morderstwo.

- Pańskiej żony? - zapytał Swift.

- Nie. Martina Kamakele, kierownika hotelu w Grand Kiahuna Poipu.

- Udało się je panu wyjaśnić teraz, podczas mojego programu, dzięki komunikatom od pańskiej żony?

- Bez pana nie byłbym w stanie tego dokonać.

- Nie do wiary - westchnął Swift.

Na widowni zerwała się burza oklasków. Swift stał przez dłuższą chwilę, pławiąc się w tej rozkoszy uwielbienia tłumów, by w końcu wyciągnąć ręce i uciszyć owacje.

- Nie zasługuję na brawa - powiedział Swift. - To wszystko dzięki duchom. Ja jestem tylko ich posłańcem, a Adrian Monk ich ramieniem sprawiedliwości.

Powiedz nam, Adrianie, co duchy pomogły ci wyjaśnić.

Monk wstał i wskazał na Stottlemeyera.

- Chciałbym przedstawić panu kapitana Lelanda Stottlemeyera z Departamentu Policji San Francisco.

Stottlemeyer także wstał i Swift uścisnął mu rękę.

- Bardzo mi przyjemnie, panie kapitanie - powiedział Swift.

- Kilka dni temu byłem na Hawajach i wysłałem kapitanowi Stottlemeyerowi podpisany w obecności notariusza list, którego kapitan jeszcze nie otworzył - powiedział Monk. - Panie kapitanie, byłby pan łaskaw wyjąć list i pokazać nam stempel na kopercie?

Stottlemeyer wstał, wyciągnął list i podniósł go do góry. Na telebimie zobaczyłam zbliżenie kamery na stempel przybity dwa dni temu na Hawajach.

- Czy byłby pan łaskaw go otworzyć i przeczytać na głos? - poprosił Monk.

- Z miłą chęcią - odpowiedział Stottlemeyer.

Gdy kapitan rozrywał brzeg koperty i wydobywał ze środka list, Swift przymusił się do uśmiechu i niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- To list od Adriana Mońka, napisany odręcznie, z datą i podpisem, poświadczony przez notariusza - powiedział głośno Stottlemeyer i uniósł wysoko kartkę papieru.

Kamera pokazała wyraźne zbliżenie notarialnej pieczęci, a następnie Stottlemeyera, który zaczął odczytywać list.

- Wczoraj wieczorem, w naszym bungalowie w hotelu Grand Kiahuna Poipu, w wyłącznej obecności mojej asystentki, Natalie Teeger, podzieliłem się z nią wspomnieniem o mojej żonie Trudy i jej kocyku, który nazwałem „Noćkanoćką”. Powiedziałem jej, że

Trudy opatulano tym kocykiem, kiedy była niemowlęciem, że gryzła jego narożniki, gdy wyrzynały się jej ząbki i że nigdy już nie potrafiła zasnąć bez kocyka. Powiedziałem też,

że miała go przy sobie przez całe życie i że po śmierci pochowałem ją razem z kocykiem, o czym, oprócz mnie, nie wie nikt.

Stottlemeyer przerwał na chwilę, spojrzał z ukosa na Swifta, uśmiechnął się zgryźliwie i doczytał list do końca.

- Historia, którą usłyszeliście dzisiaj z ust Dyla - na Swifta, nigdy się nie wydarzyła. To kłamstwo, które zmyśliłem wczoraj wieczorem.

Po widowni poniósł się szmer zadziwienia. Swift wyglądał tak, jakby ktoś wymierzył mu policzek. Oczy miał szeroko otwarte, a na jego policzkach zapłonęły rumieńce. Kręcił głową, jakby chciał wszystkiemu zaprzeczyć. Pamiętam emocje, których nie krył Monk, opowiadając mi tę historię. Wierzyłam w nią wówczas. Nawet teraz, znając treść listu, wciąż w nią wierzyłam.

- Historia jest prawdą, to list jest kłamstwem - odezwał się w końcu Swift. - Doskonale wiem, co czuję. Trudy miała „Noćkęnoćkę” i wciąż ma ją przy sobie. Widzę to wyraźnie. Zresztą, co to ma wspólnego z morderstwem Martina Kamakele?

- To wyjaśnia, dlaczego pan go zabił - powiedział Monk. - Tłumaczy to również, dlaczego zamordował pan Helen Gruber i uwikłał w to zabójstwo jej męża, Lance'a Vaughana.

- Dobrze, starczy na dzisiaj - oświadczył Swift, odwracając się do najbliższej kamery.
- Koniec nagrywania.

- Jest mi obojętne, czy pan nagrywa czy nie - powiedział Stottlemeyer. - Ale na pewno nigdzie się pan stąd nie ruszy.

- Jest pan hochsztaplerem i oszustem, który żeruje na smutku innych - stwierdził Monk. - By utwierdzić ludzi w przekonaniu, że komunikuje się pan z zaświatami, korzysta pan z techniki „zimnego odczytu”, starej kanciarzkiej sztuczki. W istocie rzeczy wszystkie informacje wyciąga pan bezpośrednio od naiwniaka, z którym pan rozmawia. Tak było choćby w przypadku porucznika Dishera

- Porucznika?! - zapytał zaskoczony Swift.

Disher machnął przed Swiftem policyjną odznaką.

- Nie inaczej, kolego. Jestem policjantem.

Spojrzałam na telebimy. Kamery wciąż przekazywały obraz - teraz widniały na nim dwie osoby: Swift i Monk. Ktoś w reżyserce musiał się zorientować, że kręcony materiał może się okazać drogocenny.

- Powiedział pan, że wyczuwa jakiś kolor i literę, a potem czekał na spontaniczny odzew ofiary z sali - mówił Monk. - Pańska ofiara, porucznik Disher, podał panu znaczenie

koloru i męskie imię, dochodząc do wniosku, że duchem musi być jego wuj. Potem opisał go pan, że nie jest ani gruby, ani chudy, zatem w ogóle go nie opisując, i czekał pan, aż resztę dopowie porucznik Disher.

- Łatwo dał się pan nabrać - powiedział szybko Disher. - Żeby zastawić pułapkę, udawałem głupiego.

- Chcesz powiedzieć, że celowo wzbudziłeś w nim fałszywe przekonanie o jego wyższości nad innymi? - zapytał Stottlemeyer.

- Właśnie... - stwierdził Disher, cały czerwony ze wstydu.

- „Zimny odczyt” nie jest jedyną sztuczką, którą pan stosował - mówił dalej Monk do Swifta. - Swoje programy nagrywa pan w hotelach, wiedząc, że wielu pańskich gości wykupuje w nich nocleg. To o tyle ważne, że we wszystkich ich pokojach kazał pan założyć podsłuchy.

Sensacja w lot rozniosła się wielką falą po widowni. Ludzie wstali z miejsc, zszokowani i zagniewani zaczęli rozmawiać między sobą i kręcić głowami. Obiektyw kamery przejechał po widowni, wychwytyjąc to wszystko i pokazując na ekranie.

- To nieprawda - oświadczył Swift.

- Oto, co się stało. Swego czasu Kamakele był kierownikiem w hotelu Belmont i na pana polecenie założył w pokojach podsłuchy. Potem nadzorował przebudowę hotelu Grand Kiahuna Poipu i także tam dopilnował, by we wszystkich pokojach znalazł się podsłuch - ciągnął Monk. - Wszystko szło jak z płatka, dopóki pewna starsza dama, pani Helen Gruber, nie wynajęła bungalowu sąsiadującego z pańskim. Nieustannie się skarżyła personelowi, że słyszy jakieś głosy. Pracownicy hotelu sądzili, że kobieta ma urojenia, ale pan wiedział, że jest bliska prawdy. Zorientował się pan, że jej aparat słuchowy znakomicie wychwytuje transmisje pana podsłuchów. Takich małych urządzeń jak to, które znalazłem w swoim bungalowie.

Monk sięgnął do kieszeni i wyjął drobny przekaźnik wielkości cukierka M&M. W tym czasie zajmował się Monk ostatniego dnia na Kauai. Wcale nie wyrównywał wszystkiego w pokoju; szukał pluskwy.

System podsłuchów tłumaczył już, skąd Swift wiedział o mojej podróży do Meksyku z Mitchem i o okolicznościach śmierci mojego męża w Kosowie. Po prostu słyszał, jak opowiadam o tym Monkowi w pokoju hotelowym.

- Stawka była zbyt duża, by mógł pan pozwolić Helen Gruber domyślić się, co naprawdę słyszy. Kiedy zobaczył mnie pan w hotelu, postanowił pan ją zabić. Zdał pan sobie sprawę, ile może zyskać na morderstwie pani Gruber, pomagając mi wyjaśnić zbrodnię.

Jednak najpierw potrzebny był panu ktoś, kogo można by zrobić w zabójstwo. Ponieważ słyszał pan, o czym mówiono w bungalowie pani Gruber, wiedział pan o romansie Lance'a i Roxanne. Vaughan stał się w pana oczach idealną ofiarą. Począł pan, kiedy Lance wyjedzie nurkować, i zakradł się do jego bungalowu. Uderzył pan Helen Gruber kokosem w głowę i wpakował jej ciało do lodówki, ale tylko na chwilę, żeby zostawić w niej ślady dla policyjnych techników i stworzyć wrażenie, że pozostawała tam przez całą noc. Następnie przeniósł ją pan do jacuzzi i zaaranżował całą scenografię tak, bym się domyślił, że to lipa.

- Ale dlaczego zabił Martina Kamakele? - zapytałam.

- Bo kiedy się rozeszła wieść, że Swift pomógł policji wyjaśnić morderstwo Helen Gruber, Kamakele szybko się domyślił prawdy - powiedział Monk. - Spotkał się ze Swiftem w ogrodzie luau i zaczął go szantażować. Swift się wściekł, chwycił łopatę i zabił go, a potem zagrzebał razem z pieczonym świniakiem. W ten sposób nabawił się odcisku na ręce, który, jak widać, wciąż się jeszcze nie zagoił.

- To jakieś absurdalne spekulacje, całkowicie nieprawdziwe - odezwał się Swift. - Nic pan nie może udowodnić.

- Wcale nie muszę. Pan sam to udowodnił - stwierdził Monk. - Ponieważ nie rozmawia pan ze zmarłymi, wszystko, co naopowiadał mi pan o morderstwie Helen Gruber, mógł pan wiedzieć tylko stąd, że sam je popełnił. Policja na Kauai znajdzie w hotelu podsłuchy, a w pańskim bungalowie urządzenia nagrywające. Przetestuje też aparat słuchowy pani Gruber i łatwo stwierdzi, że wychwytyje transmisję dźwięku z pańskich podsłuchów. To powinno wystarczyć ławie przysięgłych.

- Nigdy w to nie uwierzą - zachnął się Swift.

- Pan żartuje? - odezwał się Stottlemeyer. - Są ludzie, którzy mając o wiele mniej dowodów, wierzyli, że rzeczywiście rozmawia pan ze zmarłymi. Zupełnie się o to nie martwię. Pan jednak powinien. Niech pan się rozejrzy.

Dylan Swift spojrział na trybuny i zobaczył w oczach ludzi wściekłość, poczucie zdrady i niesmak. Przez krótką chwilę dostrzegłam na twarzy Dylana Swifta potworną świadomość, że Stottlemeyer ma całkowitą rację.

Porucznik Disher wystąpił krok naprzód z kajdankami w rękę.

- Dylanie Swifcie, zostaje pan zatrzymany pod zarzutem zamordowania Helen Gruber i Martina Kamakele.

Producenci programu, zdając sobie sprawę, że stracili pracę, w ciągu kilku minut od zatrzymania Swifta sprzedali taśmę z nagraniem prasie i lokalnym stacjom telewizyjnym.

Niecałą godzinę później mieszkańcy miast od San Francisco po Bangladesz, od Walla Walla po wyspy Galapagos, zobaczyli chwilę upokarzającego upadku Dylana Swifta.

Tym spektaklem nie był zachwycony ani kapitan Stottlemeyer, ani prokurator okręgowy, ponieważ szerokie upublicznienie taśm mogło znacznie utrudnić znalezienie obiektywnej ławy przysięgłych.

Lance Yaughan został zwolniony z więzienia i, jak krążą słuchy, razem z Roxanne Shaw sprzedał prawa do książki opowiadającej jego historię wydawnictwu Penguin, a stacja HBO już pracuje nad scenariuszem do filmu opartego na tych wydarzeniach. Para pozwała do sądu policję w Kauai za bezpodstawne aresztowanie, zniesławienie i serię zniewag. Sprawa jest w sądzie i zapewne miną lata, zanim zapadnie prawe, nocie orzeczenie, jednak skutkiem jej wszczęcia porucznik Kealoha nie dostał spodziewanego awansu.

Właściwie to nie obchodziło Mońka ani mnie. Monk rozwiązał zagadkę, wyprostował wszelkie krzywizny i osiągnął to, co sobie założył. Porządek został przywrócony, a na tym najbardziej mu zależało.

Ale trochę uprzedziłam wypadki.

Tuż po programie, jedna sprawa wciąż nie dawała mi spokoju.

Zanim w hotelu zjawiła się prasa, wyslizgnęliśmy się z Monkiem tylnym wyjściem i wróciliśmy do samochodu zaparkowanego na parkingu kilka przecznic dalej.

- Wie pan, uwierzyłam w historię o kocyku „Noć - kanoćka” - powiedziałam do Mońka, kiedy szliśmy ulicą.

- Gdybym nie przekonał ciebie, nigdy nie byłbym w stanie przekonać Swifta. Wiedziałem, że słucha każdego mojego słowa.

- Ja jednak wciąż wierzę w tę historię.

- Mimo że to kłamstwo?

- Nie uważam, by było to kłamstwo - powiedziałam. - Zbyt wiele uczuć włożył pan w to opowiadanie. Poza tym nie najlepszy z pana aktor.

Monk milczał przez dłuższą chwilę.

- To nie Trudy miała „Noćkanoćkę”, tylko moja mama.

- Pochował pan kocyk razem z mamą, prawda?

- Tak - odpowiedział Monk. - Ale najpierw zaniósłem go do pralni chemicznej.

Jakżeby inaczej.

1 Wiki (jęz. hawajski) - szybko; wiki, wiki - bardzo szybko (przyp. tłum.).

2 Malaho (jęz. hawajski) - dziękuję (przyp. tłum.).

3 W anglojęzycznej gwarze używanej na Hawajach: puka - dziura (przyp. tłum.).

4 W języku hawajskim makulestara: haole - określenie niePolinezyjczyka, zwłaszcza białego, nieraz podszyte drwiną; momona - kobieta, wahine - gruba (przyp. tłum.).

5 W gwarze - grines - jedzenie (przyp. tłum.).

6 Kama'aina (jęz. hawajski) - rdzenny mieszkaniec Ha wajów (przyp. tłum.).

7 W gwarze - da kine - słówko przyjmujące wiele znaczeń w zależności od kontekstu; używane wtedy, gdy rozmówcy nie przychodzi do głowy właściwe, i żadne inne, słowo (przyp. tłum.).

8 Mahalo nui loa (jęz. hawajski) - dziękuję bardzo (Przyp. tłum.).

9 Monk (ang.) - mnich (przyp. tłum.).

10 Woodman (ang.) - leśnik, drwal; Dahl - fonetyczne Owiązanie do doli (ang.) - lalka (przyp. tłum.).

??